

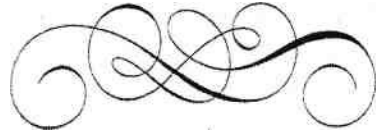
Margo Maguire

Dla ciebie wszystko



HARLEQUIN®

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż
Sydney • Sztokholm • Tokio • Warszawa



ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Północne wybrzeża hrabstwa Northumberland
Późna jesień 1300 roku*

Nie było wiatru, ale huczące fale Morza Północnego wciąż z wściekłością atakowały plażę po porannym sztormie. Nad wysokim brzegiem i wieżą zamku Norwyck gromadziły się czarne chmury, brzemienne deszczem.

Earl Norwyck, Bartholomew Holton, szedł brzegiem morza, nie zważając na pogodę. Barczysty i wysoki, ubrany był jak zwykle w kaftan, rajtuzy i długi płaszcz, narzucony na ramiona.

Nie przywiązywał wagi do strojów, zwłaszcza teraz, kiedy spoczęło na nim więcej obowiązków. Został earlem po nagłym i przedwczesnym zgonie starszego brata, Williama. Do tego doszła zdrada i śmierć żony. Ciągłe nie umiał o tym zapomnieć.

Felicia Holton popełniła straszliwą zbrodnię. Nie tylko zdradziła Bartholomew, ale także wydała Williama w ręce odwiecznych wrogów Norwyck, szkockich sąsiadów z północy, Armstrongów.

Prawie rok mijał od dnia, w którym William zginął z ręki Lachanna Armstronga. Felicia zakończyła życie krótko potem, przy porodzie, wydając na świat bękart.

Bartholomew w ponurym i złowieszczym nastroju przechadzał się po plaży. Nawet nie spojrzał na grube mury twierdzy, majaczące nad nim na wysokim klifie. Tęsknił za bratem. Nigdy nie marzył o tym, by zostać panem zamku, bowiem Norwyck było dziedzictwem Willa. Williama, poprawił się w myślach. Może czasami lekkoducha, lecz zawsze uczciwego. William z reguły wiedział, co powiedzieć i jak znaleźć wyjście z trudnej sytuacji. A nade wszystko darzył poważaniem wszystkich rycerzy z Norwyck, w tym dawnego doradcę ojca, starego sir Waltera.

Po powrocie do Szkocji Bartholomew marzył tylko o tym, żeby spokojnie osiąść w swym majątku, hojnie darowanym mu przez króla Edwarda i powiększonym o rozległe dobra z posagu pięknej Felicii. Marzył o dzieciach i pełni szczęścia u boku ukochanej żony.

Felicia. Zdrajczyni i kłamliwa ładaczka.

Bart kopnął kawałek drewna wyrzuconego na ląd przez fale. Był to ściemniały od wody fragment starannie obrobionej deski. Spojrzał nań mimochodem i poszedł dalej, zajęty własnymi myślami, od czasu do czasu omijając inne szczątki zaśmiecające plażę.

Nagły podmuch wiatru szarpnął jego płaszczem. Bart ze złością przytrzymał poły. Piasek wsypywał mu się do

butów, ale nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Zgarbił głę lekko i ruszył w dalszą wędrówkę. Osiem miesięcy minęło od śmierci Felicii. Osiem miesięcy od dnia, w którym dowiedział się o jej zdradzie. Wciąż jednak nie miał pojęcia, jak zdołała wciągnąć Williama w zasadzkę zastawioną przez Lachanna Armstronga. Jak i dlaczego?

Nie w pełni zdążył poznać ją przed ślubem. Ona miała zaledwie siedemnaście lat, on zaś dopiero wkroczył w wiek męski. Pół roku później opuścił Szkocję, idąc do boju z królem Edwardem, jego dzielnymi łucznikami i bitną kawalerią.

Przez dwa długie lata przebywał poza domem.

Jak głupiec myślał przed wyjazdem, że jego żona jest brzemienista. Pomylił się. W gruncie rzeczy wtedy nie miało to dlań żadnego znaczenia. Był młody i z ufnością patrzył w przyszłość. Po powrocie do domu nieustannie adorował żonę. Nie sprawiało mu to żadnego kłopotu, bo Felicia przez ten czas nic nie straciła ze swojej urody. Po kilku tygodniach zaszła w ciążę.

Bart nie miał pojęcia, że w rzeczywistości dziecko zostało poczęte przed jego przyjazdem. To, że chłopiec, który urodził się pół roku po jego powrocie, zadało kłam słowom Felicii.

Szeroka plaża u stóp zamku Norwyck zwężała się po północnej stronie. Bart mijał wielkie głazy i przeskakiwał płytkie kałuże, pełne oślizłych wodorostów. Tu

i ówdzie na mokrym piasku widniały kępki sztywnej trawy.

Drewnianych szczątków wciąż przybywało. W końcu zwróciły uwagę kasztelana. Zobaczył kilka dziwnych przedmiotów: nogę od stołu, zamknięty kufer z mosiężnymi uchwytyami, dwie łyżki i beczkę.

Zatrzymał się i czujnym spojrzeniem omiótł powierzchnię morza. Domyślił się, że szczątki pochodzą ze statku, który zapewne rozbił się ubiegłej nocy na okolicznych skałach i zatonął. Żeglarze omijali te niebezpieczne wody. W ciągu dwudziestu ośmiu lat życia Barta zdarzyło się, że raz był świadkiem podobnej katastrofy.

Był wtedy chłopcem; zszedł na plażę wraz z ojcem i Williamem, by poszukać rozbitków.

Nie znaleźli żadnego. Owszem, na brzegu leżały ludzkie ciała, lecz okazało się, że nikt nie przeżył. Teraz musiało być tak samo.

Bart mimo woli poczuł dziwną ulgę, że coś oderwało go od ponurych myśli. Postąpił jeszcze parę kroków i znalazł pierwsze zwłoki. Był to prawdopodobnie jeden z marynarzy, odziany w strzępy ubrania.

Pochylił się i przewrócił go na wznak. Niestety, w niczym już nie mógł pomóc temu nieszczęśnikowi. Bart szybko rozejrzał się, czy w pobliżu nie leży ktoś inny.

Wiatr dął coraz mocniej. Morskie fale z wściekłością atakowały skaliste brzegi, lecz Bartholomew uparcie

krążył pośród głazów, w nadziei, że znajdzie choć jedną żywą duszę.

Nie znalazł.

Na skałach i wśród wodorostów spoczywały jedynie trupy.

Sztorm przybierał wciąż na sile. Bart pochylał się nad ofiarami. Przyrzekł sobie, że natychmiast po powrocie na zamek przyśle tu kilku ludzi, żeby zebrali i pochowali zwłoki. Każe mnichowi...

Stanął jak wryty i odruchowo przetarł oczy, żeby lepiej widzieć. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Na piaszczystej łasze spoczywała jeszcze jedna postać. Zobaczył długie ciemne włosy i wyraźny zarys kobiecych pośladków.

Niewiasta.

Początkowo ogarnęła go fala gniewu. Dziewczyna była na pokładzie statku! Przez chwilę walczył z mieszanymi uczuciami. Wierny rycerskim zasadom, nie potrafił bez litości patrzeć na to biedne i posiniaczone ciało. Mimo niechęci, jaką czuł do płci niewieściej, uznał w duchu, że jednak żadna z kobiet nie zasługiwała na tak marny koniec.

Nie umiał pozbyć się goryczy. Wszak to kobieta sprowadziła nań najgorsze nieszczęścia. Wbrew logice był przekonany, że ta, którą teraz widział, w jakiś sposób stała się przyczyną katastrofy i zagłady statku.

Podszedł do niej ostrożnie. Ledwie musnął spojrzeniem wąską kibić, długie zgrabne nogi i delikatne stopy.

Widział jedynie ciemne sińce i brzydkie zadrapania, szpecące jej alabastrową skórę.

Przyklęknął obok, położył jej dłoń na ramieniu i przewrócił na plecy. Wprawdzie nie wiedział, co zobaczy, lecz nie spodziewał się, że „nieboszczka” nagle zakrztusi się i zacznie kaszleć.

Na miłość boską, ona żyła!

Bart uniósł ją, by mogła wypluć wodę, ale wątłe ciało bezwładnie zawisło mu na rękach. Okrył ją tak, jak mógł strzępami podartej sukni i owinął własnym płaszczem.

Rozejrzał się. Wprawdzie zobaczył jeszcze jakieś ciała, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że musi wracać, jeśli chce zdążyć przed nadciągającą burzą. Zamek Norwyck był dla niego i nieprzytomnej niewiasty jedynym bezpiecznym schronieniem.

Wziął ją na ręce. Nie uczyniła najmniejszego ruchu. Omotana przemokniętym płaszczem, przypominała teraz bezkształtny toból. Bartholomew był barczystym i krzepkim rycerzem, nawykłym do dźwigania kolczugi i miecza, a mięśnie nóg miał silne, bo nawykłe do długiej konnej jazdy. Niemal nie poczuł ciężaru dziewczyny. Wstał z klęczek, wyprostował się i poszedł przez plażę w stronę ścieżki wiodącej do zamkowej bramy.

W wielkiej sali, pod okiem służby, bawiła się dzieciarnia. Bartholomew kopnięciem otworzył ciężkie dębowe drzwi i wszedł do środka. Na chwilę zapanowała

głucha cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić naraz, zasypując go dziesiątkami pytań.

- Co się stało?
- Kto to?
- Żyje?
- Można na nią spojrzeć?

Podszedł do stołu i nogą odsunął krzesło na tyle daleko, by mógł usiąść, nie wypuszczając dziewczyny z ramion.

- Cisza! - burknął. Był teraz nie tylko nowym earlem, ale także jedynym opiekunem czwórki młodszego rodzeństwa. Przyrodniego rodzeństwa, bo jego własna matka zmarła, kiedy był jeszcze chłopcem. Ojciec ożenił się po raz drugi i założył nową rodzinę.

Bracia bliźniacy, Henry i John, mieli po czternaście lat. Kathryn liczyła sobie teraz jedenaście wiosen, lecz uważała się za dorosłą damę i panią zamku Norwyck, a sześciolatnia Eleanor była sprytna i wścibska, jak wszystkie dzieci w jej wieku.

- Statek zatonął - wyjaśnił Bart i odchylił się na krześle, żeby dać nieco odpocząć ramionom. - Przeżyła chyba tylko ona. Znalazłem ją na plaży.

Ponownie wybuchła wrzawa. Bart skinął na jednego ze starszych służących.

- Rob! Wyślij pokojówkę, żeby przygotowała dla niej gościnną komnatę - rozkazał. - Potem zbież kilku ludzi i idźcie nad morze, zanim burza rozpęta się na dobre. Sprawdźcie, czy ktoś nie ocalał.

- Tak, milordzie - odparł Rob.

- Posłuchajcie mnie wszyscy - powiedział Bart, zwracając się przede wszystkim do rodzeństwa. - Wiem tylko tyle, że plaża usiana jest szczytkami. Nie mam pojęcia, co to był za statek, dokąd płynął i kto nim dowodził.

- Jesteś pewny, że ona żyje? - zapytał Henry i podejrzliwie spojrzął na wciąż nieprzytomną dziewczynę.

- Zostanie u nas?

Bart popatrzył na nieruchomą postać. Głowę wsparła mu na ramieniu, a na jej szyi wyraźnie pulsowało tętno. Może trochę zbyt szybko, ale na pewno stabilne.

- Tak, żyje - odpowiedział na pytanie siostry - ale na pewno u nas nie zostanie. Gdy wydobrzeje, pójdzie swoją drogą.

Zastanawiał się, jaki w istocie był cel jej podróży. Może płynęła w stronę Szkocji, a może zupełnie na odwrót, na południe. Statek pewnie zszedł z kursu w czasie gwałtownego sztormu. Dziewczyna na razie nie mogła zaspokoić ciekawości Barta.

- Jest bardzo piękna - z zachwytem powiedziała Eleanor.

- Nie zakochasz się w niej tak jak w Felicii, prawda? - spytała Kathryn, krzyżując ręce na chuderlawej piersi. Była drobna i delikatna. Niedawna śmierć Williama i Felicii wstrząsnęła jej całym światem.

Bart łypnął na nią ponuro, parsknął z cicha, lecz nie

odpowiedział. Do tej pory w ogóle nie zwracał uwagi na urodę dziewczyny ze statku ani nie w głowie mu były amory. Przynajmniej nie w tym stuleciu. Na razie miał dość wszystkich kobiet.

Postanowił w przyszłości przekazać zamek i ziemię w ręce jednego z bliźniaków, Henry'ego, a po nim jego potomkom.

Nie przyglądał się zbyt ocalonej dziewczynie. Wstał z krzesła i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę głównych schodów, wiodących na piętra wieży. Siostry i bracia poszli za nim. Dotarł do półpiętra, gdy w korytarzu zjawiły się dwie służące. Nadchodziły od strony wschodniej baszty.

- Komnata gotowa, panie - powiedziała jedna z nich.

- Na razie nie mamy dla niej nic lepszego - dodała druga, wdowa imieniem Rose. Bart podziwiał ją za cierpliwość, z jaką odnosiła się do siostr. - Dolne komnaty jeszcze się nie nadają na przyjęcie kolejnych gości.

W Norwyck niedawno bawił biskup Alnwick, wraz z całym wielkim orszakiem. Wyjechali za ledwie onegdaj, więc nic dziwnego, że komnaty wciąż domagały się sprzątnięcia.

Bartholomew bez słowa poszedł za służącą. Rose oświetlała im drogę świecą. Krętymi kamiennymi schodami dotarli do najpiękniejszej komnaty w zamku. Kiedyś to było ulubione miejsce matki Barta. Okrągły pokój, z czterema wysokimi oknami, zakończonymi ostrym łu-

kiem. Dzieciaki też lubiły tu przychodzić, zatem służba dbała, by zawsze panował w tej komnacie porządek.

Bart zobaczył balię pełną wody, stojącą tuż przy łóżku. Zasłony łoża były odsunięte, a kołdra ściągnięta na bok. Na pościeli leżało lniane prześcieradło, przeznaczone zapewne do zabrania, gdy tylko nieprzytomna dziewczyna zostanie uwolniona z zabłoconego płaszcza earla.

A pod płaszczem była niemal naga.

Bart spojrział na rodzeństwo.

- Wszyscy stąd wyjdźcie. I to już!

Usiłovali protestować, ale w końcu spełnili polecenie i naburmuszeni, mrużąc coś pod nosem, wyszli i zamknęli drzwi. Bart ostrożnie złożył swoje brzemię. Prawdę mówiąc, chciał, żeby Rose została, ale nie miał odwagi jej przywołać.

Wziął świecę i zapalił lampę ustawioną przy wezgłowiu. Potem odwrócił się i popatrzył na cicho leżącą dziewczynę.

Włosy jej prawie wyschły, lecz od morskiej soli stały się sztywne i matowe. Były nieco jaśniejsze, niż mu się wydawało przedtem. Odgarnął kilka kosmyków z jej twarzy i ze zdumienia wstrzymał oddech.

Dziewczyna miała długie ciemne rzęsy, wydane kości policzkowe, kształtny i prosty nos oraz pełne usta. Na jej policzkach widniały śliczne piegi. Szyję miała wysmukłą, a skórę gładką niczym najprzedniejszy jedwab.

Skrzywiła się, jęknęła z cicha i delikatnie poruszyła ręką. Bart nie mógł się powstrzymać, żeby jej jeszcze raz nie dotknąć. Odgarnął jej włosy wyżej i dopiero wtedy zobaczył ciemny siniak, rozlany wokół długiej i postrzępionej rany.

Nic dziwnego, że była nieprzytomna. To musiało być silne uderzenie. Bart zmoczył kawałek czystej tkaniny i ostrożnie, powolnym ruchem, obmył dziewczynie czoło. Starał się sprawić jej jak najmniej bólu.

Znów jęknęła i odwróciła głowę, chociaż nie ocknęła się z omdlenia. Bart mył ją w dalszym ciągu. Był przekonany, że ranę da się zaszyć, lecz wiedział, że na czole dziewczyny pozostanie brzydka blizna. Na szczęście rana już nie krwawiła. Może najlepiej jej nie ruszać?

Sięgnął do poły płaszcza i zawahał się. Nie chciał jej oglądać nagiej, ale niechętnie myślał o tym, żeby ktośkolwiek inny ją rozbierał. Nawet Rose.

Dziewczyna zadygotała i Bart zaklął pod nosem na własną opieszałość. Nie miał wyboru - musiał ją rozebrać, wytrzeć do sucha i okryć ciepłą kołdrą. Powinna się jak najszybciej zagrzać.

Mimo wszystko wciąż zwlekał. Odszedł od łoża i rozpałił ogień w kominku. Podsyczał go tak długo, aż w komnacie zrobiło się przyjemnie ciepło. Zacisnął dłonie i podszedł do dziewczyny. Płaszcz zeszywniał od soli i wody. Bart rozchylił poły i popatrzył na zadrapania. Wilgotną szmatką starł z jej skóry zaschnięty

piasek. Wszystkie ruchy wykonywał niezwykle starannie, usiłując nie patrzeć na kuszące kształty kobiecego ciała.

Dziewczyna drżała jak w febrze. Po chwili ponownie jęknęła i próbowała się odsunąć, ale była zbyt słaba, żeby to zrobić. Bart przewrócił ją na bok, wyciągnął płaszcz i zapiaszczone prześcieradło, potem zaś znów ułożył ją na plecach.

Na koniec okrył ją pieczolowicie. Ledwie skończył, kiedy ktoś po cichu zapukał do drzwi komnaty. Oderwał wzrok od dziewczyny i poszedł otworzyć.

- Bartie? - Eleanor weszła do środka, nie czekając na zaproszenie brata. - Czy ona wyzdrowieje?

Bartholomew z lekkim uśmiechem poczochnął ją po rudych włosach. Tylko jej pozwalał mówić do siebie „Bartie”.

- Nie wiem, Ellie - odpowiedział szczerze i w ślad za nią zbliżył się do łóżka. - Jest ciężko ranna.

Eleanor położyła dłoń na głowie dziewczyny.

- Umrze tutaj, w wieży mamy? - spytała, spoglądając spod oka na brata.

- Nie, gąszczko. Jeżeli o mnie chodzi, to na pewno nie pozwolę jej umrzeć w zamku Norwyck.

Eleanor przeniosła spojrzenie na nieznajomą. Widać było, że nad czymś się zastanawia.

- Jest bardzo ładna - powiedziała w końcu. - A kiedy się obudzi?

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć, Ellie - west-

chnął Bart i nerwowo przesunął ręką po włosach. Podczas walk w Szkocji widział wielu rannych. Niektórzy z nich umierali, nie odzyskawszy przytomności. Nie chciał, żeby w tym przypadku stało się podobnie. -Wiesz co? Lepiej pobiegnij i poszukaj sir Waltera. Niech sprowadzi znachorkę ze wsi.

- Trochę więcej się rusza - powiedziała Alice Hogget, zmieniając zimny kompres na głowie chorej.

Zapadła noc, za oknami huczała burza, a nieznajoma wciąż nie wróciła do przytomności. Jak długo to jeszcze potrwa? - zastanawiał się Bartholomew. Ile czasu będzie musiała pozostawać w Norwyck?

- Co o tym sądzisz? - spytał znachorki. Był niespokojny. Krążył po komnacie, podczas gdy Alice badała dziewczynę i próbowała ją ocucić.

- Pewnie dostała czymś ciężkim w głowę i wypadła za burtę - oznajmiła Alice na swój może nieco szorstki sposób. - Cud, że żywa dotarła do plaży. Ma wiele szczęścia, że nie utonęła.

Bartholomew obrzucił ją ciężkim spojrzeniem i podjął przerwana wędrowkę po komnacie. Trochę żałował, że pospieszył dziewczynie z pomocą. Wolałby, żeby umarła na brzegu. Przynajmniej nie miałby kłopotu. A ona też mniej by się nacierpiała niż teraz, w powolnej agonii.

W głębi duszy był jednak przekonany, że nie mógłby jej tam zostawić samej, na pastwę losu.

- Pytałem o to, czy wyzdrowieje.
- Żadna kość nie jest złamana. Tylko ta dziura w głowie... - Stara zielarka uniosła świecę i zerknęła pod powieki dziewczyny. - Popatrz, panie - dodała. - Żrenica zwęża się pod wpływem światła. To znak, że niedługo powinna odzyskać przytomność.
- Skąd to wiesz? - zapytał Bartholomew.
- Z doświadczenia - odpowiedziała i zaczęła zbierać się do wyjścia. - Widziałam wielu ludzi leżących

bez zmysłów. Czasami dłużej niż dzień pozostawali w takim stanie. To nic nadzwyczajnego.

- Może to zatem potrwać dużo dłużej?
- Owszem, milordzie - przytaknęła Alice. - Choć jestem przekonana, że dziewczyna szybko dojdzie do siebie.

Bart znowu popatrzył na nią spode łba, a potem przeniósł gniewne spojrzenie na kruchą postać leżącą na łóżku. Alice nie zwracała nań żadnej uwagi i spokojnie pakowała lekarstwa do wężelka. Potem wyszła z komnaty, zostawiając earla sam na sam z chorą.

Bart powoli usiadł na krześle stojącym przy łożu. Im szybciej odzyskasz zmysły, dziewczko, tym lepiej dla mnie i dla ciebie, pomyślał. Obudź się i jak najprędzej ruszaj w swoją stronę. Nikt cię tu nie chce.

Popatrzył na nią z zadumą. Pewnie płynęła do któregoś z południowych portów. Statek zszedł z kursu i zatonał. Takie rzeczy się zdarzały, choć prawdę mówiąc, niezbyt często. Zwłaszcza w tych stronach.

Wziął ją za rękę. Miała miękką skórę i starannie obcięte paznokcie. Była więc zapewne damą, a jej uroda wskazywała na to, że musiała mieć adoratorów. Bart zdawał sobie sprawę, że już wkrótce ktoś jej zacznie szukać.

Odległy jęk kościelnego dzwonu postawił go na równe nogi. O tej porze nie odbywało się żadne nabożeństwo. W takim razie był to dzwon na trwogę. Ktoś napadł na wioskę.

Bart opuścił komnatę, nawet nie rzuciwszy okiem na wciąż nieprzytomną dziewczynę. Zbiegł ze schodów. W połowie drogi spotkał służącego, który właśnie szedł na górę, żeby go zawołać.

- Milordzie, we wsi są Armstrongowie!
- Pędź do stajni i każ giermkowi osiodłać mojego konia. Niech mi też przygotowują zbroję! - zawołał Bart, wpadając do wielkiej sali. - Zaraz tam przyjdę.

Na krawędzi stołu siedziała zapłakana Eleanor. John obejmował ją serdecznie i pocieszał. Kathryn ze stoickim spokojem czekała przy kominku. Henry dumnie wypiął pierś i podszedł do starszego brata.

- Pojadę z tobą - powiedział.
- Nie - krótko rzucił Bart. Już dawno powinien odeśłać swoich braci na wychowanie do dalszych krewnych, ale ciągle coś stawało temu na przeszkodzie. Naj-gorsze jednak, że z tego względu brakowało im doświadczenia w walce. Nie mogli teraz iść do bitwy. - Zostaniesz tutaj, żeby bronić siostr i zamku. Służba będzie cię słuchać.

- Ale Bart...
- To moje ostatnie słowo. - Bartholomew poszedł w stronę głównego wejścia. Zatrzymał się z ręką na klamce i obejrzał się. - Zamierzam przynieść głowę La-channa Armstronga. Przygotuj jakąś ostrą pikę i wbij ją w ziemię na dziedzińcu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Błyskawica przecięła zachmurzone niebo i rozległ się huk gromu. Tylko ktoś równie podły jak Armstrongowie mógł podjąć próbę napaści w taką pogodę. Za-nim Bartholomew i jego ludzie zjawili się na miejscu, wróg zdążył już podpalić kilka stodół i popędzić na wzgórze niewielkie stado bydła. Zbrojni z Norwyck z taką wściekłością siedli im na karki, że Armstrongowie rzucili się do ucieczki.

Oddział Barta ścigał ich bez wytchnienia, nie bacząc na szalejącą burzę. Nieprzyjaciel jednak zdołał umknąć i skrył się gdzieś wśród pagórków i zdrażliwych mokradła. Bart dosyć się już nawojował w życiu i wolałby, że-by sąsiedzi dali mu święty spokój.

Niestety, od dnia śmierci Williama szkocki wódz gło-sił wszem i wobec, że zniszczy Norwyck. Bart przypuszczał, że to rodzaj zemsty za to, że w dwóch wojnach ze Szkocją jego rodzina stanęła po stronie Anglii.

Aż do świtu bezskutecznie szukali

napastników. Bart nie ukrywał rozczarowania. W złym humorze zawrócił w stronę zamku, nie uwożąc ze sobą głowy Lachanna, chociaż zdołał uśmiercić pokzzną liczbę Szkotów.

Zapomniał o tajemniczej damie, leżącej w komnacie we wschodniej wieży zamku. Dopiero kiedy zsiadał z konia u stóp kamiennych schodów, mimochodem pomyślał o niej. Był ciekaw, czy już się obudziła.

Światło w komnacie było nieco przyćmione, ale nie to sprawiło, że musiała przymrużyć oczy. Wszystko wydawało jej się zamazane, nawet własna dłoń, na którą przecież spojrzała z całkiem bliska. Co się stało z moimi oczami? - pomyślała z nagłym przestraszaniem.

- Rety! - rozległ okrzyk jakiejś kobiety. - Obudziłaś się!

Kobieta mówiła wprawdzie po angielsku, ale jej słowa brzmiały jakby obco, choć były w pełni zrozumiałe.

- Chcesz wody? - padło pytanie. Kobieta pochyliła się nad leżącą. Chyba miała jasne włosy i ciemną suknię, ale twarz była rozmytą plamą.

Skinęła głową i po chwili poczuła na ustach chłód glinianego kubka. Piła łapczywie.

- Pozwolisz, że zejść na dół? - zapytała służąca.

- Lord Norwyck powinien wiedzieć, że wróciłaś do siebie.

- Ll... lord Norwyck? - wyjąkała dziewczyna. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Tak. Jesteś w zamku Norwyck. Nasz pan osobiście przyniósł cię tutaj znad morza.

- Norwyck przyniósł? - Zmarszczyła brwi i skrzywiła się pod wpływem nagłego bólu. Nic z tego nie ro-

zumiała. Norwyck, Zamek Norwyck. Nie знаła takiego miejsca.

- Tak, tak. Znalazł cię na piasku. - Służąca nagle wyszła, zostawiając ją samą z myślami.

Miała pustkę w głowie.

Nie wiedziała, dlaczego leżała „na piasku”. Przecież była... Gdzie?

Aż ją zemdlilo ze zdenerwowania, kiedy uświadomiła sobie, że nic nie pamięta. Owszem, miała mgliste wyobrażenia jakichś miejsc i ludzkich twarzy, ale nie umiała ich nazwać. Straciła pamięć i prawie nie wiedziała. Co teraz z sobą pocnie?

Ogarnęło ją przerażenie. Oddychała z trudem, a serce waliło jej jak oszalałe. Nie pamiętała nawet, jak się nazywa! Nie znała własnego imienia! Nie wiedziała, gdzie jest jej dom i w jaki sposób znalazła się w tym Norwyck.

Spuściła nogi z łóżka i próbowała wstać, lecz zakreśliło się jej w głowie. Mimo to nie chciała dłużej leżeć i bezradnie czekać, aż się nią ktoś zajmie. Z natury była energiczna, rezolutna. Czy aby na pewno? Skąd to wiedziała? W każdym razie nie przywykła do długiej bezczynności.

Chwiejnie postąpiła parę kroków. Bolały ją wszystkie mięśnie. W głowie pulsował ból i paraliżował niemal pół twarzy. Reszta w porządku. Z wyjątkiem oczu. A może zawsze tak widziała? Chyba nie, bo czuła się z tym wyjątkowo dziwnie.

Nie mniej od bólu dokuczwała jej świadomość, że jest zupełnie naga. Co gorsza, w pobliżu nie widziała nic do ubrania. Zmrużyła oczy, wyciągnęła przed siebie ręce, żeby nie wpaść na jakiś mebel i powoli wyszła na środek komnaty. Oczywiście już po paru krokach potknęła się o krzesło. Popatrzyła uważnie. Wydawało jej się, że widzi suknię wiszącą na oparciu. Chwyliła ją zachłannie...

Niestety, był to tylko wełniany szal.

Na korytarzu rozległ się szmer głosów i echo kroków. Nagle zdała sobie sprawę, że o własnych siłach nie zdąży wrócić do łóżka. Na pewno by się przewróciła. Owinęła się szalem i niemal w tej samej chwili usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi. Ktoś wszedł do komnaty.

Bart zatrzymał się w progu jak wryty. Energicznym ruchem zawrócił swoich braci i Eleanor, która przyszła z nimi, żeby jeszcze raz popatrzeć na obcą.

- Idźcie na dół - powiedział stanowczym tonem.
- Zaraz tam do was przyjdę, kiedy tylko, tylko... - Głośno przełknął ślinę.
- Daj spokój, Bart - zaoponował Henry, próbując się przepchnąć obok niego. - Wpuść nas.
- Nie - zdecydowanie odparł Bartholomew i ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na nieznajomą. Odpowiedziała mu pustym i jakby nie widzącym spojrzeniem. Częściowo była okryta szalem, ale i tak widział jej nagie ciało.

Wyglądała jeszcze piękniej niż przedtem. Bart musnął wzrokiem jej delikatne ramiona, jędrne pierś, kształtne biodra, smukłe nogi, kolana i cienkie kostki.

Bracia popychali go z tyłu. Kiedy wreszcie odzyskał głos, kazał im natychmiast odejść.

- Idźcie stąd! Zaraz przyjdę.

Z trzaskiem zamknął drzwi i zasunął skobel, nie zwracając uwagi na głośny łomot. Dziewczyna wydawała mu się wręcz anielsko piękna, a zarazem niebezpiecznie pełna uwodzicielskiej gracji. Czym prędzej przegnał niepotrzebne myśli. Miał przed sobą kobietę. A kobietę musiał przecież najbardziej się wystrzegać. Dobrze znał ich zdradzieckie skłonności.

Mogła pozostać w zamku, póki zupełnie nie wydobrzeje. Potem niech rusza w swoją drogę. Nic tu po niej.

- Mogłabyś się nieco lepiej okryć - rzekł ostrym tonem i podszedł bliżej.

Cofnęła się, szarpnęła ciężki szal i nieoczekiwanie straciła równowagę. Bart skoczył ku niej i podtrzymał ją w ostatniej chwili, żeby nie upadła. Mimo woli wziął ją na ręce.

Pod palcami poczuł jej nagą skórę. Jedyne z przodu była osłonięta szalem - i to też nie całkiem - plecy zaś i pośladki miała gołe. Jej skóra była ciepła, miękka i gładka.

Bart spojrział w oczy dziewczyny - jasnozielone, ale z lekką domieszką błękitu, obramowane czarnymi rzę-

sami. Nigdy przedtem takich nie widział. Sęk w tym, że teraz patrzyły nieprzytomnie, jakby nie dostrzegały świata. Przeżyła katastrofę. Może straciła kogoś z rodziny, kto był z nią wtedy na pokładzie statku?

Pokręcił głową, żeby otrząsnąć się ze współczucia, położył dziewczynę na łóżku i na powrót okrył ją ciepłą kołdrą. Cokolwiek zaszło, nie musiał przejmować się jej losem. Mogła pozostać w Norwyck tylko tyle czasu, ile potrzeba do odzyskania sił, a potem powinna ruszyć w dalszą podróż. Im prędzej, tym lepiej.

Zadygotała..

- Milordzie?

- Jesteś w zamku Norwyck - powiedział i odwrócił się do niej tyłem. - Twój statek poszedł na dno w tej okolicy.

- Mój statek?

- Z tego, co wiem, poza tobą nikt więcej nie ocalał - dodał.

Kamiennym wzrokiem spojrzał na nią przez ramię.

- Kim jesteś?

Lekko zwilżyła końcem języka spierzchnięte usta.

- Nie... nie pamiętam - odparła z prostotą.

Bart przez chwilę patrzył na jej wargi, jakby nie usłyszał tego, co powiedziała. Właściwie zaś usłyszał, ale nie zrozumiał.

- Nie pamiętasz?

- Nie, milordzie - szepnęła. Bart postanowił sobie w duchu, że nie da się wziąć na litość. W ten sam spo-

sób postępowala jego żona. Opanowała tę sztukę niemal do perfekcji. - Obudziłam się i zupełnie nie wiem, kim jestem i gdzie trafiłam.

Bart roześmiał się krótko, ale w jego śmiechu nie było wesołości. Jak to możliwe, żeby nie pamiętała nawet własnego imienia? Tylko głupiec mógłby w to uwierzyć.

- Mówisz zatem, że nie pamiętasz, kim jesteś, i nie wiesz, skąd się tutaj wzięłaś - wycedził bez pośpiechu. - A w ogóle coś sobie przypominasz?

Tym razem długo zwlekała z odpowiedzią. W końcu wymamrotała:

- Jedyne jakieś strzępki zdarzeń. Czyjaś twarz. Ogród. Dzieci. Ja.

- Wybacz mi, ale niezmiernie trudno uwierzyć w tę opowieść - stwierdził sucho Bart. Przeszedł na drogą stronę komnaty i odwrócił się dopiero przed samymi drzwiami. - Musisz się ubrać. Każę pokojówce, żeby przygotowała ci odzież. A przy następnym naszym spotkaniu po-staraj się wymyślić coś bardziej wiarygodnego.

Po tych słowach wyszedł.

Dziewczyna otarła dłonią załzawione oczy. Miała ochotę się rozpłakać. Nie tylko nic nie pamiętała, ale też była prawie ślepa. Kasztelan ją potraktował zimno, jakby mu w czymś zawiniła albo jakby jej pobyt w Norwyck nagle zburzył spokój tego domu.

Z chęcią by stąd odeszła. Przecież w zamku musiała być choć jedna poczciwa dusza, która wskazałaby jej drogę do lepszego miejsca, z mniej posępnym i przera-

zającym gospodarzem. Tak, postanowiła w myślach, zaraz opuszcze Norwyck, gdy tylko się ubiorę.

Dokąd pójdę? Bezskutecznie wyęczała pamięć. Przed oczami przesuwał jej się długi ciąg wydarzeń bez znaczenia. Nie potrafiła ich rozpoznać ani umiejscowić w czasie. Nic z nich nie rozumiała. Twarz kobiety, jasnowłose dzieci, łąka pełna kwiatów.

Ktoś wszedł do komnaty. Uniosła głowę i zobaczyła ciemny zarys niewielkiej postaci. To chyba dziecko. Tak, to dziecko o rudych włosach. A zatem żadne z tych, które widziała w myślach.

- Milady? - odezwała się dziewczynka, stając tuż koło jej łóżka.

Musiła najpierw chrząknąć, żeby wydobyć głos z gardła.

- Słucham?

- Jestem Eleanor - powiedziała mała. - A mój najstarszy brat ma na imię Bartholomew.

Chyba zauważyła zdziwienie na twarzy dziewczyny, bo dodała tonem wyjaśnienia:

- Bartholomew Holton, earl Norwyck.

- Och - głucho jęknęła dziewczyna. Czyli ten sam, który przed chwilą ze złością wyszedł.

- Przyniosłam ci trochę... Co ci jest? - spytała mała.

- Moje oczy...

- Masz bardzo piękne oczy, milady - zauważyła Eleanor i położyła coś na łóżku. - Takie przejrzyste.

Dziewczyna potrząsnęła głową i aż syknęła z bólu, który zdawał się rozsadzać jej czaszkę. Położyła się na wznak i głośno przelknęła ślinę, żeby powstrzymać mdłości.

- Nie, to nieprawda. Prawie nic nimi nie widzę.

- Jesteś ślepa? - ze zdziwieniem zapytała Eleanor.

- Niezupełnie. Ale niewiele mi brakuje. Wszystko jest takie zamazane. Niewyraźne.

- Tak jak wtedy, kiedy patrzę na ciebie przez rzęsy?

- Coś w tym rodzaju.

- To okropne - powiedziała Eleanor i położyła rączkę na jej dłoni. - Jak sobie dajesz w życiu radę?

- Nie wiem - odparła dziewczyna. - Nie pamiętam, czy zawsze miałam kłopoty z oczami, ale chyba nie. Źle się z tym czuję. Na pewno dawniej widziałam dobrze.

- Nie rozumiem, milady.

Zawahała się. Czy to dziecko - na pewno mądre, ciekawe świata i pełne życzliwości - będzie w ogóle w stanie ją zrozumieć?

- Ja straciłam pamięć.

Zapadło milczenie. Dziewczyna czuła na sobie spojrzanie Eleanor. Wreszcie rozległ się dziecięcy głosik nacechowany niepewnością i zakłopotaniem:

- Straciłaś, pani? Chcesz powiedzieć, że nic nie pamiętasz?

- Nic - szepnęła w odpowiedzi.

- Statek zabrał ci wspomnienia?

- Chyba tak, chociaż naprawdę nie wiem.



- Nie pamiętasz, jak masz na imię?
Z trudem walczyła z łzami.
- Nie. Nawet nie wiem, kim jestem. Nie wiem, skąd pochodzę. - Nie była pewna, czy w rodzinie wszyscy mówili po angielsku. Słowa wciąż brzmiały dla niej dziwnie.
Eleanor westchnęła i przeszła na drugą stronę łóżka.
- Ale kiedyś przypomnisz sobie? - zapytała ze współczuciem.
- Nie wiem.
- Więc jak mamy cię nazywać? - zagadnęła nieoczekiwanie.
Dziewczyna przygryzła usta, żeby nie zacząć krzyczeć. Znów ogarnęło ją przerażenie. Kim jest? Próbowała wygrzebać z zakamarków pamięci jakieś imię, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Nic nie brzmiało choć trochę znajomo.
- Nie mam pojęcia.
- W takim razie damy ci nowe imię - z podnieceniem zawołała Eleanor. - Podzielę się z tobą moim. Też będziesz Eleanor. Albo nie. - Jej głos rozbrzmiewał te-raz głębokim namysłem. - To by robiło za dużo zamieszania. Już wiem! - krzyknęła z radością. - Będziesz nosiła imię żony króla Edwarda. Marguerite!
- Dobre imię jak każde - westchnęła dziewczyna, chociaż zabrzmiało dla niej równie obco, jak wszystkie inne, o których wcześniej pomyślała.
- Och, byłabym zapomniała - powiedziała Eleanor.

- Przyniosłam ci ubrania. Co prawda, Bartie kazał zrobić to pokojówce, ale postanowiłam ją wyręczyć.

- Dziękuję, lady Eleanor - dwornie odparła Marguerite, trochę rozbawiona zachowaniem dziewczynki.
- Powiedz mi na początek, czy jest tam jakaś halka? Sama nie wiem, jak to się stało, że zostałam zupełnie naga.

Eleanor pośpiesznie przerzuciła stertę odzieży i wyciągnęła coś długiego i białego.

- To chyba będzie dobre - oznajmiła. - Mam ci pomóc?
- Tak. Bardzo proszę - odpowiedziała Marguerite. Dziwiło ją, skąd tyle życzliwości u tego dziecka. Starszy brat Eleanor był zupełnie inny. Marguerite doszła do wniosku, że ma wiele szczęścia, że w zamku Nor-wyck znalazł się ktoś taki jak jej mała przyjaciółka. Nie wiedziała, czy przedtem też miała przyjaciół - teraz jednak bardzo za nimi tęskniła.

Bart pociągnął duży łyk piwa i popatrzył w ogień płonący na kominku w wielkiej sali. Zdjął już zbroję, ale wciąż miał na sobie przemoczony i brudny kaftan, na którym znać było ślady nocnej bitwy. Nadal padało, a na plaży leżały nieruchome ciała nakryte zgrzebnym płótnem. Na dnie morza spoczywał wrak obcego statku, a we wschodniej wieży czekała chora i na wpół ślepa dziewczyna z zanikiem pamięci.

Oczywiście, jeśli jej wierzyć.

Bart wątpił w jej szczerłość - chociaż jednocześnie

był pełen podziwu dla jej wyobraźni. Zanik pamięci. Kto mógłby wymyślić tak zręczną wymówkę? W gruncie rzeczy miał już serdecznie dosyć tej komedii. Statek był pewnie szkocki, a dziewczyna bała się przyznać, kim jest naprawdę.

Odwrócił się, słysząc za sobą odgłos lekkich kroków. To była Kathryn - ta, która najbardziej odczuła śmierć Williama i niecną zdradę Felicii.

- Bartholomew - zwróciła się do niego z poważnym wyrazem twarzy - Eleanor poszła do wieży.
- Przecież mówiłem jej, że nie wolno.
- Dobrze wiesz, że nikogo nigdy nie słucha! - z niechęcią zawołała Kathryn. Odrzuciła na plecy długi zło-cisty warkocz i pobiegła za odchodzącym bratem. Po chwili dotarli do schodów. - A na mnie to już w ogóle nie zwraca uwagi. Robi, co tylko zechce.
- Jest jeszcze mała, Kate - mruknął Bart jedynie po to, żeby coś powiedzieć. Myślni był w komnacie, z Eleanor. Obawiał się, że coś złego spotka ją z rąk Szkotki. Kto mógłby przysiąc, że nie została nasłana na przeszpiegi? W minionych latach zdarzały się dziwniej-sze rzeczy. Nie wolno tracić czujności.

Wbiegł na wieżę i z trzaskiem otworzył drzwi komnaty.

- Bartie! - krzyknęła Eleanor.
- Co ci mówiłem? - podniósł głos. - Miałaś tu nie przychodzić!

Chora dziewczyna szybko podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Eleanor zrobiła zagniewaną minę i skrzy-

żowała ręce na piersiach. Ze złości tak poczerwieniała, że jej policzki niczym nie różniły się od rudych włosów.

- Tylko pomagałam lady Marguerite.
 - Aha! Nasza dama nosi jakieś imię!
 - Nie. Dałam jej imię królowej. Dopóki nie przypomniał mi się swojego.
- Bart popatrzył na „Marguerite”. Miała mocno zacisnięte usta i dyszała ciężko jak wystraszona łania.
- Wyjdźcie stąd obie - zwrócił się do sióstr. - Sam pomogę „lady Marguerite”.
 - Ale Bartie...
 - Żadnej dyskusji, albo najbliższy tydzień spędzisz o chlebie i wodzie - powiedział złowieszczym tonem. Eleanor nie bała się tych pogrózek, bo za każdym razem słyszała to samo. Bart też traktował to raczej jako żart niż rzeczywistą groźbę.
 - Jestem jej potrzebna!
 - Będzie musiała radzić sobie sama - odparł rycerz i kątem oka popatrzył na piękną dziewczynę ze strachem kulącą się na łóżku. - Chyba że przyjmie moją pomoc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zaledwie Marguerite zdążyła naciągnąć halkę przez głowę, drzwi rozwarły się z hukiem i do komnaty wpadł lord Norwyck. Szybko zakryła się kołdrą.

Teraz, wyprosiwszy siostry, Bart patrzył na nią bawczo.

- Lady Marguerite, co?
- To pomysł Eleanor. Zgodziłam się, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Nie pamiętam, jak mam na imię.
- Mamy więc teraz zwracać się do ciebie per „Wasza Królewska Mość”, czy wystarczy samo „milady”?
- Zawsze jesteś tak złośliwy, panie? - spytała urażonym tonem. - Czy tylko na mnie próbujesz wyładować zły humor?
- Nie znoszę kłamstwa - odparł.

Marguerite żałowała w duchu, że nie może go lepiej widzieć. Rozpoznała jedynie, że jest barczysty, wysoki, i chyba ciemnowłosy. Mówił głębokim, dźwięcznym i przyjemnym głosem, choć teraz zabarwionym uszczypliwą nutą. Za to do swoich sióstr zwracał się ciepło i uprzejmie.

Dla niej nie miał jednak dobrego słowa.

Nagle, jakby błysk światła poraził ją prosto w oczy. Zaciśnęła powieki i jęknęła z bólu. Poczowała mdłości. Kilkakrotnie przełknęła ślinę, nie chcąc zabrudzić pościeli w obecności pana na Norwyck.

- Dobry Boże, niewiasto - burknął i chwycił miskę stojącą na stole przy łóżku. - Mogłabyś chociaż poszukać tego, a nie tak...

Marguerite pochyliła się i zwymiotowała. Czuła, że lord Norwyck delikatnie wziął ją za ramię i podtrzymał. Miała wrażenie, że zaraz umrze. Nie wiedziała, dlaczego wciąż żyje.

Po chwili padła na wznak i jęknęła cicho. Nagle poczuła coś wilgotnego na twarzy. Ktoś jej ostrożnie otarł usta, ochłodził rozpalone czoło i obmył ślady łez na policzkach.

Earl nic nie mówił. Gdyby nie to, że jej dotykał, Marguerite byłaby przekonana, że została zupełnie sama. Właściwie wołałaby, żeby odszedł. Przecież był dla niej tak okrutny. Jak to się stało, że jego czyny przeczyły gniewnym i oschłym słowom? A może jednak w głębi serca miał dla niej coś na kształt litości? Może naprawdę nie był okrutnikiem, za jakiego pragnął uchodzić?

- Zaraz przyślę służącą - powiedział. - Posiedzi tu z tobą.

Jego głos był zupełnie wyprany z emocji. Marguerite próbowała powstrzymać się od płaczu, żeby nie robić z siebie widowiska. Prawie jej się to udało. Wmawiała sobie, że łzy biorą się z bólu, a nie z rozpaczy i z po-

czucia bezradności. Wołała myśleć, że da sobie radę bez niczyjej pomocy.

Usłyszała gasnące echo kroków. Po chwili cicho stuknęły drzwi komnaty. Earl Norwyck odszedł. Marguerite bezskutecznie przekonywała samą siebie, że w samotności czuje się o wiele lepiej.

Bartholomew był zmęczony całonocną bitwą i pościgiem. Zostawił Marguerite w wieży i zszedł na dół, do wielkiej sali.

Trochę się zżymał, że pozwolił sobie na odruch litości. Przecież miał do czynienia wyłącznie z kobietą - i to w dodatku taką, która usiłowała go okłamać. Na szczęście jej nie wierzył. Znał się na takich sztuczkach. Mógł ulec raz, lecz na tym koniec.

Przeszedł na drugą stronę, do cieplej, przytulnej komnaty w południowo-wschodnim skrzydle zamku.

- Milordzie. - Na jego widok sir Walter Gray natychmiast uniósł się z krzesła.
- Nie wstawaj, sir Walterze - poprosił Bart, wiedząc, że siwowłosy rycerz na pewno był nie mniej zmęczony od wszystkich pozostałych.

Walter od ponad trzydziestu lat mieszkał w Norwyck i służył już pod ojcem obecnego pana. Był przyszywanym wujem dla synów Holtona, a po jego śmierci pomógł im zachować nietknięty majątek, gdy Will i Bart walczyli w Szkocji. Bart widział w nim najbardziej zaufanego druha i doradcę.

- Ostatni oddział zbrojnych wrócił znad granicy - oznajmił sir Walter.

- Znaleźli Lachanna albo jego syna? - zapytał Bart i usadowił się na krześle, naprzeciwko starego rycerza.

Sir Walter pokręcił głową.

- Ścigali ich aż do ziem Armstrongów, ale na koniec zostali odpędzeni przez łuczników.
- Zginął ktoś?
- Tym razem nie.

- Musi być jakiś sposób, żeby zdobyć Braemar i raz na zawsze skończyć z Armstrongami!

- Pewnie jest, lecz nam o tym na razie nic nie wiadomo - filozoficznie zauważył Walter. - Armstrong zgromadził tam najtęższy oddział łuczników w tej części kraju.

Bart zaklął pod nosem.

- Dzisiaj na pewno nic już nie zdziałamy, panie. Lepiej połóż się i odpocznij. Nawet Armstrong nie jest na tyle głupi, żeby dwie noce z rzędu napadać na tę samą wioskę.

- Tego bym nie powiedział. - Bart wstał z krzesła. - Przez ostatnie lata dobitnie udowodnił, że z nim ni-gdy nic nie wiadomo.

- I to oględnie mówiąc, panie - zgodził się Walter.

Bart wiedział, że stary poczuwa się do winy za to, że nie przewidział zdrady Felicii. Jakby nie było, to syn Armstronga, imieniem Dughlas, uwiódł ją i obdarzył dzieckiem. Walter w tym czasie pełnił pieczę nad Nor-

wyck. Chociaż na dobrą sprawę romans Felicii mógł rozpocząć się przed wyjazdem Barta do Szkocji.

- Mimo to nadal nie wierzę, żeby ten kundel tu dzisiaj wrócił - dorzucił Walter.
- Pewnie masz rację, ale do końca nie możemy być pewni. - Bart i znużonym ruchem przesunął dłonią po nieogolonej brodzie.

Wbrew wszelkim przyjętym regułom laird Armstrong nakłonił Felicię do zdrady. To on podsunął jej własnego syna, Dughlasa. Ten z kolei, z pomocą kochanki, wciągnął w zasadzkę Williama z Norwyck. Biedny Will nawet nie zdążył wydobyć miecza. Armstrong w żywe oczy kpił z praw kościelnych i ludzkich.

- Postaw strażę przy każdej bramie - polecił Bartholomew Walterowi - i wyślij patrol na wzgórze. Niech do rana pilnują. Ostrzegą nas, gdyby Armstrong przy-padkiem chciał wrócić.
- Tak jest, milordzie - odparł Walter.
- Muszę się przespać chociaż parę godzin - powiedział Bart. Nagle zatrzymał się, odwrócił głowę i spoj-rzał na Waltera. - A potem sprowadź tu Alice Hoget. Niech się zajmie naszym gościem w wieży.

Walter zmarszczył brwi.

- Podejrzewasz tę dziewczynę, panie?
- Nie wiem - odpowiedział Bart. - Udaje, że nic nie pamięta. Ani swojej przeszłości, ani nawet imienia.

Walter milczał. Bart chwilę czekał na jego odpowiedź, a potem podjął przerwany wątek.

- Niech Alice ją zbada. Chciałbym wiedzieć, czy taka luka w pamięci w ogóle jest możliwa.
- Wedle życzenia, milordzie. - Walter skinął głową.
- Dziwne to, lecz zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Alice będzie czekała, gdy tylko się przebudzisz.

Marguerite zdrzemnęła się późnym popołudniem, ale sen nie przyniósł jej krzty ukojenia. Bardzo źle spała. Dręczyły ją koszmary i obudziła się zlna potem. Podejrzewała, że to, co jej się śniło, miało znaczenie, lecz nie wiedziała jakie. Twarze, miejsca. Niczego nie rozpoznawała.

Potem przyszło najgorsze. Wydawało jej się, że tonie w zielonkawej wodzie. Że całe życie z wolna z niej ucieka. Gwałtownie otworzyła oczy, usiadła na łóżku i przycisnęła rękę do piersi. Bała się, a mimo to wciąż nic nie pamiętała. Szok nie przywrócił wspomnień.

Skrzypnęły drzwi komnaty i w progu stanęła zaszuszone i pomarszczona postać. Jakaś kobieta. Marguerite spojrziała na nią spod oka i z radością stwierdziła, że widzi o wiele lepiej niż przedtem. Mgła ustąpiła spod jej powiek.

- Wyglądasz pani nieco zdrowiej niżli poprzednim razem - powiedziała stara.
- Zatem mnie znacie?! - z nadzieją w głosie krzyknęła Marguerite i mimo woli złożyła dłoń, czekając na odpowiedź.
- Nie, milady - odparła stara. - Pierwszy raz w ży-

ciu widziałam cię dopiero tutaj, w tej komnacie, kiedy leżałaś nieprzytomna. Jestem Alice Hoget, zielarka i uzdrowicielka, lecz ran nie zszywam i nie nastawiam połamanych kości.

- Och! - Marguerite ze smutkiem zwiesiła głowę i lży nabiegły jej do oczu. Przez króciutką chwilę miała wątplą nadzieję - zupełnie bezpodstawną - że otrzyma odpowiedź na swoje pytania. Zamrugła oczami i pociągnęła nosem. Potem spojrzała na Alice - i w tej samej chwili zobaczyła, że z tyłu, za zielarką, zamajaczyła jakaś ciemna i wysoka postać.

Serce zamarło w piersiach dziewczyny. To znowu był lord Norwyck.

Teraz widziała go już dużo lepiej. Był młody i przystojny, chociaż miał nieruchomą twarz, jakby zastygła w gniewie.

Z jego ciemnych, niemal czarnych oczu wyzierało zniecierpliwienie. Mocno zaciśnięte usta zdradzały niechęć.

Złościł się, lecz Marguerite instynktownie wyczuwała, że miał w sobie wiele łagodności. Mimo woli dał tego dowody przedtem, choćby wtedy, kiedy się nią opiekował.

- Lord Norwyck mówi, że straciłaś pamięć.

Marguerite przez kilka sekund nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko pokiwała głową.

- Nic nie pamiętasz?

- Tylko jakieś twarze. Deszcz i burzę - wykrztusiła

z trudem. Nie potrafiła zapanować na jękami. - To dziwne - tak nic nie wiedzieć. W dodatku mam wrażenie, że to tkwi gdzieś w środku, we mnie, ale nie może się wydobyć na wierzch.

- Bez wątpienia - zgodziła się z nią Alice. - Słyszałam już o takich samych przypadkach. O utracie pamięci.

- Słyszeliście?! - krzyknęła Marguerite, nie bacząc na obecność Norwycka. - Powiedzcie zatem prędko, czy to minie? Kiedy sobie przypomnę i dlaczego...?

- Hola, hola, panienko - przerwała jej Alice. - Tego nie wiem. Aż tak mądra to ja nie jestem. Połóż się i pozwól, że dokładnie obejrzę ci głowę.

Marguerite posłusznie spełniła polecenie. Nagle uświadomiła sobie, że jest w nader skąpym stroju. Szybko nakryła się kołdrą po samą szyję.

- Lord Norwyck mówi, że masz także kłopoty z oczami, pani.

- To prawda. Miałam, lecz teraz jakby trochę już odzyskałam klarowność widzenia - odpowiedziała dziewczyna. Starła się nie zwracać uwagi na rycerza. -Wciąż widzę wszystko jak przez mgłę, ale jest lepiej.

- To dobry omen - zauważyła zielarka. - Myślę, że po pewnym czasie wróci ci też pamięć.

- Och, Alice, jesteście tego pewna?! - zawołała Marguerite, chwytając ją za pomarszczoną rękę.

- Pewna nie jestem - padła odpowiedź - ale przynajmniej taką mam nadzieję.

- Modlę się o to z całej siły.

Alice uwolniła dłoń z uścisku i spojrzała na stojącego tuż za nią lorda Norwyck.

- Nic więcej tu nie poradzę, milordzie - oznajmiła.

- Z chęcią przyjdę, kiedy jej będzie lepiej, lecz podejrzewam, że trochę czasu minie, zanim znikną wszystkie siniaki i skaleczenia.

- Co z jej pamięcią?

- W tym przypadku nic nie obiecuję. Jak Bóg da, to wszystko skończy się szczęśliwie.

Bart odprowadził ją do drzwi komnaty i dalej, do połowy schodów.

- Co o niej myślicie?

- W jakim sensie, milordzie?

- Mówi prawdę?

- O tym, że nic nie pamięta? - zapytała Alice.

-Cóż, tego nie wiem. Wygląda mi na całkiem szczerą. Niemożliwe, żeby ktoś tak piękny umiał tak bezczelnie kłamać. - Urwała nagle i Bart wiedział, że w tej chwili pomyślała o Felicii.

Bartholomew musiał się z nią zgodzić. Marguerite rzeczywiście nie wyglądała na oszustkę, lecz wiadomo przecież, jak podstępni bywają kłamcy. Są i tacy, którzy umieją każdego oszukać.

Powoli wrócił do komnaty i zastał dziewczynę stojącą przy wysokim oknie. Patrzyła na plażę i morze. W pewnym momencie odwróciła głowę.

- Och! - zawołała na jego widok i odskoczyła od parapetu. - Nie sądziłam...

- Że co? - Była naprawdę piękna. Bart przyglądał się jej falującym włosom i uwodzicielskim oczom. Wprawdzie miała na sobie halkę, ale to w przedziwny sposób czyniło ją o wiele bardziej godną pożądania, niż kiedy była całkiem naga.

- Nie sądziłam, że tak szybko wrócisz tutaj, panie.

- Chciałaś mieć odrobinę przerwy przed następną rundą?

- Rundą, milordzie?

Bart musiał przyznać, że jej zachowanie mogło być przekonujące. Stara Alice od razu poddała się urokowi tej ładnej buzi. Uwierzyła w szczerą dziewczynę. Ale on musiał zachować więcej rozsądku. Porzucił zatem myśl o współczuciu.

- Opowiedz mi, co pamiętasz z ostatniej burzy, ze statku.

- Nic nie pamiętam, milordzie. Jedyne to, że kiedy się zdrzemnęłam, śniło mi się, że tonę.

To w gruncie rzeczy niczego nie wyjaśniało. Bart uważnie patrzył w jej jasnozielone oczy, jakby w nich chciał odkryć prawdę. Życie od dawna nauczyło go, żeby nie wierzył pozorom. Wszak „niewinna” Felicia oszukała wszystkich - jego, Williama i nawet sir Waltera.

- To wszystko? - zapytał zimno.

- Nie - odpowiedziała. - Widziałam twarze. Te same twarze, które oglądałam w majakach, ale nie na jawie. Nie mam pojęcia, co to za ludzie.

- Bardzo wygodnie w twojej sytuacji.
 - Nie rozumiem, dlaczego mi nie wierzysz, panie - powiedziała, wyraźnie zakłopotana jego obecnością. Bart zauważył to i z premedytacją przysunął się jeszcze bliżej. Myślał, że może pod wpływem strachu wyzna mu całą prawdę.
 - Nie mam powodu, by cię oszukiwać - wyjąkała.
 - Nie? - spytał, patrząc na nią z góry. - Chcesz przez to powiedzieć, że nie znasz Armstronga ani żadnego z jego popleczników, na przykład MacEwena? - dodał ściszym głosem. Stał tuż przy niej. Jeszcze krok, a torsem dotknąłby jej piersi.
 - Nigdy nie słyszałam żadnego z tych nazwisk. A jeśli nawet, to ich nie pamiętam - szepnęła Margue-rite.
- Gdyby choć trochę się pochylił, mógłby ją pocałować. Musiał wyżyć całą siłę woli, żeby zachować niewzruszony spokój i dalej prowadzić przesłuchanie. Głębiej zaczerpnął tchu i lekko przymknął powieki.
- Drzwi komnaty rozwarły się z głośnym trzaskiem i do środka wtargnęły dwie dziewczynki. Kłóciły się za wzięcie. Bartholomew oderwał wzrok od Marguerite i z pozornym spokojem spojrzął na nieproszonego gościa.
- Eleanor! Kate! - odezwał się. starannie wymawiając ich imiona. Skrzyżował ręce na piersiach..
 - Pierwsza podbiegła Eleanor.
 - Co to za najście? - spytał.
 - Bartholomew! - zawołała Kathrwn. - Ona mnie

nie słucha! - Ze złością popatrzyła na siostrę. Eleanor mocno przywarła do nóg brata.

W drzwiach pojawił się następny intruz.

- Próbowałem je zatrzymać, Bart - zapewnił John.
- Wcale nie chciałem, żeby tu przyszły. Zwłaszcza te-raz, kiedy się kłóca.
- A gdzie wasza niańka? - zapytał Bart.
- Niepotrzebna nam niańka, Bartholomew! - zawołała Kate i wzięła się pod boki. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zmieniła się w prawdziwą jędzę. A kiedy ktoś nie chciał jej słuchać, natychmiast wybuchała płaczem. Bart znał powód jej zachowania i częściowo ją nawet rozumiał, nie mógł jednak pozwolić, żeby nim rządziła.

Lecz jak z nią postępować? Ledwo otrząsnęła się po śmierci ojca, kiedy nagle, niczym grom z jasnego nieba, spadły na nią kolejne nieszczęścia. Felicia i William. To za dużo dla dziecka.

- Eleanor - westchnął i delikatnie uwolnił się z objęć siostry. - Chociaż raz mogłabyś posłuchać Kate.
- Nie, Bartie! Nie chcę! Oczywiście.
- Eleanor. Ona to wszystko robi dla twojego dobra.
- Wciąż mi dokucza! Uważa się za mamę albo tatę! Wcale tak nie jest!
- Kathryn z okrzykiem skoczyła w stronę siostry, ale John złapał ją wpół i przytrzymał. Bartholomew stanął przed Eleanor, osłaniając ją własnym ciałem.
- Kate! Natychmiast masz się udać do dziecięcej ko-

mnaty! - polecił. Nie chciał dalej roztrząsać tej sprawy w obecności Marguerite. - Odprowadzisz ją, John.

- Tak jest - odpowiedział chłopiec.

- Ale... - zaczęła Kathryn.

- Porozmawiam z tobą na dole - przerwał jej Bart stanowczo. John wziął ją za rękę i wyprowadził na ko-rytarz. - A ty... - Bart kucnął i popatrzył siostrzyczce prosto w oczy - nie możesz ciągle sprawiać jej kłopotów. Kate się o ciebie martwi.
- Wcale nie musi - odparła Eleanor. Wbiła wzrok w podłogę i przygryzła dolną wargę. - Nie jest moją niańką ani mamą. A poza tym już jestem duża. Sama umiem o sobie zadbać.

Uważała się za dorosłą, chociaż wzrostem sięgała mu zaledwie do połowy uda. Pewnie roześmiałyby się, gdyby nie Marguerite.

Objął siostrzyczkę i delikatnie pociągnął za sobą w stronę wyjścia. Kiedy znaleźli się za progiem, na moment odwrócił głowę i spojrzał na Marguerite,

- Jeszcze nie skończyliśmy - zapowiedział.

Starannie zamknął za sobą drzwi. Marguerite narzuciła szal na ramiona i usiadła w fotelu koło kominka. Miotły nią sprzeczne uczucia. Wśród obcych i nieznanych twarzy raz po raz migało jej surowe oblicze Bartholomeu Holtona. Nie potrafiła uporządkować myśli w żaden sensowny sposób.

Z jednej strony wiedziała, że earl jest jej niechętny. Słowem lub gestem umiał sprawić, że ogarniało ją prze-

rażenie. Serce waliło jej tak głośno, że chyba nawet on to słyszał. A z drugiej strony odczuwała coś na kształt fascynacji.

Spodobał jej się.

Marguerite siedziała nieruchomo. Było jej źle od chwili, gdy się obudziła w tym nieznanym zamku, ale nikt jej tu nie skrzywdził. Nawet posępny i srogi earl Norwyck nie wydawał jej się nikczemnikiem. Wszak wystarczyło spojrzeć, z jaką czułością zajmował się siostrami. Mimo pozorów surowości nie potrafił ukryć prawdziwych uczuć. Kochał je - i to było widać za każdym razem, kiedy z nimi przebywał.

Czuje niechęć wyłącznie do mnie, myślała Marguerite. Ale dlaczego? Nic z tego nie rozumiała.

Podciągnęła nogi pod siebie i niewidzącym wzrokiem wpatrzyła się w płomienie. Postanowiła, że na razie odplaci mu tym samym. Będzie dla niego oschła i wyniosła tak długo, aż w końcu coś się wyjaśni.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ranek wstał jasny i słoneczny. Marguerite wyjrzała przez okno komnaty i przekonała się, że widzi zupełnie normalnie. Przed sobą miała szeroką czystą plażę, na niebie zaś wypatrzyła mewy.

Prędko zmówiła cichą modlitwę w podziękę za przywrócenie wzroku. Gdyby tak jeszcze mogła odzyskać utraconą pamięć.

Z okna po drugiej stronie rozciągał się widok na dziedziniec. Marguerite przeszła przez komnatę i z ciekawością popatrzyła w dół.

Zobaczyła rycerzy zawzięcie ćwiczących na placu treningowym. Kilku z nich dosiadało koni. Jeden z jeźdźców raz po raz atakował włócznią chochoła z przyczepioną tarczą. Niewątpliwie był silny, ale jednocześnie imponował zręcznością i gibkością ciała.

Marguerite instynktownie wiedziała, kto to taki. Chociaż nosił jedynie koszulę bez herbu, za to przepoconą od forsownych ćwiczeń, domyśliła się, że to Bartholomew Holton. Włosy miał związane w krótki kucyk i zapewne jak zwykle się srożył, chociaż z tak daleka nie mogła dostrzec jego twarzy.

Wzdrygnęła się i pospiesznie odeszła od okna, zaniepokojona swoimi myślami. Przecież earl Norwyck nie żywił do niej żadnych cieplejszych uczuć. A ona sama nie wiedziała, czy przypadkiem nie jest zaręczona. A może miała męża lub dzieci?

Myśl o dzieciach sprawiła, że odruchowo przesunęła ręką wzdłuż ciała, od piersi do brzucha. Piastowała kiedyś dziecko? Karmiła piersią?

Chyba nie, chociaż nie była tego całkiem pewna. Wszak w strzępach wspomnień widywała dzieci. To musiało mieć jakieś znaczenie. Co to za dzieci? Czyje? Dlaczego przychodziły do niej, kiedy tylko zamknęła oczy?

Głowa ją rozboleła od ciągłego myślenia. Marguerite przycisnęła rękę do czoła i postanowiła zająć się czymś innym. Powoli obeszła cały pokój, przyglądając się sprzętom i meblom.

Łóżko, jak już wiedziała, było wygodne i miękkie, okryte czystą pościelą, ciepłą kołdrą i wełnianym kocem. Dwa fotele stały przed kominkiem, w którym trzaśkały palące się polana. Na ścianach wisiały różnobarwne kobierce - piękne i tchnące ciepłem świadectwo rodzinnego szczęścia.

Na małym zydłu stała miednica, a obok - krótka wyściełana ława. Nad miednicą wisiało lustro.

Po drugiej stronie łóżka, tuż przy ścianie, ustawiono dwa kufry. Marguerite zajrzała do pierwszego z nich i stwierdziła, że są w nim suknie, halki i pończochy. Znalazła też ubrania, które wczoraj przyniosła jej Ele-

anor. Na samym dnie leżały buty. Marguerite wyjęła je i próbowała włożyć. Okazało się, że w środku są pełne klejnotów.

Były tam różne pierścienie, łańcuchy i wisiory, wszystkie ze złota i wysadzone drogimi kamieniami. Marguerite zważyła je w dłoniach. To pewnie Eleanor je tu podłożyła, pomyślała. Zapewne chciała sprawić mi przyjemność, a przecież jeszcze jest zbyt mała, żeby znać prawdziwą wartość biżuterii.

Odłożyła klejnoty z powrotem do buta i ukryła go w skrzyni. Postanowiła, że przy najbliższej sposobnej okazji dopilnuje, by wszystko wróciło na właściwe miejsce. Tymczasem otworzyła drugi kufer i zerknęła do środka.

Zobaczyła dwa instrumenty muzyczne: psalterion i gitarę. Z jakiejś przyczyny, której nie umiała odgadnąć, wydawały jej się o wiele cenniejsze od klejnotów, które znalazła przedtem.

Ostrożnie wyjęła instrumenty z kufra i położyła na łóżku. Przez dłuższą chwilę podziwiała ich kunsztowną robotę. Wszystko tu było piękne i na swoim miejscu: od polerowanego pudła, do mocno napiętych strun. Marguerite przesunęła dłonią po strunach gitary, żeby posłuchać dźwięku.

To wszystko było jakieś znajome. Instrument, struny, strzępek melodii. Gitara wymagała lepszego nastrojenia. Marguerite odruchowo sięgnęła do kołków. Tu trochę poluźniła, tam lekko napięła. Wreszcie śpiew strun

zabrzmiał prawie tak jak trzeba, choć ciągle czegoś brakowało.

Nie miała czasu, żeby nad tym dłużej się zastanawiać, bo znowu skrzypnęły drzwi i weszła Eleanor.

- Masz gitarę mamy! - zawołała, podchodząc do łóżka.
- Och, naprawdę? - zająknęła się Marguerite. - Nie wiedziałam. Przepraszam, zaraz ją odłożę.
- Nie trzeba. Potrafisz grać?
- Nie wiem.
- Spróbuj.

Marguerite wzięła instrument do ręki i zagrała. Jej palce szybko przebiegły po strunach i pobudziły je do życia. Komnata wypełniła się słodkim brzmieniem.

Umiem grać! - pomyślała oszołomiona.

Eleanor klasnęła w dłonie. Marguerite popatrzyła na nią ze zdziwieniem, a potem przeniosła wzrok na gitarę.

- Zagraj coś jeszcze!
- Czegoś... czegoś tu nie ma. - odpowiedziała Marguerite. Z namysłem zmarszczyła brwi. Instrument znakomicie pasował do jej dłoni, ale czegoś mu brakowało. Czegoś ważnego.
- Wiem! - Eleanor odwróciła się, poszperała w skrzyni i wyciągnęła stamtąd jakiś niewielki przedmiot. - Kath-ryn nazywa to plet... plek...
- Plektronem - dokończyła za nią Marguerite, chociaż nie wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy. Ot, właściwe słowo pojawiło się zupełnie samo.

- Właśnie! - przytaknęła Eleanor. - A kiedy Kate próbuje grać, to wychodzi jej straszne miauczenie. - Zmarszczyła nos i z dezaprobatą pokręciła główką.

Marguerite wyjęła jej kostkę z dłoni i znów uderzyła w struny. Teraz instrument nabrał więcej werwy. Nagle zdała sobie sprawę, że musiała grywać już wcześniej. I to nie raz. Kiedy spojrzała na koniuszki palców lewej dłoni, zauważyła tam wgłębienia, które świadczyły o tym, że dość często miała do czynienia z gitarą lub podobnym instrumentem.

- Och, byłabym zapomniała! - zawołała Eleanor. - Sir Walter przysłał mnie, bym spytała, czy przypadkiem nie jesteś głodna. Może zejdziesz na dół, do wielkiej sali, i razem z nami zjesz śniadanie? Czy wolisz, żeby je przyniesiono tutaj?

Marguerite nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. Tkwiła w tej komnacie od chwili przebudzenia, a mimo to odczuwała strach na myśl o tym, że miałyby ją opuścić.

- Chyba twój brat...

- Bartie razem z innymi ćwiczy na placu treningowym - wpadła jej w słowo Eleanor. Uniosła wieko ku-fra kryjącego odzież i wyjęła ciemnozieloną suknię. - Nie wróci przez parę godzin - zapewniła.

Marguerite odłożyła gitarę i wzięła suknię z rąk dziewczynki. Strój był naprawdę piękny - aksamitny, wyszywany białym jedwabiem i haftowany złotem.

- To należało do twojej matki? - zapytała Marguerite.

- Nie. Do żony Barta.

- Żony?

- Tak - odparła Eleanor. Popatrzyła w bok. - Umarła na wiosnę.

A zatem tutaj tkwiła właściwa przyczyna nieprzyjawnego zachowania earla! Zmarła mu ukochana żona, a jej dawna komnata przez przypadek stała się schronieniem nieproszonego gościa. Nic dziwnego, że tak się złościł. Po namyśle Marguerite doszła do wniosku, że nie powinna paradować w sukni lady Norwyck.

- Twój brat zapewne się rozgniewa, widząc mnie w tym stroju.

- Niby dlaczego?

- Za bardzo będę mu przypominała jego nieszczęsną żonę.

Eleanor zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Wcale nie - odpowiedziała wreszcie. - Nigdy jej w niej nie widział.

Na twarzy Marguerite odmalowało się zdziwienie. Eleanor musiała to zauważyć, dodała zaraz bowiem tonem wyjaśnienia:

- Uszyto ją, kiedy Bartie był jeszcze na wojnie. Walczył ze Szkotami - powiedziała. - A jak wrócił do do-mu, Felicia zaszła w ciążę, więc jej nie nosiła.

- I zmarła przy porodzie?

- Tak - odparła Eleanor. - Dziecko także.

- To straszne - powiedziała Marguerite, szczerze zasmucona tym, co usłyszała. - Na pewno mocno to przeżył.

- Na pewno - rzeczowo potwierdziła Eleanor. - Powiedział, że kark skręci temu łajdakowi od Armstrongów, który obdarzył ją bękartem.

Marguerite i Eleanor powoli zeszły ze schodów do wielkiej sali.

- Milady - odezwał się z uśmiechem John na widok Marguerite. Zerwał się z miejsca, podszedł do schodów i jak prawdziwy rycerz podał jej ramię. Razem zbliżyli się do stołu.
 - Rad jestem, że zdecydowałaś się dołączyć do nas - powiedział.
 - Dziękuję, Johnie - odparła Marguerite, wdzięczna losowi za tę odrobinę zwyczajności.
- Henry jadł, aż mu się uszy trzęsły, i na nic nie zwracał uwagi. Kathryn też była przy stole, ale natychmiast prze-rwała śniadanie i złożyła ręce na kolanach. Wyraźnie nie aprobowała obecności Marguerite. Jak okiem sięgnąć, nikt w pobliżu nie wyglądał na sir Waltera.
- Dzień dobry wszystkim - wesoło powiedziała Marguerite.
 - Usiądź tutaj, milady - zaproponował John. - Po mojej prawej ręce.
 - Dziękuję - odparła i zajęła wyznaczone miejsce. Kątem oka zauważyła skwaszoną minę Kathryn.
 - Idę na plac - oznajmił nagłe Henn. Otarł usta i wstał.
- Bartholomew ci zabronił - przypomniała Kathryn.

- Wypchaj się, mała. - Henry przeszedł na drugą stronę stołu. - Robię to, co mi się podoba.

Kathryn przygryzła wargi, powstrzymując się od odpowiedzi, lecz widać było, że nie pochwała zachowania brata. Co gorsza, obraził ją - i to w dodatku przy nie-pożądanym gościu.

- Mamy chleb i rybę - powiedziała Eleanor, nie zważając na słowa Henry'ego. Podsunęła półmisek w stronę Marguerite.
- I nieco cydru - dodał John, napełniając kubek.
- Dziękuję bardzo - odparła Marguerite i zabrała się do jedzenia. Dobrze czuła się pośród dzieci. Tak być po-winno, pomyślała. W tym momencie napłynęło wspomnienie - trzy jasne główki pochylone nad sto-łem; rozszczębiotane i wesołe dzieci, zajęte jedzeniem - i szybko zniknęło. Bezskutecznie usiłowała je przy-wołać. Wytężała umysł tak bardzo, że poczuła zawrót głowy.
- Milady? - z niepokojem odezwała się Eleanor, kładąc jej dłoń na ramieniu.
- Och. To nic takiego - uspokoiła ją pośpiesznie Marguerite. - To tylko głowa. Wciąż mnie trochę boli.
- Może powinnaś wrócić do łóżka?
- Nic mi nie będzie. Chociaż z chęcią wyszłabym na dwór. - Pomyślała, że świeże powietrze ostudzi roz-paloną głowę i pozwoli zebrać choć strzępy wspo-mnień.

- Pójdziemy porozmawiać z Bartem? - zapytała Eleanor, wstając od stołu.
- Raczej nie - odpowiedziała Marguerite. Była przekonana, że lord Norwyck nie tęskni za jej towarzysztwem. Wolałby zapewne, by jak najszybciej opuściła zamek. - Chodźmy lepiej na plażę. Tam, gdzie twój brat mnie znalazł. Kathryn uderzyła w stół otwartą dłonią.
- Bartholomew będzie się gniewał, jeśli wyjdziecie poza mury!
- Nawet na plażę?
- Dobrze wiesz, co o tym mówił, Eleanor! - ze złością rzuciła Kathryn. Rozmawiała wyłącznie z siostrą, ignorując obecność Marguerite. - Nikomu nie wolno wychodzić z zamku. Armstrongowie mogą być w pobliżu.
- Ostatnim razem nieźle ich pogoniliśmy - wtrącił John.
- Tak, ale...
- Nie ma o czym mówić, Kathryn - odezwała się Marguerite. Nie chciała stać się powodem kłótni. - Jeżeli wolno, to w zamian przejdę się po ogrodzie. Kathryn wzruszyła ramionami.
- Wolno - burknęła pod nosem.
- Pójdę z wami - zaproponował John i podniósł się ze stołka.
- Nie, Johnie - odpowiedziała Marguerite. Chciała być teraz sama ze swoimi myślami. Delikatnie dotknęła

ręki Eleanor. - Potrzebuję chwili samotności - zwróciła się do obojga.

Byli wyraźnie rozczarowani, lecz nie protestowali. Z godnością przyjęli jej odmowę.

- Mam ci przynieść szal? - spytała Eleanor, która zdążyła już odzyskać swój zwykły entuzjazm.

Marguerite uśmiechnęła się.

- Owszem. To bardzo miło z twojej strony.

Bartholomew oddał miecz i tarczę młodemu paziowi. Giermek zdjął z niego ciężki pancerz. Bart schylił się i odpiął ostrogi i nagolenniki, z niezmaconym spokojem słuchając przemowy Henry'ego.

- Bartholomew! Już dawno powinienem rozpocząć ćwiczenia - mówił chłopiec lekko podniesionym głosem. - Przecież nigdy nie będę rycerzem, jeśli nie zacznę jak najszybciej uprawiać się w szermierce!

Niewątpliwie miał rację, ale Bart wołał trzymać braci bezpiecznych za grubymi murami zamku Norwyck. Gdyby ich wysłał gdzieś do krewnych na zwyczajowe przyuczenie, byłiby narażeni na mnóstwo niebezpieczeństw. Tutaj przynajmniej miał ich na oku i mógł zapewnić im ochronę.

Bart oddał giermkowi ostatnią część zbroi i odwrócił się w stronę Henry'ego.

- Wezmę to pod rozwagę.

- To mi nie wystarcza - zaperzył się chłopiec i zakołysał się na piętach. - Jestem gotów. Wiesz o tym.

- Bart objął go i poprowadził w stronę głównej wieży.
- Tak ci spieszno, żeby nas opuścić?
 - Nie o to chodzi - odpowiedział Henry. - Chcę stać się mężczyzną takim jak ty i Will! Jeśli mnie nie odeślesz...
 - Nie jestem głuchy na twoje prośby - zapewnił go Bartholomew. - Mówię tylko.
 - ... że weźmiesz to pod rozwagę - z goryczą dokończył Henry. - Wiem. Błagam cię, Bart! Chcę być ryce-rzem! Tak jak ty. Tak jak William. Dać solidnego łupnia tym wrednym Armstrongom. Może któregoś dnia to właśnie ja przyniosę głowę Lachanna do Norwyck.
 - Może - cicho potwierdził Bart. Prawdę mówiąc, po ostatnich wydarzeniach miał nadzieję, że jego bracia zechcą na stałe pozostać w Norwyck. Niestety, tak się nie stało. Przynajmniej nie w przypadku Henry'ego. Dotychczas John nie sprawiał kłopotów i na pozór nie palił się do wyjazdu. Henry jednak wyraźnie chciał po-stawić na swoim.

Bart opuścił rękę, którą obejmował brata, i powoli podszedł do drzwi wielkiej sali. Zimne powietrze ostudziło jego rozgrzane ciało i poczuł chłód przenikający przez cienką koszulę. Marzył teraz o ciepłej kąpieli. Chciał się ogolić, wypocząć i nie myśleć o rozstaniu z bratem.

Stanęli u podnóża wieży. Bart kątem oka zobaczył postać zmierzającą w stronę zardzewiałej furtki na plażę. Furtka była tak rzadko używana, że prawie już o niej

zapomniał. Odwrócił głowę, żeby dokładniej zobaczyć, kto to. Rozpoznał Marguerite.

- Idź przodem - powiedział do Henry'ego. - Zaraz cię dogonię.

Chłopak, zły jak osa, bo nie dostał jasnej odpowiedzi, z ponurą miną powlókł się do domu. Bartholomew pośpieszył za Marguerite. Miała na sobie zieloną suknię, a na ramiona narzuciła szal z ciemnej wełny. Zakrywał ją niemal do pasa. Nie nosiła czepka ani kaptura, więc włosy barwy dojrzalego miodu powiewały na lekkim wietrze. Nawet z daleka było widać jej delikatne rysy.

Czyżby próbowała po cichu uciec z Norwyck? Dokąd się wybiera? Z kim chce się spotkać? Przyspieszył kroku i dogonił ją, zanim zdołała dotrzeć do żelaznej furtki.

- Dokąd idziesz? - zapytał szorstko, chwytając ją za rękę.

Syknęła z bólu, kiedy brutalnym ruchem odwrócił ją w swoją stronę. Do diabła z kurtuazją! - pomyślał. Nie pozwolę zrobić z siebie głupca.

- D-do ogrodu - wyjąkała, usiłując uwolnić ramię.

Zawahała się i tym się zdradziła. Owszem, po drugiej stronie muru rzeczywiście rozciągał się ogród, lecz Bartholomew doszedł do wniosku, że ktoś, kto wybierałby się tam na spacer, nie jękałby się z przerażenia. Prychnął gniewnie.

- Niepotrzebnie pytam - burknął.

- Ja...
- Wróć do wieży, pani - przerwał jej w pół słowa.
 - I nie próbuj więcej.
- Nie! - krzyknęła. Dumnie uniosła głowę i skrzyżowała ręce na piersiach. - Nie wrócę tam przed space-rem. Skończę to, co zaczęłam.
- Nie masz prawa odmawiać.
- A ty nie masz prawa traktować mnie jak więźnia, panie! - odpowiedziała z błyskiem w oku. Usta jej drżały, jakby zaraz miała się rozpłakać, ale nie za-mierzała ustąpić. - Nie uczyniłam ci nic złego, milor-dzie. Ani tobie, ani twoim krewnym. Może byś za-tem przestał... przestał mnie traktować z taką podej-rzliwością!

Obróciła się na pięcie, poprawiła szal na ramionach i odeszła.

Bart ze zdumienia nie potrafił wykrztusić słowa, więc tylko patrzył za odchodzącą Marguerite. Szła wyprostowana, nie obejrzawszy się nań ani razu. W głębi duszy wcale nie była pewna siebie, lecz postanowiła tego nie okazywać.

Dogonił ją po paru krokach, złapał za łokieć i ponownie odwrócił do siebie. Pierś falowała jej przy każdym głębszym oddechu. Oczy ciskały błyskawice. Policzki miała zaróżowione, usta zaś - lekko rozchylone, jakby zamierzała mu coś powiedzieć. Bartholomew niewiele myśląc, pochylił się i pocałował ją.

Pocałunek był przelotny, ale to w zupełności wystar-

czyło, by Marguerite zapomniała o całym świecie. Mimo woli przysunęła się bliżej Barta, jakby chciała go objąć, lecz on nagle się cofnął. Wziął ją za rękę, otworzył furtkę i pociągnął za sobą w głąb ogrodu. Oszolomiona tym, co się stało, niemal bezwolnie dała się prowadzić.

Lato miało się ku końcowi i na drzewach widać już było nieomylnie znaki nadchodzącej jesieni. Zniknęły kwiaty, a z ziemi sterczały jedynie pociemniałe łodygi. Brązowy powój wił się pod nogami. Ogród był szary i odrobinę smutny, lecz Marguarite wcale tego nie widziała. Słyszała tylko bicie swego serca i czuła ciepło bijące od silnej męskiej dłoni zaciśniętej na jej nadgarstku.

Kiedy odeszli już dość daleko, Bart zatrzymał się w cieniu ogromnego dębu rosnącego na skraju ścieżki. Puścił ją, a ona odruchowo cofnęła się o dwa kroki i oparła plecami o pień drzewa. Dalej nie mogła uciekać.

Bart oparł obie ręce o pień i zamknął Marguerite w ramionach. Oczy płonęły mu niby dwa gorejące węgle. Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, po czym znowu ją pocałował.

Obiema rękami złapała go za przepoconą koszulę na piersiach i przyciągnęła do siebie. Przesunął dłonie na jej plecy, a potem niżej, w dół od talii - i przywarł do niej całym ciałem.

Marguerite zsunęła mu koszulę z ramion i delikatnie pogładziła twarde węzły mięśni. Biła od niego prawdzi-

wie męska siła, do tego stopnia, że zawirowało jej w głowie. Nerwy miała napięte jak postronki. Bartholomew odsunął się gwałtownie.

- Chyba zupełnie oszalałem - powiedział. Chwycił Marguerite za nadgarstki i ścisnął. Nie pozwolił, żeby cofnęła ręce. Miała wrażenie, że skóra płonie jej żywym ogniem i wcale nie chciała, żeby Bart od niej odszedł. Niczym we śnie postąpiła krok w jego stronę.

Zawahał się tylko przez moment. Nagle zdecydowanym ruchem porwał ją w ramiona, uniósł i wszedł jeszcze głębiej pomiędzy krzaki i drzewa. Zatrzymał się dopiero przed małą drewnianą chatą, dobrze ukrytą za kępą gęsto rosnących iglaków. Nogą otworzył drzwi i wszedł do środka.

Chata nie miała okien, więc światło wpadało tu jedynie z przodu. Marguerite stanęła o własnych siłach. Bart pocałował ją mocno i szybko, a potem odszedł, zostawiając ją cichą i drżącą. Zapalił lampę i zamknął drzwi. Zostali zupełnie sami, odgradzeni od świata, ukryci w opuszczonej chacie, w odległym zakątku ogrodu. Było to zarazem przerażające i podniecające. Marguerite wiedziała jednak, że nie powinna tutaj zostać.

Bartholomew jej nie ufał. Nie wierzył, że straciła pamięć. Nie chciała mieć z nim do czynienia, póki traktował ją w ten sposób.

- M-milordzie. - wykrztusiła z trudem. - Ja... - Spojrzała na niego, kiedy podszedł do niej znowu.

- O niczym nie myśl, Marguerite - powiedział i musnął ustami jej ucho, a potem szyję. - Po prostu poddaj się uczuciom.

Och, uczuła miała w sobie aż za wiele. Wystarczyło, by jej dotknął.

- Panie. Nie mogę. Przecież to nie do pomyślenia.

- Pragnę cię. - Zdjął jej szal z ramion i upuścił go na ziemię.

- Ja... ja...

Ujął jej piersi w obie dłonie. Marguerite pomyślała z żalem, że wołałaby być teraz naga. Chciałaby poczuć jego palce na swojej skórze.

- Ty też mnie pragniesz.

Westchnęła niemal z jękiem.

- A... jeśli mam męża, panie? - zapyła cicho, rozedrganym głosem. - Albo narzeczonego?

Bartholomew przerwał pieszczoty i wyprostował się gwałtownie.

- A masz?

- Nie wiem - szepnęła. - Podejrzewam, że nikt przedtem nie dotykał mnie w ten sposób, ale nie jestem pewna.

- Zatem nic się nie zmienia - rzekł szorstko. - Jak masz hołubić męża lub narzeczonego, skoro ich nie pa-miętasz?

- Nie wiem, milordzie - powtórzyła Marguerite. Powoli odzyskiwała spokój. - Jednak nie zdradzę męża, jeśli istnieje.

- Ale... - Bartholomew odwrócił się gwałtownie i nerwowym ruchem przesunął dłonią po włosach. Gniewnie zamruczał coś pod nosem, lecz Marguerite nie rozróżniła słów. Podeszedł do drzwi i stanął tyłem.
- Wybacz mi, panie, jeśli możesz.
- Chciałbym cię widzieć w moim łożu - powiedział, patrząc na nią przez ramię. - Nagą i chętną. Przyjdź do mnie, kiedy już podejmiesz decyzję.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Bartie! - krzyknęła Eleanor, widząc brata idącego ścieżką przez ogród.
 - Co się stało? - spytał zduszonym głosem. Siostra umiała go zaskoczyć, kiedy był na to najmniej przygotowany.
 - Jesteś zły?
 - Nie - burknął bardziej opryskliwie, niż zamierzał.
 - Ale tak wyglądasz.
 - O co chodzi?
 - Szukam lady Marguerite - odpowiedziała Eleanor, rezygnując z dalszych pytań. - Miała być w ogrodzie. Myślałam, że wciąż jesteś na placu treningowym.
 - Marguerite powiedziała ci, że idzie do ogrodu? - zapytał, nieco zdziwiony jej słowami.
 - Tak, na spacer - odparła. - Chciała odetchnąć świeżym powietrzem, żeby trochę ochłonąć i pomyśleć.
- Równie dobrze mogła przecież skłamać i wybrać się za mury, pomyślał. Dzieciom opowiedziała zaś bajeczkę o ogrodzie. Tak, na pewno kłamała.
- Widziałeś ją? - spytała Eleanor.
 - Hm?

- Bartie! - ofuknęła go dziewczynka. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Pytałam, czy lady Marguerite jest w ogrodzie!
 - Tak - odpowiedział z roztargnieniem - ale chyba jeszcze nie zebrała myśli.
- Zostawił Eleanor na ścieżce i wrócił do wieży.

Długo trwało, zanim Marguerite odzyskała spokój. Powoli podniosła szal i wyszła z chaty, starannie zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę stała nieruchomo, z ręką na drewnianym skoblu.

„Przyjdź do mnie, kiedy już podejmiesz decyzję”, powtórzyła w myślach słowa Barta. Nie ulegało wątpliwości, że chciał z niej zrobić kochankę.

Westchnęła z głębi piersi. Przyznawała w duchu, że podobał jej się Bartholomew Holton, pan na Norwyck. Wiedziała jednak, że nie może się w nic angażować. Zwłaszcza teraz, gdy nie знаła swojej prawdziwej przeszłości. Co gorsza, nie umiała kochać bez zobowiązań. I chociaż pieszczoty Barta sprawiały jej zmysłową rozkosz, to jej uczucia płynęły prosto z serca.

Bartholomew nie był zdolny do takiej miłości. Marguerite podejrzewała, że potraktowałby kochankę jak wasalę. Dawałby jej ochronę i pewnie nagradzał prezentami w zamian za wierność i posłuszeństwo. Nie widziała siebie w takiej roli. To na pewno by ją zniszczyło.

Drgnęła, słysząc dziecięcy głosik śpiewający jakąś piosenkę. Odwróciła się i zobaczyła wesoło podskaku-

jącą Eleanor. Dziewczynka nadbiegła dróżką. Margue-rite odstała od drzwi i skinęła jej głową.

- Lepiej się czujesz? - spytała Eleanor.
- Marguerite uśmiechnęła się.
- O, tak. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś przy mnie. Pokażesz mi najciekawsze miejsca w tym ogrodzie?
 - Mam lepszy pomysł - odpowiedziała Eleanor i oczy jej się zaświeciły z podniecenia. Wzięła Margue-rite za rękę i pociągnęła w przeciwną stronę niż ta, z której przyszła.
 - Zobaczymy murarzy stawiających mur?
 - Poczekaj - odparła Marguerite. - Najpierw mi wyjaśnisz, skąd się wzięła biżuteria w kufrze.
 - Biżuteria?
- Marguerite popatrzyła na dziewczynkę spod oka.
- Tak. Włożyłaś ją do buta. Dobrze wiedziałas, że ją tam znajdę, kiedy zacznę przymierzać suknie.
 - Myślałam, że ci się spodoba - powiedziała Eleanor, zrozumiałwszy, że nie ma się co wykręcać.
 - Nie o to chodzi. Czyja to własność? Do kogo należą te klejnoty?
 - Do Norwyck - odparła Eleanor. - Bartie trzyma je w kasetce w swoim pokoju.
 - W takim razie zaraz po powrocie musisz je tam odnieść. Co do jednego.
 - Dobrze - z ociąganiem powiedziała Eleanor, ale natychmiast poweselała. - Pójdziemy teraz zobaczyć mur?

Marguerite poszła za nią w dużo lepszym nastroju. Cieszyła się, że lepiej pozna Norwyck, bo z okien zamkowej wieży niewiele było widać.

- Jaki mur?
 - Wokół wioski. - Eleanor zwinęła spódnicę i wdrapała się na niską gałąź rosnącego w pobliżu drze-wa. - Bartholomew mówi, że to jedyny sposób, aby uchronić się przed Armstrongami.
- Niezły pomysł.
 - Nie wymyślił jeszcze, jak powstrzymać Armstrongów od kradzieży krów i owiec pasących się na wzgó-rzach - dodała Eleanor i wspięła się nieco wyżej.
 - Ale wieś jest ważniejsza - zauważyła Marguerite, z podziwem patrząc, jak Eleanor zręcznie sadowi się na gałęzi. Ciekawe, gdzie zgubiła niańkę? - przeniknęło jej przez głowę.
- Nasze bogactwo to przede wszystkim owce.
 - Dużo wiesz, jak na taką małą dziewczynkę - pochwaliła Marguerite.
 - No pewnie - bez wahania zgodziła się dziewczynka, wyciągając ręce do następnej, jeszcze wyższej gałę-zi. - Kiedyś w końcu urosnę i będę wielką damą. Niania Ada wciąż mi powtarza, że muszę wiele się nauczyć, zanim opuszczę Norwyck i zostanę żoną jakiegoś księcia.

Marguerite z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Może zejdź tutaj i powiedz mi dokładnie, kogo masz na myśli?

- Nikogo - westchnęła Eleanor. - Bartie na pewno mi kogoś znajdzie. - Zeszła niżej i z ostatniej gałęzi skoczyła na ziemię. Wzięła Marguerite za rękę i pociągnęła dalej. - Kathryn na pewno pierwsza wyjdzie za mąż, lecz Bartie już się postara o to, żeby trafił mi się ktoś lepszy. Nabierze doświadczenia.

Marguerite zachichotała mimo woli i poprosiła swoją małą przyjaciółkę, żeby opowiedziała jej coś o murze.

- Bartie mówi, że wszystkie chaty muszą być wewnątrz muru. Mamy nawet dwie studnie, jedną w zamku, a drugą w samym środku wioski!

To był naprawdę dobry pomysł. W takim przypadku Norwyck mogło wytrzymać długie oblężenie. Oddzielną sprawą było jadlo, lecz Marguerite podejrzewała, że tak jak wszędzie, tak i tutaj chłopci ukryli zapasy ziarna, a w obejściach trzymają drób i świnie.

Nie wiedziała, skąd zna się na tych sprawach. Po prostu uznała, że tak jest, i tyle. Po krótkim spacerze zatrzymały się w miejscu, w którym wznoszono potężną warownię, w przyszłości mającą bronić głównej bramy. Murarze uwijali się wśród ciężkich głazów, zwiezionych tutaj z całej okolicy. Marguerite ze zdumieniem patrzyła na ogrom robót. Bartholomew rzeczywiście zamierzał dobrze i skutecznie bronić ojcowizny.

Zewsząd było słycać szczeł narzędzi i pokrzykiwania robotników, a w powietrzu unosiły się tumany kurzu. Grupka mężczyzn ciągnęła wóz pełen kamieni.

Jedni murarze stali na drabinach, zajęci budową muru, inni mieszaży zaprawę, a jeszcze inni uszczelniali niewielkie szpary w nowo powstającej ścianie.

Eleanor z upodobaniem rozprawiała o wszystkim, co się tutaj działo. Obeszły cały plac budowy, co i rusz przystając, żeby zamienić jedno lub dwa słowa z robotnikami. Marguerite wciąż musiała odciągać dziewczynkę od niebezpieczniejszych miejsc. Eleanor jednak musiała niemal wszędzie wejść i zajrzeć. Bywały chwile, w których wydawało się, że jest z obu stron muru naraz. W pewnym momencie potknęła się o wiadro i wsadziła jedną nogę w cebrzyk z gotową zaprawą.

- Eleanor! - krzyknęła Marguerite. Wprawdzie nie była opiekunką dziewczynki, ale zdawała sobie sprawę, że powinna ją stąd zaraz zabrać, zanim zrobi sobie krzywdę.

Barczysty mężczyzna w brązowym odzieniu złapał dziewczynkę za ramię, nim zdążyła upaść w zaprawę.

- Naprawdę jestem pod wrażeniem tego, co tutaj zobaczyłam - powiedziała do niej Marguerite i z wdzięcznością spojrziała na olbrzyma, który uratował je od katastrofy. Wzięła Eleanor za rękę i odprowadziła na bok. - Wydaje mi się, że powinniśmy już wracać do zamku.

- Właśnie - mruknął robotnik, wycierając buty dziewczynki. - Twój brat zabronił ci tu się kręcić, pa-nienko. Byłby zły, gdyby cię zobaczył.

Niesfora Eleanor znów mu się wymknęła.

- Milady - olbrzym zwrócił się do Marguerite - nie-

dawno posłaliśmy po lorda Norwyck, bo mamy tu pewne kłopoty. Zjawi się pewnie lada chwila. Niedobrze będzie, jeśli ujrzy siostrę. Lepiej, żeby jej tu nie było.

Marguerite wolała też, aby i jej tu nie zastał. Szybko skinęła głową robotnikowi i pobiegła za dziewczynką. Rozbawiona Eleanor uciekła i schowała się za wysokim stosem kamieni. Marguerite przestraszyła się, że któryś kamień może się osunąć i dojdzie do wypadku. Zastanawiała się przez chwilę, jak poradzić sobie z nieposłusznym dzieckiem, i wreszcie wymyśliła podstęp.

- Nigdy mnie nie przegonisz! Będę pierwsza w zamku! - zawołała. - Nawet jak dam ci fory.

Eleanor natychmiast wyskoczyła zza kamieni. Marguerite odetchnęła z ulgą.

- Nieprawda! Zobaczysz, że będę pierwsza! - krzyknęła dziewczynka i puściła się pędem. Marguerite obserwowała ją przez kilka sekund.

- Lepiej od innych radzisz sobie z nią, pani - usłyszała za sobą głos olbrzyma. - To trzeba przyznać.

Odwróciła się, żeby coś powiedzieć, i w tej samej chwili zobaczyła, że Bartholomew już przybył na plac budowy. Stał nieco z tyłu, za robotnikiem, i obserwował ją w milczeniu. Nie wiedziała, jak długo na nią patrzył.

Nic nie powiedział. Marguerite skłoniła mu się lekko, a potem odwróciła się i odeszła.

Bart już od dawna nosił się z zamiarem znalezienia nieco młodszej piastunki dla swoich siostr i braci. Ta-

kiej, która miałaby więcej siły od biednej starej Ady. Wiekowa niania wyraźnie podupadła na zdrowiu w ciągu minionego roku i Bartholomew chciał ją oszczędzić. Nie miała już tyle werwy co dawniej, by przekomarzać się z dziewczynkami.

Przez chwilę patrzył za odchodzącą Marguerite i nikły uśmiech pojawił się na jego wargach. Po mistrzowsku poradziła sobie z Ellie - może nawet lepiej od niego.

- Milordzie? - Głos Symona Michaelsona sprowadził go z powrotem na ziemię. Pora na pilniejsze sprawy.
- Co się stało?
- No, cóż. Rządca znów pokłócił się z sołtysem. O mało się nie pobili.

Już nie pierwszy raz dochodziło do podobnej sprzeczki w trakcie budowy muru. Rządca Darcet był oschłym człowiekiem, nawykłym do rozkazywania. Jego kąśliwe uwagi i sądy budziły na ogół niechęć wśród chłopów. Zdarzało się, że nawet Bart powątpiewał w jego kompetencje. Sołtys z kolei znał wszystkich we wsi i wiedział, jak się komu żyje. Wyznaczał więc do pracy tych, którzy się do tego najbardziej nadawali.

Do tej pory Bartholomew starał się, aby nie mieli ze sobą do czynienia. W ten sposób mógł zachować względny spokój. Budowa muru pokrzyżowała plany. Sołtys i rządca spotykali się o wiele częściej i niemal ciągle się kłócili. Bart żałował, że nie potrafi poradzić sobie z nimi równie dobrze, jak Marguerite z Eleanor.

Poszedł za Symonem do wrót i przez godzinę starał się uspokoić rozgorączkowane głowy. Wreszcie wszystko wróciło do normy i ludzie wzięli się do roboty. Bart przysłuchiwał się dyskusji, chociaż myślami był gdzie indziej. Marguerite wzbudziła w nim tak wielkie pożądanie, jakiego do tej pory nie doświadczył. Nie przeszkadzało mu nawet to, że nie wiedział, kim jest, i że nie wierzył w jej perfidne kłamstwa.

Wciąż jej nie ufał. Owszem, mogła na dłużej zatrzymać się w Norwyck, ale to przecież wcale nie znaczyło, że da wiarę jej opowieściom. Była powabna i piękna - i na tym koniec.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez cały dzień przez głowę Marguerite przemykały strzępy rozmaitych wspomnień, których jednak nie mogła połączyć w całość. Pod wieczór poczuła się rozbita i zmęczona. Mimo najszczerzej chęci nie umiała sobie przypomnieć, kim były jasnowłose dzieci i gdzie stał dom tonący w kwiatach. Owszem, zdawała sobie sprawę, że to ma dla niej znaczenie, ale nie wiedziała jakiego.

Zatopiona w niezbyt wesołych rozważaniach, dopiero grubo po wieczery pomyślała o klejnotach ciągle spoczywających w kufrze. Niestety, Eleanor z rozkazu brata powędrowała do swojej komnaty dlatego, że uciekła od niani Ady i przeszkadzała robotnikom na budowie. Marguerite musiała zatem uzbroić się w cierpliwość i poczekać do stosownej chwili.

Kolacja minęła w ciszy. Bartholomew nie zjawił się wśród domowników, bo w kompanii zbrojnych wybrał się na konny patrol po najbliższej okolicy. Tylko John próbował podtrzymać rozmowę. Henry, jak to miał w zwyczaju, jadł w milczeniu. Kathryn, kiedy tylko skończyła jeść, pod byle pretekstem odeszła od stołu.

Wkrótce potem Marguerite poszła za jej przykładem. Było jej smutno i czuła się bardzo samotna.

Wróciła na wieżę. Po wejściu do komnaty z przyjemnością stwierdziła, że pod jej nieobecność ktoś rozpałił ogień w kominku. Usiadła przy oknie i patrząc na morze, próbowała zebrać rozproszone myśli. Noc zapadła i na zewnątrz zrobiło się ciemno. Marguerite zapaliła lampę i przez chwilę stała nieruchomo pośrodku komnaty.

Wreszcie uklękła obok kufra, uniosła wieko i wyjęła klejnoty. Każdy oddzielnie podziwiała w migotliwym świetle. Wcale nie chciała mieć ich tu, przy sobie, ale na razie nic nie mogła na to poradzić. Przyrzekła sobie, że jak najszybciej trafią do komnaty Barta.

Ukryła skarb na dnie kufra i zaczęła przygotowywać się do snu. Najpierw poprosiła Boga, żeby zwrócił jej pamięć. Potem zmówiła krótką modlitwę za Barta, żeby szczęśliwie zakończył patrol, a na końcu za jego rodzeństwo, wszystkich krewnych i domowników zamieszkałych w Norwyck.

Rozebrała się do koszuli i umyła. Już miała zdmuchnąć lampę i położyć się do łóżka, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi. To był Bartholomew.

Zatrzymał się urzeczony jej urodą. Niezależnie od tego, czy była ubrana, czy - tak jak teraz - prawie naga, podobała mu się jak żadna inna kobieta.

- M-milordzie? - odezwała się z zażenowaniem.

Wszedł dalej, sam nie wiedząc, co sprawiło, że o tej

porze wspiął się aż na piętro wieży, brudny i zmęczony, cuchnący końskim potem. Przecież niedawno jej powiedział, że to ona ma przyjść do niego.

- Czy coś...
- Moim siostróm potrzebna jest lepsza opieka - oznajmił nagle i założył ręce do tyłu. Pomyślał o tym do-piero teraz, kiedy szukał jakiegoś w miarę sensownego usprawiedliwienia tak późnej wizyty.

- Przyszło mi do głowy, że mogłabyś...

- Mogłabym?
- ... zając się nimi - dokończył i postąpił krok w jej stronę. - Przynajmniej na pewien czas, póki nie znajdę odpowiedniej niańki.
- Ale ja jestem tutaj obca, panie - odparła nieśmiało. Z oparcia krzesła wzięła szal i narzuciła go na ramiona, czując się nieswojo w koszuli.

Bart podszedł nieco bliżej. Dłonie aż go świerzbily, tak bardzo chciał jej dotknąć. Z trudem nad sobą zapłnował.

- Wyjadę z Norwyck, kiedy tylko przypomnę sobie, kim jestem i skąd pochodzę.

- Pamięć ci wraca?

Pokręciła głową.

- Nie. Nie bardzo. Kilka twarzy, dom wśród kwiatów. To wszystko.

- Pewnie upłynie nieco czasu, zanim zupełnie wyzdrowiejesz i dowiesz się, kim jesteś i skąd pochodzisz. -Podjął jej grę.

Oczy Marguerite załśniły łzami. Bart nie był pewny, czy nie udawała. Może liczyła na współczucie?

Biedna. Nie wiedziała, że się nie doczeka. Nie miał dla niej ani krzty litości.

- Cóż. Myślę, że mogłabym opiekować się Eleanor - odpowiedziała. Odsunęła się od niego i stanęła przed kominkiem, nieświadoma tego, że blask ognia sprawił, iż koszula stała się przezroczysta. Bart wyraźnie widział zarys bioder i kształtne smukłe nogi. Z wrażenia zaschło mu w ustach. - Kathryn na pewno mnie nie zaakceptuje.
- Widziałem dzisiaj, jak znakomicie poradziłaś sobie z Eleanor. Na Kate też znajdziesz metodę.
- Chyba darzysz mnie zbyt dużym zaufaniem, milordzie - powiedziała. - Jestem zażenowana.

Naprawdę była tak rozbrajająco szczera czy tylko udawała? A może nasłał ją Lachann Armstrong z perfidną tajemniczą misją? Może miała go uwieść, tak jak syn Armstronga zrobił to z Felicią?

Bart z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. To raczej on zamierzał uwieść piękną Marguerite. I to już wkrótce.

- Zrobisz to? - spytał. - Zajmiesz się dziewczynkami?
- Tak, milordzie. Spróbuję.

- Wszystko w porządku, milordzie? - spytał sir Walter, kiedy Bartholomew wrócił z wieży do wielkiej sali.

- Tak - odpowiedział Bart. - Nikt się nie kreci po wzgórzach.
- Za zimno dzisiaj.
Bart skinął głową. Kiedy wjeżdżał na dziedziniec zamku, miał zmarznięte ręce i nogi. Późniejsza wizyta u lady Marguerite rozgrzała go niczym najprzedniejsze wino.
- Milordzie, panicz Henry prosił mnie, bym z tobą porozmawiał.
Bart potarł kark. Nie spodziewał się, że w tej sprawie brat poszuka sojuszników.
- Chłopak nade wszystko chce zostać rycerzem - ciągnął sir Walter. - Na pewno uda się znaleźć odpowiednie miejsce, w którym ochnoczo przyjmą go na giermka. Jeśli mogę ci doradzić, to nie odmawiałbym mu tego przywileju.
- Wiem. - Bartholomew westchnął. - Zdaję sobie sprawę, że już dawno powinien pójść między ludzi. Tak samo John. Sęk w tym, że ostatnimi czasy mieliśmy trochę kłopotów. To były trudne dni dla nas wszystkich.
- Tak, rozumiem - potwierdził sir Walter. - Niechętnie myślisz o rozstaniu.
Bart nie zamierzał temu zaprzeczać. Obecność praci łagodziła smutek po śmierci Williama. Gwoli prawdy, już dawno powinni wyjechać z Norwyck.
- Owszem - przytaknął w odpowiedzi na słowa sir Waltera. Nalał nieco grzanego wina do grubych glinianych kubków. Jeden z nich podał sir Walterowi, a z dru-

gim zasiadł w wysokim fotelu stojącym przed kominem. Bez Willa i Felicii życie w Norwyck toczyło się swoją koleją, a mimo to było inaczej. Ciche wieczory w wielkiej sali i nieustanne utrapienie z dziećmi, A teraz doszła jeszcze Marguerite.

- Prawdę mówiąc, do tej pory nie widziałem damy, którą przyniosłeś z plaży, panie - zauważył sir Walter, jakby czytając w jego myślach.
- Poprosiłem ją, by wzięła pod opiekę Kate i Eleanor. Przynajmniej dopóki nie wróci jej pamięć. Sir Walter zmarszczył brwi, jakby nie dosłyszał.
- Ciągle nic nie pamięta?
- Nie. I wciąż mi usiłuje wmówić, że nie wie, skąd pochodzi i jak się nazywa.
- Już raz byłem świadkiem podobnego przypadku, panie.
- Czego? Uderzenia w głowę?
- Nie, zaniku pamięci - odpowiedział rycerz. - Za młodu, kiedy byłem niewiele starszy od twoich braci, w naszej wsi pewien człowiek spadł z drzewa na ziemie. Zrywał jabłka. Najpierw stracił przytomność, a gdy go ocucono, nie pamiętał, jak się nazywa.
Bart zachmurzył się.
- Wyzdrowiał potem?
- Chyba tak. Przecież musiał wyzdrowieć. - Sir Walter z niepokojem popatrzył na swego pana. - Mam rację?
Bart nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Ale już samo

to, że Walter widział podobny przypadek, dodawało wiarygodności słowom Marguerite. Mogę jej uwierzyć, ale wcale nie muszę darzyć zaufaniem, pomyślał Bartholomew. Jest kobietą - a więc istotą zdolną do każdej zdrady i podłości.

- Milordzie - z pewnym wahaniem odezwał się sir Walter - zapewne słyszałeś, że nieco podejrzliwie pa-trzyłem na lady Felicię, kiedy walczyłeś u boku króla Edwarda w Szkocji.
- Nie ma sensu tego bez końca roztrząsać, Walterze.
- Chciałem tylko, żebyś wiedział, panie, że uczyniłem wszystko, aby ją mieć na oku - ciągnął stary.
 - Od samego początku, od dnia, w którym twój ojciec zawarł kontrakt z jej ojcem, sprzeciwiałem się temu małżeń-stwu. Nie ufałem jej. Podczas pobytu we Francji miała mnóstwo okazji, żeby skumać się ze Szkotami.

Po śmierci żony Bartholomew sam nieraz nad tym się zastanawiał. Nie był pewny, czy jej znajomość z Dughlasem Armstrongiem nie zaczęła się już na kontynencie, na długo przed ślubem.

To było całkiem możliwe, Armstrongowie mieli bowiem krewnych we Francji. Felicia też spędziła tam kilka lat. Bart jednak nie mógł zapytać sąsiadów, czy w tym samym czasie przebywał tam także Dughlas.

Rozmowa nagle się urwała. Dwaj rycerze w milczeniu popijali wino. Już tyle razy omawiali nieszczęsną śmierć Williama i zdradę Felicii, że żaden z nich nie miał na ten temat nic do dodania. Bart nie zamierzał

słuchać wynurzeń Waltera, że Felicia nie nadawała się na matkę i żonę.

Dawno poprzysiągł sobie, że więcej się nie ożeni.

Marguerite tonęła.

Z rozpaczą próbowała wychylić głowę nad wodę. Fale zalewały jej nos i oczy, wtlaczały w zimną głębinę.

- *Marie! Tenez!* - krzyknął ktoś w pobliżu. Ledwie go widziała, bo co chwila znikał za huczącą falą. Wydawało jej się, że był młody, przystojny i jasnowłosy.

Kilka razy próbowała dotrzeć do niego, lecz zawsze coś jej w tym przeszkadzało. A potem nagle złapała go za rękę. Pociągnął ją ku sobie.

- *Ici! Prenez ma main!*

Usiłowała wzmocnić uchwyt, ale jej palce wyśliznęły się z jego dłoni.

- Milady!

Jakiś straszliwy ciężar ugniatał jej piersi. Dusila się. Maszt statku złamał się z przeraźliwym hukiem. Morze wdzierało się na pokład. Marguerite rozpaczliwie młóciła rękami wodę, nawołując tego, który przed chwilą był tak blisko. Rozpłakała się, bo nie mogła złapać oddechu.

- Marguerite!

Otworzyła oczy - i zobaczyła leżącą na niej Eleanor. Ciężar dziecka przygniatał ją do łóżka. Nie było morza

ani młodzieńca, który coś do niej wołał po francusku. Co on powiedział?

- Miałaś zły sen - odezwała się Eleanor. Marguerite starała się odtworzyć w myślach to, co widziała we śnie. Podejrzała, że dzięki temu szybciej odzyskałaby pa-mięć. Tak, na pewno!
- Tak ucieszyła się na wieść, że zostaniesz jej opiekunką, że natychmiast musiała cię zobaczyć. - Drugi głos zabrzmiał oschle. Bartholomew stał w progu, oparł ty o futrynę, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Marguerite nie mogła uporządkować myśli. Najpierw ten koszmar, a teraz Bartholomew patrzący na nią pośpiesznie spod ściągniętych brwi. Dobrze wiedziała, że minionej nocy ledwie się powstrzymał, żeby nie chwycić jej w ramiona. Zapewne wcale by się nie bronila.

Młodzieniec ze snu nie wywierał na niej takiego wrażenia. Była o tym święcie przekonana, choć nie wiedziała, skąd ta pewność.

- Co dzisiaj będziemy robić? - spytała Eleanor, zeskakując z łóżka. Marguerite okryła się kołdrą po szyję.
- Nauczysz mnie grać na gitarze?

-Ja...

- Albo pójdziemy razem do ogrodu i zobaczysz, jak włożyć...
- Eleanor! - ostrzegawczym tonem wtrącił Bartholomew. - Uważaj, żebyś znowu nie dostała kary.
- Nie, Bartie! - zawołała dziewczynka, podbiegła do niego i objęła go za kolana.

Marguerite nie umiała powstrzymać uśmiechu.

- Jeśli dacie mi odrobinę czasu, to się ubiorę i zaraz przyjdę do wielkiej sali. Tam naradzimy się, co będziemy robić.

Nie musiała tego dwa razy powtarzać. Eleanor pędem rzuciła się w stronę kamiennych schodów. Bartholomew został jeszcze przez chwilę, wpatrując się w Marguerite. Przeszył ją dreszcz. A kiedy Bart odwrócił się i powoli wyszedł z komnaty, przycisnęła obie ręce do piersi, żeby choć trochę uspokoić mocno bijące serce.

Niewiele to pomogło. Z westchnieniem wstała z łóżka, zastanawiając się, co ją jeszcze czeka.

- Co wy tu wyprawiacie? - zapytał Henry, wchodząc do wielkiej sali. Miał na sobie stare ubranie i śmierział tak, jakby przyniósł ze sobą całą stajnię.

Eleanor zmarszczyła nos.

- Marguerite gra na gitarze mamy - odpowiedziała.

Marguerite wołałaby być teraz sam na sam z Eleanor w słonecznej komnacie, niż występować przed tak dużym gronem, lecz liczyła na to, że przyciągnie uwagę Kathryn. Dotychczas starsza z sióstr starannie ją omijała. Dopiero na dźwięk muzyki już dwa razy zajrzała do wielkiej sali.

Bartholomew się nie pokazał. Marguerite widziała go dwukrotnie, ale z daleka. To pozwoliło jej nieco ochłodzić po porannym spotkaniu.

- Umiesz grać?
- Na to wygląda, Henry - odpowiedziała Marguerite.
- Chociaż zupełnie nie wiem, jak to się dzieje, że pamiętam melodię.

- Twoje palce ją pamiętają - z powagą wyjaśniła Eleanor.

Marguerite usłyszała za sobą stłumione parsknięcie, lecz nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Dobrze wiedziała, że Kate w ten sposób skwitowała słowa siostry.

- Zagraj nam coś - poprosił Henry.

Marguerite lewą dłonią mocniej ujęła gitarę, zamknęła oczy i przesunęła kostką po strunach. Zaczęła grać i nucić. John pochwyił melodię, tu i ówdzie wtrącając słowo lub całe zdanie. Kiedy piosenka dobiegła końca, Eleanor z zachwytem klasnęła w dłonie.

- Mama też to nam grała!
- To bardzo popularny utwór we Francji i w Anglii
- powiedział Bartholomew, który właśnie stanął na szczycie schodów. Był po kąpieli i świeżo ogolony.
- Tak, ale mama bardzo ją lubiła! - zawołał John.
- To prawda - przytaknął Bartholomew. - A zatem coś jednak pamiętasz - zwrócił się do Marguerite.
- Tak. - Pokiwała głową. Pieśń obudziła w niej nieokreśloną tęsknotę i musiała chwilę odczekać, by zapanować nad zdenerwowaniem. - Pamiętam - dodała drżącym głosem.
- Ładnie grałaś - powiedział Bart. Zająknął się, jakby nie przywykł do prawienia pochwał. Takie słowa

dziwnie brzmiały w jego ustach. - Zagraj coś jeszcze - zaproponował. Usiadł w fotelu i wziął na kolana Eleanor.

Marguerite była zaskoczona jego zachowaniem, a mimo to grała dalej ku uciesze dzieci i służących, którzy wślizgnęli się do wielkiej sali, żeby też trochę posłuchać. Jedyne Kathryn kręciła się niby mimochodem, jak zwykle z nadąsaną miną, choć Marguerite zobaczyła w jej oczach błysk zaciekawienia, jakby dziewczynka w głębi duszy chciała dołączyć do słuchaczy, ale nie mogła, powstrzymywana źle pojętą dumą.

Marguerite wyczekała moment, aż Bartholomew na nią spojrzeł, i niedostrzegalnie dała mu znak oczami, wskazując na Kathryn. Chwilę trwało, zanim zrozumiał, o co chodzi, ale potem prawie niezauważalnie skinął głową.

- Chodź tutaj, usiądź z nami, Kate - poprosił.
- Nie, Bartholomew - odparła Kathryn i odwróciła się, żeby odejść. - Muszę coś zrobić.
- To na pewno może poczekać - orzekł. - A może sama zagrasz?
- Raczej nie - odpowiedziała wyniośle i wyszła z sali.

Marguerite postanowiła nie przejmować się jej fochami. Zagrała następną pieśń i następną. Przypomniało jej się dzisiaj mniej zdarzeń z przeszłości niż poprzednio, jakby poranny koszmar je wystraszył. Dziwna rzecz, wspomnienia wprawiały ją w rozterkę. Z zakło-

potaniem myślała o nieznanym dzieciach. Może była ich matką? Może teraz siedziały w tamtym pięknym domu wśród kwiatów, nadaremnie czekając na jej powrót? Ona zaś przebywała tutaj, w Norwyck, zabawiając muzyką inne dzieci.

Nagle zrobiło jej się ogromnie przykro. Zatrzepotała powiekami; coś ją drapało w gardle. Drżące dłonie nie nadawały się do grania. Marguerite mocno zacisnęła usta, żeby powstrzymać się od łkania. Wstała, odłożyła gitarę na fotel i powiodła wzrokiem po słuchaczach.

- Ja... ja... - Nie wiedziała, co im powiedzieć. Odwróciła się i uciekła. Nie zastanawiała się, dokąd biegnie. Chciała po prostu znaleźć się jak najdalej. Kiedy nieco ochłonęła, okazało się, że jest w cichej, tonącej w półmroku kaplicy po drugiej stronie zamku.

Pod ścianami stały długie drewniane ławy. Marguerite usiadła na jednej z nich, oparła się plecami o chłodny kamień i wzięła głęboki oddech. Nie wiedziała, co jej się stało. Nie rozumiała, skąd wziął się u niej ten nieoczekiwany smutek oraz poczucie osamotnienia. Za kim płakała?

To pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Przynajmniej na razie. Najpierw musiała odzyskać pamięć, a wszystko wskazywało na to, że nie stanie się to zbyt szybko. Przecież minęło już parę dni, od kiedy Bartholomew przyniósł ją do Norwyck. Poza tym, że nie miała już kłopotów z oczami, nic się nie zmieniło. Dlaczego niczego nie pamięta?

To było chyba najbardziej frustrujące. Zdawało jej się, że wspomnienia są tuż-tuż za progiem świadomości. Mimo to nie mogła ich zatrzymać. Gdy próbowała, uciekały niczym piasek przesypany się przez palce.

Marguerite otarła łzy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płakała. Drgnęła, kiedy ktoś nagle wszedł do kaplicy i głośno zaklaskał.

- Wspaniały popis - powiedział ironicznie Bartholomew, nie przestając klaskać. Podszedł bliżej. - Godzien najlepszych komediantów w całej Anglii.

Marguerite nic nie odpowiedziała na tę kpinę. Wstała i odwróciła się, żeby nie zobaczyć śladów łez na jej twarzy. To wywołałoby dalsze drwiny, tym boleśniejsze, że wiedziała, jaki potrafi być czuły dla rodzeństwa. Gdybyż tak jeszcze w miły sposób chociaż przez chwilę pomyślał o niej.

- Co się stało? - zapytał. - Nie zaszczyisz mnie ciętą ripostą?

Odwróciła głowę.

- Milordzie - zaczęła, splatając dłonie - nic z tego nie będzie. Jeśli w pobliżu jest jakiś klasztor albo opactwo...

- Pragniesz opuścić Norwyck?

Marguerite wbiła wzrok w podłogę.

- Ja... ja... tylko chciałabym wiedzieć, kim jestem i skąd pochodzę. I czyje są te dzieci, których buzie widzę, gdy zamykam oczy. I czy ten jasnowłosy młodzieniec przypadkiem nie był moim mężem.

- Jaki znów młodzieniec?

- Śnił mi się. Staliśmy razem na pokładzie tonącego statku - odpowiedziała drżącym głosem. Odwróciła się szybko, żeby nie widział jej twarzy, na której malowa-ły się targające nią uczucia. - Próbowaliśmy złapać się za ręce, ale w ostatniej chwili porwała nas ogromna fa-la. Wiem, że próbował zrobić wszystko, co w jego mocy...

- Nie byłaś niczyją żoną - szorstko przerwał jej Bartholomew.

Gwałtownie pociągnęła nosem i popatrzyła na ryce-rza z gniewnym błyskiem w oku.

- Naprawdę? A skąd to możesz wiedzieć?

Złapał ją za ramię.

- Choćby stąd - odpowiedział, pochylił się z ponurą miną i pocałował ją prosto w usta. Marguerite aż dech zaparło. Nie miała chęci ani woli, żeby się opierać. Mi-mowolnie objęła go w talii i przytrzymała. Poczowała rękę Barta na swoim karku. Draga dłoń sięgnęła w stronę jej kształtnych bioder.

Marguerite westchnęła głośno i przerwała pocału-nek. Zamglonym wzrokiem wpatrywała się w Barta.

- Potrzebujesz lepszych dowodów na to, że nie byłaś niczyją żoną? - spytał.

Jęknęła z cicha, kiedy się poruszył. Musnął ustami jej policzek, szyję, ramię.

- Pragnę cię - szepnął chrapliwie.

Ona też go pragnęła, ale kiedy dotknął jej piersi, od-

skoczyła jak oparzona i rozejrzała się ze zgrozą. Przypomniała sobie, gdzie się znajdują. W kaplicy!

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, żeby mu odpo-wiedzieć. Zresztą to dobrze, bo i tak nie umiałyby swo-ich myśli ubrać w odpowiednie słowa.

Była w rozterce. Nie wiedziała, co robić. Z jednej strony chciała przy nim zostać i poznać go bliżej. Z dru-giej strony - nie mogła.

Cofnęła się na miękkich nogach.

Kiedy wyciągnął do niej rękę, przecząco pokręciła głową.

- To niemądre, milordzie - powiedziała roztrzęsiona i odeszła jeszcze dalej.

- A kto mówi, że mądrość jest pierwszą cnotą?

Marguerite nie potrafiła na to odpowiedzieć. Potrze-bowała więcej czasu, żeby dokładnie się nad tym zasta-nowić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Minęło kilka dni, zanim Marguerite wykonała następny krok prowadzący do odkrycia tajemnicy. Najwięcej czasu spędzała z Eleanor. Grały i szyły. Chodziły razem na długie spacerunki po zamkowym ogrodzie i bawiły się na dziedzińcu.

Bartholomew często odwiedzał plac treningowy i ćwiczył z mieczem albo strzelał z kuszy. Czasami jadał wspólnie z rodziną, a wtedy Marguerite czuła na sobie jego płonące spojrzenie. Mimo to nie przychodził do niej na wieżę, chociaż nieraz czekała na niego z utęsknieniem zmieszonym z niepokojem.

Pewnego dnia, kiedy słońce świeciło jasno nad zamkiem, Marguerite i Eleanor włożyły ciepłe suknie i wybrały się do ogrodu. Po drodze dziewczynka nagle zmieniła plany.

- Możemy pójść z wizytą do Symona? - zapytała.
- Najpierw obiecaj, że nie będziesz nikomu przeszkadzać w pracy.
- Tak, tak! - zawołała uszczęśliwiona Eleanor i chwyciła Marguerite za rękę. - Do nikogo nawet nie podejść! Tylko chcę zobaczyć, ile już zbudowali!

Poszły więc ścieżką za zamkową bramę. Po chwili dotarli na skraj wsi. Na pozór nic się tu nie zmieniło. Robotnicy nosili głązy i mieszały zaprawę tak jak przedtem. Marguerite mocno trzymała dziewczynkę za rękę, z daleka omijając wozy i stopy kamieni.

Obeszły plac budowy, przyglądając się rosnącym murom. Robotnicy zdejmowali czapki na ich widok, a potem wracali do pracy. Olbrzym Symon stał na szczycie muru. Pomachał im wesoło.

- Ach, tu jesteś mała damo! - rozległ się za nimi jakiś gruby głos.
- Mistrz Alrick! - zawołała Eleanor, wyraźnie szczęśliwa ze spotkania. Ów człowiek miał pomarszczoną twarz, długie siwe włosy i małe oczka, błyszczące inteligencją.
- Cóż to takiego? - zapytał nagle. - Masz w uchu wstążkę?

I rzeczywiście - szybkim ruchem dłoni wyciągnął wstążkę z ucha dziewczynki. Eleanor zaniósła się śmiechem. Niebieskie oczy Alricka spoglądały na nią wesoło.

- Zrób jeszcze jakąś sztuczkę!
- Nie wiem, czy umiem - odparł, lecz jednocześnie wyjął z kieszeni kawałek sznurka i obwiązał ją w pasie. Potem mrugnął okiem do Marguerite i znowu popatrzył na Eleanor. - Pociągnij, żeby rozwiązać węzeł - powiedział.

Dziewczynka pociągnęła z całej siły, ale sznurek wciąż trzymał mocno.

- Och, moja ty mała księżniczko - westchnął Alrick i lekko dotknął supła. - Chyba powinnaś lepiej się postarać! - Sznurek opadł na ziemię, jakby w ogóle nie był zawiązany.

Marguerite także nie wiedziała, jak Alrick to zrobił, ale większą przyjemność sprawiał jej widok Eleanor. Stało się jasne, że mistrz nieraz zabawiał ją w ten sposób.

- Jeszcze!
 - Starczy, milady - odpowiedział Alrick, zdejmując czapkę i kłaniając się do samej ziemi. - Muszę wracać do pracy, bo w przeciwnym razie mistrz Symon wygar-buje mi skórę.
 - Ale...
 - Bardzo ci dziękujemy, mistrzu Alrick - powiedziała Marguerite i wzięła dziewczynkę za rękę. - To był niezwykle pokaz.
- Stary uklonił się ponownie.
- Cała przyjemność po mojej stronie, milady. - Odwrócił się i odszedł do innych murarzy.
 - Dość się już napatrzyłaś? - spytała Marguerite.
 - Nie! - zawołała Eleanor. - Możemy pójść na drugą stronę muru? Sprawdzimy, jak go będą widzieli Arm-strongowie!
 - Eleanor!
 - Błagam cię, lady Marguerite! - poprosiła dziewczynka, ciągnąc ją za rękę. - Nie pójdziemy daleko, wyrzemy troszeczkę. Przecież jest biały dzień. Nic nam się nie stanie!

Marguerite w końcu uległa. Zamek i wieś stały na wysokim wzgórzu i chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie pokusiłby się dziś o napaść, kiedy tak wielu zbrojnych z Norwyck kręciło się w pobliżu.

Dotarły do końca muru, obeszły go od północy i spojrzały przed siebie, na pagórkowatą okolicę. Po prawej stronie szumiały fale Morza Północnego, stąd jednak niewidoczne, bo zasłonięte ciemną bryłą zamku.

Tu było naprawdę pięknie. Marguerite odwróciła głowę i aż otworzyła usta ze zdziwienia. Zamkowe wieże majestatycznie rysowały się na tle przejrzystego nieba. Norwyck wyglądało doprawdy wspaniale.

- Patrz! To Bartie! - krzyknęła Eleanor.

Marguerite spojrzała we wskazaną stronę i rzeczywiście spostrzegła kilku konnych, jadących doliną. Sami rycerze, w ciemnych zbrojach, z mieczami u boku, na potężnych bojowych rumakach. Chorąży dźwiżył sztandar z herbem Norwyck: niebieskim lwem na białym tle.

W oddali kilku ludzi zaganiało krowy. Marguerite osłoniła oczy dłonią i jeszcze dalej zobaczyła maleńkie figurki owiec. Znowu przeniosła wzrok na rycerzy, którzy skręcili w stronę zamku. Eleanor miała rację. Na przedzie jechał Bartholomew.

Na jego widok Marguerite ogarnęło podniecenie. Chwilę trwało, zanim zdołała się uspokoić. Nikt nie powinien widzieć jej w takim stanie.

- Jest ładniejszy nawet od Williama - poważnie po-

wiedziała Eleanor. - Mam nadzieję, że znajdzie mi takiego męża.

- Kim jest ten William?

- Naszym najstarszym bratem - odparła dziewczynka. - Nigdy o nim nie rozmawiamy, przynajmniej na głos. Wtedy wszyscy są smutni.

- Przykro mi - szepnęła Marguerite. - Co mu się stało?

- Zabili go Armstrongowie po tym, jak Felicia wywabiała go za mury zamku.

- Felicia? - zdumiona spytała Marguerite. - Żona Barta?

- Tak - potwierdziła Eleanor. - Bartie był na nią bardzo zły. Powiedział, że Will nigdy nie poszedłby w dolinę, gdyby go nie wezwała.

Nie było to klarowne wyjaśnienie, lecz Marguerite musiała powstrzymać się od dalszych pytań, bo w tej samej chwili podjechał do nich zbrojny oddział. Wszyscy rycerze wyglądali na bardzo zmęczonych, kilku zaś było rannych. Bartholomew dał znak ręką, żeby pojechali dalej, a sam zatrzymał się i zsiadł z konia w pobliżu Marguerite i Eleanor.

Cały był pokryty kurzem. Na czoło opadały mu kosmyki. Kolczuga podkreślała jego męską urodę - szerokie bary i wąskie biodra. Bruzdy na twarzy świadczyły o zmęczeniu, lecz z oczu wycierała radość.

- Bartie! - zawołała Eleanor i objęła go za nogi. - Pojechałeś bić się z Armstrongami?

- Zabraliśmy im tylko to, co nasze. Co robicie tak daleko od zamku? - Przytrzymał jej rączkę.

- Przyszliśmy obejrzeć mur - odpowiedziała dziewczynka, wyczuwając, że mimo marsowej miny jest skłonny do żartów. - Ale dalej nie zrobiliśmy na-wet kroku.

- No - mruknął. - To bardzo dobrze. - Wziął ją na rękę, - Naprawdę nie chciałbym cię stracić, choć usta-wicznie mi dokuczasz i bez przerwy psocisz.

- Puść mnie, Bartie! - zaprotestowała głośno Eleanor. - Jesteś cały spocony i okropnie śmierdzisz!

- Nie, moja panno! - Wziął rozchichotaną Eleanor na barana. - Musisz pokornie znosić towarzystwo tego, który naraża się na śmierć i rany, byś mogła żyć zdrowo i bezpiecznie! Prawda, lady Marguerite?

- To dla niej raczej niewielki ciężar, panie - odparła, jakby nie pojmując czynionej przez niego aluzji.

- Bo rozpoznaje jego walory jako swojego pana i obrońcy? - zapytał, jedną ręką biorąc konia za uzdę, a drugą przytrzymując nóżki Eleanor.

- Prawdopodobnie tak, milordzie - odpowiedziała Marguerite. Powoli szli w stronę zamku. - Choć nie znalazła jeszcze sposobu, żeby to we właściwej formie wyrazić - dodała.

- Właśnie! - ze śmiechem krzyknęła Eleanor. Pochyliła się i zasłoniła bratu oczy. - Okropny tuman z ciebie, Bartie!

Było to tak niespodziewane, że Marguerite roześmia-

ła się donośnie. Bartholomew fuknął z udawaną złością. Przez krótką chwilę widziała go takim, jaki zapewne musiał być w dzieciństwie, zanim na Norwyck spadły nieszczęścia. Przypomniała sobie wcześniejszą rozmowę z Eleanor. Co zrobiła Felicia?

Trudno było uwierzyć w to, że zdradziła męża. Że pomogła zabić jego brata.

Była aż tak zła?

Nic dziwnego, że Bartholomew nabrał niechęci do kobiet, pomyślała Marguerite, iż nie ma do nich zaufania. Nie sądzę, abym czegoś więcej dowiedziała się od Eleanor, bo mała powtarza tylko to, co przypadkowo podsłuchiwała. Nikt z dorosłych na pewno nie mówił jej wszystkiego, choćby ze względu na okoliczności zdrady.

Eleanor była jednak wścibska i ciekawska. Zapewne nieraz przesiadywała pod zamkniętymi drzwiami z uchem przyłożonym do dziurki od klucza. Mogła wiedzieć o wiele więcej, niż się spodziewano. Wystarczyło jej zadać właściwe pytania.

Nagły huk, rumor spadających gładów i przerażone krzyki wyrwały ją z zamyślenia. Marguerite odwróciła się gwałtownie. Zobaczyła, że górna część muru zwała się z donośnym dudnieniem. Na murarzy posypał się grad kamieni i odłamków skały.

Bartholomew nie zastanawiał się nawet chwili. Błyskawicznie postawił Eleanor na ziemi i wcisnął wodze w rękę Marguerite.

- Przypilnuj go - polecił i pobiegł w stronę miejsca katastrofy.

Eleanor popędziła za bratem. Marguerite rozejrzała się w poszukiwaniu drzewa lub palika, do którego mogłaby przywiązać konia. A kiedy już się z tym uporała, pogoniła za Eleanor.

Nie chciała, żeby doszło do drugiego wypadku.

Bart pchnął jednego z robotników do wsi po znachorkę, a potem ukląkł obok Symona. Olbrzym leżał nieprzytomny na trawie. Widać było, że ma złamaną nogę, ale odniósł też inne rany.

- Musimy zanieść go do domu, milordzie!

- Nie. Niech nikt go nie rusza, dopóki nie przyjdzie Alice Hoget.

- Masz rację, panie - powiedział któryś z gapiów.

Nadeszła Marguerite, która starannie okryła Symona i podetknęła poły pod niego, żeby uchronić go przed zimnem. Nie odrywała wzroku od leżącego. Na jej twarzy malował się wyraz troski. Jakie ona ma drobne, ale piękne ręce, pomyślał Bart. Jakie zręczne i zdecydowane ruchy.

- B-Bartie? - rozległ się cichy głosik Eleanor. Była bardzo blada. - Czy on nie żyje?

- Żyje, Ellie - odpowiedział Bartholomew, biorąc dziewczynkę na ręce - ale się trochę poturbował. Alice się nim zajmie, a na razie powinniśmy się wszyscy modlić, żeby wyzdrowiał.

Sam był wstrząśnięty tym, co się stało. Dotychczas praca przebiegała sprawnie i bez zakłóceń, jeśli nie liczyć okresowych kłopotów z budulcem. Symon wysyłał ludzi coraz dalej na poszukiwanie odpowiednich gładów. Ostatnio sołtys wciąż sprzeczał się z rządcą o składniki zaprawy.

Bart znów popatrzył na Marguerite i zobaczył, że ukradkiem otarła łzy z oczu. Podniosła się z kłęczek i podeszła do drugiego z leżących, który miał zakrwawione czoło.

Kucnęła przy nim i przez chwilę rozmawiali cicho. Uspokajająco położyła mu rękę na ramieniu, uniosła głowę i powiedziała coś do jednego z najbliższych stojących robotników. Ten zniknął, lecz zaraz wrócił z mokrym kawałkiem tkaniny. Marguerite starła krew z twarzy rannego i przemyła mu czoło. Powiew wiatru poruszył jej włosami, jeszcze przed chwilą ukrytymi pod kapturem płaszcza. Bart wpatrywał się jak urzeczony w kosmyk, który uroczo zatrzepotał jej przy uchu. Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. Pragnął pochwycić ją w ramiona, poczuć jej świeży zapach i obsypać pocałunkami.

W tej samej chwili Symon poruszył się niespokojnie i wymamrotał coś pod nosem. To chyba dobry znak, pomyślał Bartholomew. Olbrzym wracał do życia, chociaż jego noga była w wyraźnie złym stanie. Alice będzie wiedziała, co z nią zrobić, uznał Bart.

- Symonie? - zagadnął.

- Tak - jęknął olbrzym. - Co się stało?

- Mur się zawalił - odpowiedział Bart. - Spadłeś razem z kilkoma innymi murarzami.

Symon próbował się poruszyć i aż syknął z bólu.

- Coś mi się wbiło w nogę, milordzie?

- Nie - odparł Bartholomew. - Złamałeś ją przy upadku.

Olbrzym zbladł jak ściana. Bart od razu wiedział, co się za chwilę stanie.

- Ellie, idź teraz do lady Marguerite - powiedział szybko, lecz spokojnym tonem. - Zostań przy niej.

Popchnął ją lekko, dotykając jej pleców, a potem pochylił się i podtrzymał głowę Symona, żeby murarz mógł zwymiotować, nie udusiwszy się przy okazji.

- Symonie Michaelsonie! - rozległ się nagle kobiecy głos. - A cóżes ty sobie zrobił w tę swoją nogę?

To była Alice Hoget z nieodłącznym koszykiem ziół i rozmaitych maści. Bartholomew szczerze ucieszył się na jej widok.

Mimo woli spojrział w stronę, gdzie przed chwilą widział Marguerite i ze zdumieniem stwierdził, że jej tam nie ma. Ellie też zniknęła. Wstał i potoczył wzrokiem dookoła. Zobaczył ją przy stosie gładów, które jeszcze do niedawna tkwiły w grubym murze.

Marguerite nagle opadła na kolana i gwałtownie zaczęła odrzucać kamienie na bok.

- Lordzie Norwyck! - krzyknęła. - Na pomoc! Niech ktoś tu natychmiast przyjdzie!

Bart pozostawił Symona w rękach znachorki i co tchu popędził pod mury.

- To Alrick! - zawołała, kiedy stanął przy niej. - Leży pod spodem!

Teraz on także go zobaczył, przygniecionego kamieniami. Słysząc było bolesne jęki. Bart zwołał ludzi do pomocy i sam zaczął odsuwać głazy. Eleanor płakała obok.

- Trzymaj się, Alrick - wysapał Bart. - Zaraz cię wyciągniemy.

Wokół zaroilo się od robotników. Po chwili spod kamieni wydobyto zmaltretowane ciało i położono je na trawie. Alrick płytko oddychał i był nieprzytomny.

Bart uniósł wzrok i dostrzegł, że zrozpaczona Ellie przytuliła się do Marguerite, która próbowała nad sobą zapanować, ale broda drżała jej jak w febrze.

- Matheus! - zawołał rycerz. - Niech Alice Hoget tu przyjdzie.

Po kilku minutach znachorka uklękła przy Alricku.

- Milordzie - powiedziała. - Idzie tutaj żona Symona. Możesz ją pocieszyć? Sam wiesz najlepiej, jaka z niej beksa. Po prawdzie, więcej nam będzie przeszkadzać, niż pomagać. Symona trzeba przenieść do chaty. Zrobiłam tutaj wszystko, co mogłam, ale...

Bart skinął głową. Rozejrzał się za Marguerite i zobaczył ją znów pod murem, rozmawiającą z następnym rannym. Musiała zmarznąć, mając na sobie tylko lekką suknię. Nie pomyślała o tym, kiedy oddawała płaszcz Symonowi?

Odwrócił się szybko. Co mnie obchodzi, czy jest jej zimno? - pomyślał z gniewem. Jak dla mnie, może zdjąć nawet suknię.

Wyszedł naprzeciw nadciągającej grupie kobiet. Była pomiędzy nimi żona Symona.

- Droga Anne... - zaczął uspokajającym tonem.

- Mój Symon. Jest ranny, milordzie? - Wyglądała na zrozpaczoną, chociaż jeszcze nie widziała męża po wypadku.

- Tak. - Bart nie owijał niczego w bawełnę. - Kilku ludzi zaniesie go do chaty - dodał na pocieszenie. - Wróćcie zatem i przygotujcie mu wygodne posłanie.

Chyba w ogóle nie dotarło do niej nic z tego, co powiedział. Na szczęście inne kobiety wzięły ją pod rękę i odprowadziły do wsi.

Żony troszczyły się o rannych mężów. Przyniesiono wiadra świeżej wody i czyste płótno na opatrunki. Poza Alrickiem i Symonem najgorzej ucierpiał jeden z pomocników, który miał złamaną rękę. Marguerite obandażowała mu ją i przywiązała do tułowia, żeby przez pewien czas nie mógł nią poruszać.

Bart kątem oka zauważył, że mimo woli pocierała rękę i przedramiona. Na pewno zmarzła. Zaklął pod nosem i niemal wbrew sobie podszedł do konia. Z juków wyciągnął zwinięty pled. Zaniósł go na plac budowy, okrył Symona i zabrał płaszcz Marguerite. Stała tyłem, więc drgnęła, kiedy zarzucił jej go na ramiona. Odruchowo uniosła rękę i przypadkiem dotknęła jego dłoni.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie wykonało najmniejszego ruchu, a potem Marguerite lekko przechyliła się do tyłu i oparła o stojącego za nią mężczyznę. Bart poczuł, że drży - i sprawiło mu to przewrotną przyjemność.

Jednak to trwało tylko moment. Marguerite odwróciła się do Barta.

- To... - zatoczyła dłonią nieokreślone koło - to okropne. Jak to się stało, milordzie, że część muru runęła?

Przeczesał palcami włosy.

- Nie wiem - przyznał - ale się dowiem.

- Biedny Alrick i Symon. Co jeszcze można dla nich zrobić? - spytała. - Czuję się taka bezradna.

- A nie powinnaś - odparł Bart. To przecież ona znalazła Alricka pod gruzami i zajmowała się rannymi, zanim trafili w ręce swoich żon i krewnych. O Alricka nie miał pretensji, ale trochę żył się w duchu, widząc jej gładkie, smukłe dłonie, czule gładzące innych mężczyzn.

W końcu ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami i zawrócił na miejsce katastrofy, żeby znaleźć swojego rządcę, Thoma Darceta, i sołtysa, Edwina Gayte'a. Tych dwóch miało pomóc sir Walterowi w ustaleniu przyczyny wypadku. Bart miał zamiar skończyć budowę bez opóźnień. Tylko w ten sposób mógł zabezpieczyć Norwyck przed najazdami rozbójników Lachanna Armstronga.

Drugim ewentualnym wyjściem był atak na Armstrongów - lecz o tym pan na Norwyck nawet nie chciał myśleć. W przeszłości dosyć już się nawojował i napał trzył na ludzkie nieszczęścia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Eleanor siedziała na potężnym bojowym rumaku swego brata i w wielkim stylu jechała do zamku. Marguerite szła obok Barta, który prowadził konia za uzdę. Rycerz od dłuższej chwili nie wyrzekł ani słowa, lecz kroczył ze spuszczoną głową, w zamyśleniu, bolejąc nad wypadkiem i poturbowanymi ludźmi. Przecież po to budował mur, żeby mieszkańcy wsi czuli się bezpieczni.

Marguerite raz po raz rzucała mu szybkie spojrzenia. Rwała się doń całym sercem. Ciągłe nieszczęścia, których ostatnio nie brakowało w Norwyck, wryły na jego twarzy piętno bólu. Bartholomew Holton wcale nie był okrutnym i nieczułym tyranem, za którego wzięła go na początku. Wręcz przeciwnie, miał w sobie wiele ciepła dla podwładnych i czułości dla sióstr i braci. Wciąż bolał nad zdradą żony.

- Milordzie! - zawołał sir Walter, biegnąc ku nim przez otwartą bramę. Już wcześniej zdążył poznać Marguerite i zamienić z nią kilka słów na zamku. Skłonił się jej i Eleanor, a potem zwrócił się do Barta:

- Co się stało? Mówiono mi...
- Wszystko, co słyszałeś, to prawda - odparł Bartholomew i zdjął siostrzyczkę z siodła. - Zawałiła się spora część muru. Kilku ludzi jest rannych. Najgorzej oberwał Alrick Stickle. Przygniotły go spadające głązy.
- Stary rycerz przeżegnał się i coś powiedział, ale tak cicho, że Marguerite go nie usłyszała.
- Mogę w czymś pomóc? - spytał.
- Tak. Wezwij do siebie rządcę i sołtysa. Spróbujcie we trzech ustalić, co spowodowało katastrofę.
- Tak, panie - odpowiedział Walter. - Już idę do wsi.
- Dopilnuj też, żeby na niczym nie zbywało żonie Alricka i rodzinie Symona - dodał Bartholomew.
- Wyślij do nich zapasy jada i zaproponuj im wszelką pomoc.
- Zajmę się tym, milordzie - powiedział Walter. Pogłaskał Eleanor po rudych włosach i z kurtuazją skłonił się Marguerite. Potem złapał konia za uzdę i odprowadził go do stajni po drugiej stronie dziedzińca.
- Dlaczego mur się zawalił, milordzie? - zapytała Marguerite.
- Bartholomew pokręcił głową.
- Pewnie użyto złej zaprawy. Albo źle położono głązy, duże na małych. To zachwiało całą konstrukcją.
- Mistrz Darcet i mistrz Gayte wciąż się kłócili o zaprawę - oznajmiła nagle Eleanor.
- Bartholomew popatrzył na nią spod oka i prawie nie-

dostrzegalnie wzruszył ramionami. Nawet jeżeli rządcą w czymś się nie zgadzał z sołtysem, to przecież żaden z nich z premedytacją nie zniszczyłby wznoszonego muru.

- Sir Walter na pewno dowie się całej prawdy - uspokoił ją Bart.
- Opowiedz nam choć trochę o swojej ostatniej wyprawie! - Eleanor zupełnie nieoczekiwanie zmieniła te-mat. Na chwilę puściła jego rękę i otarła policzki. - Od-zyskałeś całe nasze stada?
- Tak.
- Zabiłeś wielu Armstrongów?
- Nie.
- Uganiałeś się za dziewczkami?

Bartholomew zatrzymał się jak wryty i spojrzał na dziewczynkę lodowatym wzrokiem.

- Co powiedziałaś?
- Henry powtarza, że wszyscy rycerze po bitwie gonią za dziewczkami i że on też będzie.
- Coś podobnego! - zawołał Bartholomew. - To słowa niegodne damy.

Eleanor nisko opuściła głowę i wpatrzyła się w czubki swoich ciżemek. Bartholomew ponownie wziął siostrę za rękę i razem ruszyli do wieży. Raz czy dwa gniewnie zacisnął usta.

- Henry nie powinien ci mówić o takich sprawach - odezwał się w końcu.

Ze złością potrząsnęła głową i spojrzał na Marguerite.

- Mężczyźni często robią różne rzeczy, na które my, kobiety, nie powinniśmy zwracać najmniejszej uwagi - powiedziała Marguerite. - Choć gdybym przypadkiem była mężatką i gdyby to mój mąż szedł na dziewczki. .. No cóż. Na pewno długo nie miałby wstępu do mej alkowy.

Bart przez chwilę patrzył za odchodzącą Marguerite. Na jego ustach błąkał się uśmiezek. Piękna jesteś, kiedy się złości, pomyślał. To prawda, że niektórzy zbrojni po skończonym wypadzie udali się do wsi, ale on sam nie przepadał za taką rozrywką. Żadna z miejscowych dziewcząt mu się nie podobała.

Chciał tylko jednej.

- Pogniewała się? - spytała Eleanor.
- Chyba nie - odparł Bartholomew.
- To dlaczego tak sobie poszła? - nie ustępowała dziewczynka. - Wyglądała na zdenerwowaną.
- Zrobiła to tylko dlatego, żeby podkreślić swoje słowa.

Eleanor nic na to nie odpowiedziała. Przez resztę drogi do zamku ciągle patrzyła w ziemię, zatopiona we własnych myślach.

- A nie boisz się, że sobie pójdzie i tak jak Felicia zamieszka z Dughlasem Armstrongiem?

Bart zatrzymał się i popatrzył na siostrzyczkę. Co miał odpowiedzieć na takie pytanie? Czy mężczyźni znali kobiece myśli? Który z nich mógł przewidzieć, co

zrobi kobieta? Podczas szkockiej wyprawy Bart był przekonany o wierności Felicji. Nie wierzył, by w ogóle umiała go zdradzić. A jednak to zrobiła i wydała na świat bękart.

- Wolałbym, aby tak nie było - odparł wreszcie z wzdorniczo spokojnym tonem. Marguerite już dawno zniknęła mu z oczu, ale on na powrót zerknął na to miejsce, w którym widział ją po raz ostatni. Prawdopodobnie poszła na spacer do ogrodu.

- Dlaczego ludzie nazywają Felicję „ładacznicą z Norwyck”?

Bart oniemiał. Chęć nie chęć, znów musiał się za-trzymać. Owszem, słyszał już o tym, ale nie przypuszczał, by takie rzeczy docierały do uszu Eleanor. Kucnął przed nią.

- Ludzie czasami wygadują różne głupstwa, o których lepiej zapomnieć.

- A co to znaczy „ładacznica”, Bartie?

Bartholomew przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- To dama, która zbyt mocno lubuje się w mężczyźnie, nie będącym jej mężem.

- Czyli w bękartie Armstrongów?

- Eleanor! Musisz bardziej uważać na to, co mówisz - powiedział, wstał i nerwowym ruchem przesunął dłoń po włosach. Był ciekaw, kiedy Ellie wyczerpie za-pas pytań. Miał nadzieję, że jak najprędzej.

Ruszyli w dalszą drogę.

- Pewne wyrazy nie przystoją damom i brzmią dziwnie w ustach młodej panienki. „Bękart” jest właśnie takim słowem.

- Kiedy Henry od nas wyjedzie? - Swoim zwyczajem Eleanor znowu zmieniła temat. Tym razem Bart był jej za to wdzięczny, chociaż pytanie także nie należało do najłatwiejszych.

Odetchnął głębiej.

- Muszę się nad tym jeszcze zastanowić.

- A gdzie zamieszka? Gdzieś daleko?

- Chyba nie bardzo - odparł, chociaż odległość tu nie miała żadnego znaczenia. I tak nie widzieliby go ca-łe lata.

Eleanor paplała przez resztę drogi. Bart z ulgą oddał ją pod opiekę Ady i poszedł do swojej komnaty, żeby się wykąpać.

Rozmyślał o tym, jakby tu sprawić, by Marguerite odzyskała humor. A może powinienem posłać po nią, żeby, na przykład, umyła mi plecy? - pomyślał.

Nagi wszedł do balii, żeby zmyć z siebie kurz bitewnego pola. Mimo zmęczenia nie przestawał myśleć o Marguerite.

Do licha, przecież musiał istnieć jakiś sposób, żeby zechciała przyjść do jego łóżka! Co prawda, ostatnimi czasy go trochę unikała, ale przecież nie był jej obojętny. Dała tego dowód, kiedy się całowali. Może więc jeden kubek wina więcej mógłby załatwić sprawę?

Jedno wiedział na pewno - nie mógł już dłużej czekać. Zbyt wiele go to kosztowało.

Splukał mydło, ogolił się, uczesał i włożył świeżą odzież. Wiedział, że domownicy zebrali się już na dole, w wielkiej sali, gotowi do wieczery. Marguerite będzie z nimi, dumał. Niezbyt ochocza, ale też nie zimna.

W kominku buzował ogień, na ścianach płonęły pochodnie, a na stół padało migotliwe światło z wielkich kandelabrow. W wielkiej sali zasiadło wielu rycerzy z Norwycy, żeby wspólnie świętować zwycięstwo. Sądząc po ich rubasznym zachowaniu, niejeden miał już nieco w czubie. Opijali potyczkę z Armstrongami i szczęśliwy powrót do zamku.

Bart pozwolił sobie na wąty uśmiech. Wypad naprawdę był udany i Armstrongowie dostali dotkliwą nauczkę. A przy okazji nikt nie zginaj. Bartholomew upewnił się, że skradzionego stada pilnuje garstka młokosów. Za młodzi byli, żeby ginąć w obronie kilku sztuk bydła. Wiedział też, że Lachann będzie wściekły na wieść o fortelu. Nie przywykł, żeby ktoś tak grał mu na nosie.

Bartholomew rażnym krokiem mijał niższe stoły i pozdrawiał swoich rycerzy. Niektórzy z nich wznosili kielichy w odpowiedzi, inni klepali go po plecach i składali serdeczne gratulacje.

Kiedy służba zaczęła wносить potrawy, Bart skierował

się do swojego miejsca przy głównym stole, gdzie już czekało nań rodzeństwo.

Marguerite nie było.

Szybko rozejrzał się po sali, lecz nigdzie jej nie zauważył.

- Jadło nam stygnie, Bart - mruknął Henry. - Chodź i siadaj, żebyśmy mogli wreszcie zacząć.

Bartholomew łypnął na niego ponuro, ale posłusznie podszedł do swojego krzesła. Kapelan zmówił krótką modlitwę i wszyscy wzięli się do jedzenia. Bart zerknął na Eleanor.

- A gdzie jest lady Marguerite? - spytał.

- Myślałam, że była z tobą - odparła dziewczynka.

Bart pochylił się w drugą stronę.

- Wiesz może, gdzie jest lady Marguerite? - zagadnął Johna.

- Nie.

Spojrzał na Kate, siedzącą z lewej. Domyślał się jej odpowiedzi, lecz postanowił zaryzykować.

- Kate, może ty mi powiesz, dlaczego nie ma z nami lady Marguerite?

- A niby skąd mam to wiedzieć, Bartholomew? Nikt mi nie kazał jej pilnować i sprawdzać, co porabia.

Bart mocno zacisnął usta. Nie tak zaplanował dzisiejszy wieczór. Gdzie ona się podziała? Ostatnio widział ją, jak szła w stronę ogrodu, ale teraz na dworze było ciemno i zimno. Przecież krótka rozmowa o dziewczkach nie mogła jej aż tak zdenerwować, żeby spędziła noc na mrozie.

Nie, na pewno je wiecznę sama, zamknięta w swojej komnacie. To bardzo dobrze. Bart postanowił, że po posiłku pójdzie na wieżę i tam pozwoli działać siłom natury.

Marguerite wzięła na ręce najmłodsze z siedmiorga dzieci Symona Michaelsona i zamieszała łyżką w kociołku wiszącym nad paleniskiem. Z zamkowej kuchni przysłano dość zapasów, żeby przez miesiąc można było wyżywić całą rodzinę.

Wcześniej Marguerite spędziła nieco czasu z żoną Alricka. We dwie doglądały chorego, ale do tej pory jego stan nie poprawił się. Po pewnym czasie zjawiły się sąsiadki, więc Marguerite poszła do Michaelsonów.

Symon leżał na łóżku i chrapał, uspijony silną miksturą zaaplikowaną mu przez Alice Hoget. Stara zielarka musiała skorzystać z pomocy kilku krzepkich chłopów, żeby nastawić złamaną nogę i unieruchomić ją między dwoma deskami. Złamanie było poważne, Symon mógłby okuleć na resztę życia i tylko sprawiać kłopot rodzinie, zamiast zarabiać na jej utrzymanie.

Jego żona wciąż rozpaczała, roniąc łzy i miętosząc fartuch w obu dłoniach. W ogóle nie nadawała się do opieki nad mężem i niemal zapomniała o dzieciach. Dobrze się stało, że zajrzała do nich Marguerite, bo inaczej na pewno poszłyby spać głodne.

Dzieciarnia bardzo przejmowała się losem ojca. Matka jedynie pogarszała sprawę swoim zachowaniem.

Marguerite zrobiła co w jej mocy, żeby uspokoić dzieci. Wszystkim, z wyjątkiem najmłodszego, dała coś do roboty i w tym samym czasie przygotowała wieczorną strawę.

Każde dostało miskę gęstej zupy i kromkę chleba. Wspólnie zasiadły do stołu i zaczęły jeść. Starsze pomagały młodszym, a Marguerite przysiadła obok żony Symona.

- Anne - powiedziała - musisz nakarmić niemowlę.

Anne głośno pociągnęła nosem i otarła zaczerwienione oczy.

- Chyba nie mogę, milady.

- Oczywiście, że możesz - odparła Marguerite, choć wcale nie wiedziała, czy tak jest naprawdę.

Przy-ciągnęła krzesło do łóżka Symona, posadziła Anne, po-dała jej dziecko i pomogła rozsznurować stanik.

Niemowlę zaczęło ssać. Anne uspokoiła się nieco, a Marguerite kucnęła przed nią i przemawiała do niej kojącym głosem. Od czasu do czasu gładziła maleństwo po ciemnej główce. Pozwoliła nawet, żeby złapało ją za palec.

W pewnym momencie jasno zdała sobie sprawę, że nigdy przedtem nie była tak blisko niemowlęcia. Zatem dzieci, które widziała we wspomnieniach, nie mogły być jej dziećmi, Żadne z nich na pewno nie ssało jej piersi.

Z jednej strony poczuła ulgę, z drugiej - rozczarowanie.

- Mamo? - odezwała się najmniejsza z siedzących przy stole dziewczynek. Zeskoczyła ze stołka, podeszła bliżej i stanęła koło Marguerite.

Anne popatrzyła na córkę.

- Słucham, Abby - powiedziała słabym głosem.

- A kiedy tato wyzdrowieje?

Marguerite przyciągnęła ją do siebie. Nie zamierzała robić jej złudnych nadziei. Wzięła małą na ręce.

- Wszyscy będziemy się za niego modlić, Abby, żeby jak najszybciej powrócił do zdrowia. Reszta już w rękach Boga.

Trzymając dziewczynkę na rękach, wróciła do stołu. Posiłek niemal dobiegał końca. Dzieci pospiesznie uprzątnęły resztki i zmyły naczynia.

- Kto zna jakąś piosenkę? - spytała Marguerite, kątem oka obserwując Anne i niemowlę.

Spoczęło na niej spojrzenie sześciu par wystraszonych oczu. Marguerite poczuła, że jej mięknie serce.

- Chodźcie - powiedziała. - Przygotujemy posłania do snu.

Dzieci bez protestu powędrowały za nią do kredensu, w którym trzymano pościel i sienniki. Rozłożyły się na podłodze, jak najbliżej ognia. Marguerite podśpiewywała cichutko pod nosem, układając każde do spania.

Po chwili przypomniała sobie słowa starej piosenki i zaśpiewała głośnie. Dzieci zaczęły jej wtórować. Anne właśnie skończyła karmić najmłodszego synka.

Anne z bezradną miną siedziała na krześle. Marguerite na razie nie mogła dla niej zrobić nic więcej. Najpierw musiała uspokoić i uspić dzieciarnię. Dopiero potem zamierzała zająć się matką.

Zaśpiewała nową piosenkę.

*Lanquand li jorn son lonc en mai m'es
bels douz chans d'auzels de loing.*

Mała Abby wysunęła się spod koca i z paluszkami w buzi przeszła nad leżącym rodzeństwem. Na koniec wdrapała się na kolana Marguerite, która śpiewała dalej:

*e quand me suis partitz de lai
remembra-m d'un'amor de loing.*

Dzieci były ciemnowłose -jak ich rodzice - i miały piwne oczy. W niczym nie przypominały cherubinków ze wspomnień Marguerite. A jednak także były dziećmi - i domagały się tych samych uczuć. Marguerite odczuwała błogie ukojenie, jakby znalazła się wśród swoich, a nie między obcymi. Śpiewała cicho i żałowała, że nie ma ze sobą gitary. Może jutro uda mi się ją przynieść z zamku Norwyck? - pomyślała.

Anne na pewno potrzebowała stałej opieki i pomocy.

Marguerite nie była pewna, czy żona Symona kiedykolwiek odzyska na tyle siły i spokój, aby zająć się rannym. Taka opieka wymagała niemałej cierpliwości

i pewnych umiejętności. I tak jednak nikt nie mógł dać pełnej gwarancji, że Symon nie będzie kaleką.

Marguerite popatrzyła na pięć ciemnych główek, wystających spod koców, i dwie, które były przy niej. Jak oni wszyscy dadzą sobie radę?

Od zniknięcia Marguerite minęło parę godzin. Rycerze z Norwyck przeczesywali najbliższą okolicę, zagląдали do stajen, ogrodów, na dziedzińce, słowem - we wszystkie miejsca w obrębie zamkowych murów. Bart nawet poszedł z kilkoma ludźmi na brzeg morza. Drugi oddział wysłał na wzgórze. Był święcie przekonany, że Marguerite uciekła z Norwyck, korzystając z okazji.

Tym razem wściekł się nie na żarty.

- Milordzie? - odezwał się sir Walter na widok wracającego jeźdźca. - Znalazłeś ją?

Bart zeskoczył z konia.

- Nie - odpowiedział krótko, oschłym tonem.

- Może poszła do...

- Nic mnie to nie obchodzi - rzekł ostro Bart, ucinając dalszą dyskusję. Za godzinę zamierzał odwołać dalsze poszukiwania Marguerite. - Wiesz coś o Aldri-cku albo o pozostałych?

- Aldrick wciąż leży nieprzytomny, ale Symon miał więcej szczęścia - spokojnie odpowiedział Walter, choć-ciaż w duchu się zżymał na ton swojego pana. Nie dał

jednak nic poznać po sobie. - Właśnie miałem zawieźć te pakunki do rodzin poszkodowanych.

Bart spojrział na juki leżące przy nogach rycerza. Wyładowane były żywnością i innymi rzeczami.

- Ja to wezmę- powiedział i podniósł dwie najcięższe sakwy. - Komu je oddać?

Walter wyrecytował listę ofiar, kolejno wskazując na pakunki. Bart systematycznie ładował je na konia. Kiedy już wszystko było gotowe, wskoczył na siodło.

- Milordzie.

Bart z niecierpliwością spojrział na starego rycerza.

- Może źle oceniasz lady Marguerite.

Przez chwilę panowało pełne napięcia milczenie.

- To nie ma żadnego znaczenia - powiedział wreszcie Bart. - Była dla nas obca, kiedy przyszła, i pozostała równie obca, gdy odeszła. Nie zabrała ze sobą nic oprócz kawałka serca Eleanor.

Trącił piętami konia i odjechał w kierunku wsi, nie czekając na odpowiedź sir Waltera. Ze wszystkich sił starał się nie myśleć o Marguerite. Nie dbał o to, co stary rycerz chciał powiedzieć na jej obronę.

Jeździł od chaty do chaty, w każdej zatrzymując się na krótką pogawędkę. Zgodnie z tradycją, ten obowiązek należał raczej do pani zamku, ale w Norwyck nie było pani. I nie będzie, pomyślał Bartholomew, dopóki Henry nie znajdzie żony. Do tego czasu będzie ją zastępować Kathryn lub Eleanor. Obie muszą tylko podrosnąć.

Wreszcie dotarł do zagrody Alricka. Zastał gospodynię czuwającą przy łóżku, w towarzystwie Alice. W drugim kącie siedział kapelan.

Alice spojrzała na wchodzącego i ukradkiem pokręciła głową na znak, że jej zdaniem Alrick nie przeżyje. Bart ze smutkiem pomyślał o człowieku, którego znał przez całe życie i jako chłopiec wiele razy śmiał się z jego sztuczek. Będzie nam ciebie ogromnie brakowało, Alrick, pomyślał.

Zamienił kilka słów z jego żoną i wyszedł. Zostało mu już tylko jedno miejsce do odwiedzin.

- Idziesz zobaczyć mistrza Symona, panie? - spytała Alice, która też wyszła na dwór, gdy dosiadał konia.
- Tak - odpowiedział Bart. - Jak jego noga?
- Nastawiona - odparła z prostotą. - Tylko Anne ciągle się zamartwia. Poślę do niej ze dwie dziewczyny, żeby pomogły jej zająć się dziećmi.

Bart przypomniał sobie zrozpaczoną minę żony Symona. Ciekawe, czy już choć trochę doszła do siebie po tym wszystkim? Nie mógł jej winić za to zachowanie. Symon dochował się wielu dzieci. Jako kaleka nie mógłby wykarmić tak dużej gromady.

Wkrótce stanęli przed zagrodą Michaelsonów. Bart przywiązał konia do płotu i wziął sakwy. Alice otworzyła mu drzwi chaty. W ciemnej izbie panowała cisza, przerywana jedynie ciepłym kobiecym głosem. Ktoś śpiewał.

Bart zamknął drzwi, bo na dworze wiało. W tej samej chwili piosenka urwała się raptownie.

To była Marguerite!

Przez chwilę stał jak skamieniały. Nie mógł uwierzyć, że widzi ją tu, całą i zdrową, wśród dzieci Symona.

A on jej szukał przez tyle godzin.

Jak długo tu siedziała? Nie przyszło jej do głowy, że ktoś może się o nią niepokoić? Że ktoś jej szuka? Bart mocno zacisnął pięści i zmusił się do spokoju.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

-Ach, jak to dobrze, że zostałam, milady - powiedziała Alice. - Annienie jest dzisiaj w stanie zająć się dziećmi.

- Sprawilo mi to wielką przyjemność - odparła Marguerite. - Żonie Alricka nie mogłam pomóc.
- De-likatnie musnęła ustami główkę śpiącego niemowlęcia.

- Och, Anne- powiedziała Alice - usiądź, proszę. Kręci mi się w głowie, jak tak ciągle chodzisz.

Anneprzycupnęła na krześle obok śpiącego męża i wykrzywiła się boleśnie. Cały czas nerwowo miętosila fartuch. Bart czuł się nieswojo, widząc jej minę, ale wolał już to, niż patrzeć na Marguerite.

Wstyd mu było, że tak bezpodstawnie posadził ją o ucieczkę. Ona tymczasem spędziła cały wieczór we wsi, doglądając rannych. Jego rannych. A on jak głupi uganiał się po wzgórzach i szukał nie wiadomo czego.

Skończony dureń.

Izba była obszerna, chociaż przy siedmiorgu dzieciach i trzech dodatkowych dorosłych osobach, wydawała się zatłoczona. Bartholomew, nie patrząc na Mar-

guerite, zręcznie wyminął sienniki rozłożone na podłodze i podszedł do łóżka Symona.

Olbrzym wciąż spał. Złamana noga była sina i spuchnięta. Nawet usztywniona nie wyglądała dobrze. Bart pokręcił głową i spojrzał na Alice.

- Wygoi się? - spytał.

Stara zielarka wzruszyła ramionami. Nie chciała mówić całej prawdy przy zrozpaczonej żonie gospodarza.

- A kto to może wiedzieć, jak kość się zrośnie? - odparła. - Czas pokaże, milordzie.

- Lecz twoim zdaniem... - zaczął i urwał, zerknąwszy na Anne. Po chwili zapytał inaczej: - Myślisz, że jutro się poczuje lepiej?

- Nie - odpowiedziała Alice. - Raczej gorzej.

Nagle rozległ się głośny i przejmujący płacz dziecka. Bart odwrócił się i zobaczył, że Marguerite na próżno próbuje uspokoić krzyczące niemowlę. Nie miała pełnej swobody ruchów, bo na jej kolanach spała dziewczynka.

Alice z namaszczaniem badała Symona i zaglądała mu pod powieki. Anne ciasno objęła się rękami i z niepokojem śledziła każdy ruch zielarki.

Bart nie miał wyjścia. Podszedł do Marguerite, przykucnął przed nią i bez jednego słowa ostrożnie wziął na ręce śpiącą dziewczynkę. Zaniósł ją na jedyne wolne postanie, położył i pieczołowicie okrył ciepłym kocem. Mała westchnęła cicho i wsunęła paluszek do buzi, ale się nie obudziła. Bart usłyszał za sobą szelest. To Mar-

guerite wstała i zaczęła przechadzać się po izbie, kołysząc niemowlę i śpiewając mu cichą kołysankę.

Byli od siebie dość daleko, lecz Bart wyraźnie słyszał jej głos. Nawet mógł rozróżnić niektóre słowa. Śpiewała po francusku.

- Ja go wezmę, milady - zaoferowała się Alice, która właśnie odeszła od łóżka Symona. - Wyglądasz, pa-ni, na mocno zmęczoną, jeśli mi wolno tak powiedzieć.
- Och, ale...
- Masz sińce pod oczami. Sama niedawno wstałaś z łóżka jako niedoszła topielica. - Alice łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem zabrała jej niemowlę. - Zabierz ją do zamku, milordzie. Powinna tę noc spędzić we własnym łóżku. Kazałam tu przyjść córkom Judith Atwood. Pomogą Anne. Do rana i tak nic się nie zmieni. Nic tu po nas.

Stara znachorka miała rację. Marguerite rzeczywiście wyglądała na mocno wyczerpaną. Bart spojrzał na nią ze współczuciem. Wstydliwie spuściła oczy.

- Idźcie już - gderała Alice, niemal popychając ich w kierunku wyjścia. - Wasza obecność tutaj nic nie zmieni.

Bart wyciągnął rękę do Marguerite.

- Milady? - Niełatwo mu to przyszło, bo wciąż pamiętał swoje zachowanie sprzed kilkunastu minut.

Marguerite zawahała się tylko przez sekundę. Potem ujęła go za rękę i razem podeszli do drzwi. Bart zatrzymał się, żeby wziąć płaszcz wiszący na kołku - i w tym

samym momencie rozległo się ciche pukanie. Ktoś przyszedł. Wszyscy byli przekonani, że to dziewczęta od Atwoodów. Ale nie. W drzwiach stanął rycerz, którego Bart wcześniej wysłał na czele oddziału na poszukiwanie zaginionej Marguerite.

- Milordzie - zaczął i wskazał za siebie, na Czekającego konia. - Zobaczyłem twojego wierzchowca, więc postanowiłem, że tu przyjdę, zamiast czekać. - Zobaczył Marguerite. - Jesteś, milady! - zawołał ucie-szony. - Zatem znalazłeś ją, mój panie?
- Tak, Duncanie. Parę minut temu - sucho odpowiedział Bart. Wyszli, zanim Marguerite zdążyła spytać, o co chodzi młodemu rycerzowi.

Bart dosiadł swego Pegaza i wyciągnął rękę do Marguerite. Duncan podsadził ją na siodło. Usadowiła się bokiem i oparła o Barta.

Gdzieś w dali błyskawica przecięła nocne niebo. Po chwili usłyszeli odległy huk gromu.

Bart odwrócił się do Duncana.

- Zbierz swoich ludzi. Zimno dzisiaj i zaraz rozpęta się burza. Nie chcę, żeby ganiali gdzieś po próżnicy.
- Tak jest, milordzie - odparł młodzieniec. - Już jadę.

Duncan udał się na wzgórze. Marguerite zadrżała z zimna, więc Bartholomew mocniej przygarnął ją do siebie, żeby ją ogrzać własnym ciałem.

- Milordzie, myślałeś, że uciekłam?
- Przyszło mi to do głowy.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała i ciałniej otuliła się płaszczem. - Dokąd bym miała pójść?

No właśnie. Dobre pytanie.

- A dokąd się wybierasz z Norwyck? - zagadnął cicho. Czubkiem głowy dotykała jego brody.

- Milordzie - powiedziała z lekkim rozdrażnieniem - nie pamiętam, kim jestem ani skąd pochodzę. Chociaż ostatnio nabrałam przekonania, że chyba muszę być Francuzką.

Bart nic nie powiedział. Pomyślał, że skoro wiedziała, że jest Francuzką, to niedługo mogła zupełnie odzyskać pamięć. Ile więc czasu pozostało do jej wyjazdu z Norwyck?

- Kiedy śpiewam, ciągle wracają do mnie francuskie piosenki. Są jakieś bliższe. I słowa przychodzą ła-twiej.

- Bezbłędnie mówisz po angielsku.

- Lecz w moich uszach angielskie słowa brzmią bardziej obco niż francuskie.

Bart nie zamierzał się z nią sprzeczać. Może naprawdę była Francuzką, chociaż dla niego nie stanowiło to żadnego pocieszenia. Francuzi stali po stronie Szkotów, zatem i ona mogła być sojuszniczką Armstrongów lub MacEwenów.

Marguerite wtuliła się w objęcia Barta. Noc była zimna. W jego ramionach czuła się bezpieczna. Jechali bez pośpiechu między zagrodami. Marguerite zsunęła z głowy kaptur. Na szyi, tuż za uchem, czuła gorący

oddech Barta. Wreszcie dotarli do zamkowej bramy. Przejechali przez podwójne mury i skręcili w stronę stajni.

- Sam zajmę się Pegazem - powiedział do nadbiegających stajennych. - Za chwilę zjawi się tu patrol, który wysłałem na wzgórze. Oporządkujcie ich konie.

Wjechał w ciemniejszy kąt stajni i zsiadł z konia. Szybko zapalił lampę, oświetlając wnętrze pustej zagrody.

- Skacz! - powiedział do Marguerite i zręcznie chwycił ją w tali.

Jego ciemne oczy płonęły jak dwa węgle. Marguerite wstrzymała oddech, wsparła dłonie na jego ramionach i zsunęła się z siodła.

Nie puścił jej nawet wtedy, kiedy już stała na ziemi. Zmusił ją, żeby uniosła głowę i lekko musnął wargami jej usta.

- Poczekaj. To mi zajmie najwyżej chwilę - powiedział i wprowadził konia do zagrody.

Ten przelotny pocałunek zrobił na niej o wiele większe wrażenie, niż chciała przyznać. Poszła za Bartem i patrzyła, jak rozpinał popręg i zdejmował ciężkie siodło. Potem ściągnął kantar i podał go Marguerite.

- Powieś na haku - polecił, wskazując na przeciwległą ścianę, gdzie wisiało mnóstwo rzemieni i części uprzęży.

Marguerite spełniła jego prośbę, chociaż musiała się wspiąć na palce, żeby dosięgnąć najniższego haka.

Bartholomew tymczasem ściągnął derkę z konia i wytarł mu grzbiet i szyję. Rzucił Marguerite czystą szmatę.

- Szybciej skończymy, jeśli zajmiesz się tamtym bokiem - powiedział.

Marguerite przez kilka sekund stała nieruchomo, patrząc, jak energicznie potarł skórę konia, tuż nad łopatką. Potem przeniosła wzrok na szmatę, którą trzymała w ręku. Wydawało się jej, że nigdy przedtem nie zajmowała się oporządzaniem zwierząt.

Mimo wszystko wzięła się do roboty. W duchu marzyła o tym, żeby ją także ktoś wymasował. Chyba mimowolnie parsknęła śmiechem, bo Bartholomew w pewnym momencie spytał:

- Co się stało?

Zaczerwieniła się po korzonki włosów. Nie chciała, aby sobie przypadkiem pomyślał, że się z niego naśmiewa.

- To zabawne, że więcej uwagi poświęcasz swemu rumakowi, panie, niż niektórym ludziom.

- I to wszystko? - zapytał, patrząc na nią nieco podejrzliwie. - Zazdrościsz Pegazowi?

Marguerite uśmiechnęła się.

- Nie, milordzie. Oczywiście, że nie.

Bartholomew nie odpowiedział. Wydawał się pogrążony w myślach. Kiedy już wyszczotkował konia, odłożył siodło oraz derkę na właściwe miejsce, wziął Marguerite za rękę i razem wyszli ze stajni. W milczeniu dotarli do wieży. W wielkiej sali było niemal zupełnie ciemno. Bartholomew odezwał się pierwszy, kiedy sta-

nęli u podnóża schodów. Cichy głos rycerza zabrzmiał w uszach Marguerite niczym dźwięk dzwonu.

- Śpij dobrze, milady.

Zamarła w bezruchu, myśląc, że weźmie ją w ramiona, zanieśie do komnaty i zrobi to, na co miał ochotę za każdym razem, kiedy na nią patrzył.

Jednak Bartholomew skłonił się lekko i odszedł. Chwilę później zniknął w mrocznym cieniu. Marguerite została sama, zawiedziona i zdziwiona.

Z trudem powstrzymała się, żeby go nie zawołać. Obróciła się na pięcie, zabrała lichtarz ze stołu i poszła na górę. Rose już wcześniej - jak zwykle - napaliła w kominku i posłała łóżko. W komnacie było ciepło i przytulnie, lecz to nie zmniejszało poczucia samotności. Marguerite tęskniła za towarzystwem.

Powoli rozsnurowała tasiemki stanika. Zdjęła suknię i z westchnieniem usiadła na taborecie obok miednicy z wodą. Odległy grzmot sprawił, że spojrzała w okno. Nad horyzontem ciągle się błyskało, a przenikliwy wiatr wył po krużgankach wieży.

Sztorm szalał gdzieś nad morzem, więc nie stanowił zagrożenia. Przynajmniej na razie. Marguerite powtarzała sobie, że wieża przetrwała tutaj całe lata i przetrzymała niejedną burzę. Ta też jej nie uszkodzi.

Mimo wszystko nie potrafiła zapanować nad zdenerwowaniem. W końcu musiała się dowiedzieć, kim jest i skąd pochodzi! Nie mogła dłużej zostać w Norwyck, na łasce earla. Wstała i nerwowym krokiem zaczęła prze-

mierzać komnatę. Z całych sił wyteęzała umysł, by sobie coś przypomnieć. Oczywiście, nic z tego nie wyszło.

Nagle znów zobaczyła jasnowłose główki. Nie mogła jednak rozróżnić rysów. Zaraz, zaraz. Jedna z dziewczynek, ta nieduża, to przecież... to przecież...

Znalazła imię. Cosette! Najmniejsze z dzieci to Cosette!

Marguerite zmęczonym ruchem opadła na ławę i przycisnęła rękę do piersi. Więc miała rację. Cosette to francuskie imię, zatem i ona pochodzi z Francji. Tak! Wyruszyła w podróż z Francji do Anglii. Płynęła statkiem. Statek zatonął. A na pokładzie był młodzieniec, który nazywał się... Nazywał się...

Westchnęła ze zniechęceniem. Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć nic więcej?

Skupiła myśli na Cosette. Znów przywołała jej twarzyczkę. Usłyszała śmiech - i coś jeszcze. Piosenkę śpiewaną po francusku dziecięcym głosem.

Poza Cosette nie wrócił do niej nikt inny.

Marguerite nie wiedziała, ile czasu zajęły jej bezowocne próby ożywienia wspomnień. Wreszcie otarła łzy z policzków i usiadła przed małym lustrem. Wyjęła grzebienie i spinki z włosów i potrząsnęła głową. Długie loki opadły jej na ramiona.

Nie było sensu myśleć o Cosette lub o młodzieńcu z tonącego statku. Nie poznawała nawet własnej twarzy. Wspomnień nie dało się przywołać. Zaczęła czesać się powoli i spróbowała myśleć o czymś innym.

Od razu przyszedł jej do głowy Symon. Jego wypadek, dom, rodzina. Marguerite miała nadzieję, że olbrzym szybko wydobrzeje i będzie mógł wrócić do pracy.

Coś skrzypnęło. Rzuciła grzebień i odwróciła się gwałtownie.

W otwartych drzwiach, w mroku korytarza, stał Bartholomew.

Bez słowa podszedł do niej powolnym, równo odmierzonego krokiem. Ani na moment nie spuścił jej z oczu.

Łagodnie ujął jej ramiona, odwrócił twarzą w stronę lustra, podniósł grzebień i zabrał się do czesania. To było bardzo przyjemne. Marguerite z rozkoszą przymknęła oczy i lekko pochyliła głowę. Pieszczoty Barta, z początku delikatne, z każdą mijającą chwilą stawały się coraz śmielsze.

Wreszcie wsunął dłoń za kołnierz jej koszuli i obnażył jedno ramię. Teraz już nic nie chroniło tego miejsca przed jego pocałunkiem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marguerite otworzyła oczy, czując dotyk gorących warg na skórze. W lustrze widziała siebie i Barta. On też w tej samej chwili skierował tam spojrzenie i zsunął jej koszulę z ramion.

Patrzyli w ciszy.

Marguerite zdawała sobie sprawę, że nie powinna pozwolić mu na więcej. Była jednak zupełnie zagubiona i bezradna, kiedy powoli zaczął masować jej ramiona.

Trwało to dosyć długo. Marguerite pomrukiwała z zadowolenia.

Nagle jego palce zsunęły się niżej. Ani się spostrzegła, a Bart sięgnął w dół i obnażył jej piersi.

- Jesteś nieziemsko piękna - szepnął.

Marguerite spojrzała w lustro. Bartholomew przez chwilę patrzył na nią, a potem położył dłonie na jej piersiach.

Burza szalała coraz bliżej, lecz żadne z nich nie słyszało gromów bijących, zdawałoby się, za ścianą. Bartholomew pochylił się i złożył delikatny pocałunek na ramieniu Marguerite. Mruknął przy tym coś niezrozu-

miale. Jej ciało przeszły dreszcz rozkoszy. Odchyliła głowę i zamknęła oczy.

- Tak miękka...

Poczuła, że podnosi ją ze stolka i niesie w stronę łóżka.

Pocałował ją w usta, a potem ostrożnie, niczym najcenniejszy skarb, złożył na prześcieradle. Marguerite odruchowo wyciągnęła ręce, pragnąc pociągnąć go za sobą. On jednak zrobił zręczny unik, odsunął się i nakrył ją kołdrą.

- Odpoczywaj, milady - wyszeptał i koniuszkiem palca przesunął po jej policzku, tuż pod okiem. - Musisz być wypoczęta, żeby w pełni sprostać moim wymaganiom, kiedy przyjdę do twojego łóżka.

Burza szalała całą noc i rano, ale nie to było powodem, że Marguerite nie mogła zasnąć. Budziła się co chwila, nękana różnymi myślami. Przed oczami wciąż miała twarz Barta.

Kiedy wstała, w komnacie było bardzo zimno. Owinięła się szalem i rozpałała ogień w kominku, zanim zaczęła się ubierać. Dzień był ponury, za oknami lał deszcz, ale Bartholomew w pełnej zbroi już ćwiczył na placu. Na ten widok od razu poweselała.

Górował wzrostem - i bez wątpienia siłą - nad swymi rycerzami. Marguerite pamiętała jednak, że te same dłonie, które teraz wywijają mieczem, potrafiły być delikatne. Rumieniec wypełził jej na policzki. Przypominała sobie pocałunki i pieszczoty, których zaznała ostat-

nimi czasy. W myślach powtórzyła słowa, którymi Bart wczoraj ją pożegnał.

Nie, pokręciła głową, nie może na to pozwolić. Jednak nie potrafiła oprzeć się jego sile. Czuła dłoń coraz większy podziw. Bratał się z rycerzami, dbał o swoich ludzi, przejmował się losem Symona i pozostałych robotników poturbowanych podczas wypadku, z całego serca kochał rodzicielstwo. Wiedziała, że można mu zaufać.

On z kolei wciąż odnosił się do niej z nieufnością. To było zresztą zrozumiałe, wzięwszy pod uwagę ogromne krzywdy, jakie wyrządziła mu żona. Po takich przeżyciach mógł odczuwać niechęć do kobiet. W dodatku cierpienia zadane przez najbliższych są najboleśniejsze.

Bartholomew zszedł z placu ćwiczeń. Marguerite natychmiast odstała od okna. Umyła się, ubrała i zeszła do wielkiej sali. Kręciło się tam paru służących, a na stole stały tylko świeczniki. Marguerite domyśliła się, że zasnęła.

- Widziałas może lady Eleanor? - zwróciła się do Rose, która wygarniała popiół z popielnika.
- Nie, milady - odparła dziewczyna. - Od dłuższego czasu nikt tu nie zaglądał z wyjątkiem lady Kathryn. Poszła w tamtą stronę.

Marguerite ruszyła we wskazanym kierunku i po chwili znalazła się w ciemnym korytarzu. Po obu stronach wąskiego przejścia zobaczyła zamknięte drzwi. Nie było na nich herbów ani znaków. Zatrzymała się i nasłuchiwała.

Zastanawiała się, czy aby na pewno chce się spotkać z Kathryn. W dalszym ciągu nie potrafiła nawiązać z nią kontaktu. Obiecała jednak, że zaopiekuje się dziewczynkami, i chciała się z tego wywiązać.

Stała więc i nasłuchiwała. Wydawało jej się, że słyszy stłumioną muzykę. A może nawet nie muzykę, bo dźwięki były przypadkowe - ale hałas czyniony na jakimś instrumencie. Na gitarze, o ile się nie myliła.

Z zacięciem poszła w głąb korytarza i po chwili znalazła miejsce, z którego dochodziły dźwięki. Po cichu uchyliła drzwi i zobaczyła widną komnatę o wielu oknach. Na parapecie jednego z nich siedziała Kathryn z gitarą w dłoniach. Była tak sobą zajęta, że nie wiedziała, co się wokół dzieje. Nieporadnie próbowała zagrać kilka pojedynczych nut, a potem akord.

Marguerite ostrożnie wycofała się na korytarz, przytknęła drzwi, zastukała i weszła do środka. Kathryn szybko poderwała głowę, skonsternowana, że ktoś ją przyłapał.

- Dzień dobry - przywitała ją Marguerite. - Szukam Eleanor. Nie widziałas jej gdzieś?
- N-nie - odparła dziewczynka, odkładając gitarę.

Marguerite rzuciła okiem na instrument, a potem na Kathryn. Moja mała, pewnie byś uciekła, gdybym nie blokowała wyjścia, pomyślała.

- W kufrze na wieży jest jeszcze psalterion - powiedziała. - Wasza mama też na nim grała?

Kathryn wbiła wzrok w ziemię.

- Grała na wszystkim, co miało struny.
- Była zatem utalentowana - zauważyła Marguerite i podeszła bliżej. - Chciałabym wiedzieć o niej coś więcej. Może ty mi powiesz?

Kathryn zerknęła na nią przelotnie, po czym odwróciła wzrok. Cofnęła się aż pod parapet.

- A co tu jest do powiedzenia? Zmarła rok przed śmiercią ojca i...
- I... - łagodnie ponagliła ją Marguerite.
- ... i zaczęła mnie uczyć grać, zanim zachorowała. Marguerite nie wiedziała, jak skończy się ta rozmowa, lecz postąpiła krok do przodu i poprosiła:
- Opowiedz mi trochę o niej. Śpiewała?
- Tak - odparła Kathryn, po czym wyzywająco spojrzęła na Marguerite. - Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś lepiej śpiewał albo grał niż mama - podkreśliła.

Marguerite nie zwróciła najmniejszej uwagi na ten przytyk. W dobroci serca złożyła to na karb smutku, jaki musiała odczuwać Kathryn po stracie matki. Po części mogła sobie wyobrazić, jak to było. Lady Norwyck zmarła, gdy jej najstarsi synowie, William i Bartholomew, przebywali w Szkocji. Kathryn została z dwoma dorastającymi, ale wciąż jeszcze dziecinnymi braćmi i młodszą siostrą. Ojciec zapewne nie rozumiał, co wówczas przeżywała.

- Jaka była? - zagadnęła Marguerite i usiadła na krześle stojącym naprzeciwko okna. - Założę się, że bardzo piękna.

- Och, tak! - mimo woli zawołała Kathryn i z powrotem zajęła miejsce na parapecie. Wzięła gitarę i leciutko zaczęła przebierać palcami po strunach. - Wszędzie mnie zabierała. Razem ustalałyśmy, co kucharz ma podać na wieczerzę i razem sprawdzałyśmy zapasy w spiżarni.

W miarę wspomnień w oczach Kathryn pojawił się wyraz rozmarzenia. Marguerite nie była pewna, czy dobrze zrobiła, skłaniając ją do wynurzeń.

Teraz jednak nie mogła się już wycofać. Z uwagą słuchała słów dziewczynki, chociaż skłoniły ją do smutnej refleksji - a co będzie, jeśli ja przeżyłam podobną tragedię? Jeśli, na przykład, straciłam męża w katastrofie statku? Jeśli dzieci, które widuję w myślach, mimo wszystko są moje? Gdzie teraz się podziewają? Zobacze je kiedyś?

Caitir Armstrong - nie wiadomo skąd przyszło jej do głowy. Skąd miałyby znać kogoś od Armstrongów? Kim była Caitir?

- ...i obiecała mi, że nauczy mnie grać na gitarze - dokończyła Kathryn. - Zaraz potem umarła.

Marguerite postanowiła skupić uwagę na osamotnionej i rozżalanej dziewczynce.

- Cóż. Chyba nie mam tyle talentu co ona - powiedziała - ale naprawdę zrobisz mi przyjemność, jeśli pozwolisz, że pokażę ci parę podstawowych chwytów.

Kathryn nie odpowiedziała. Marguerite kucnęła przed nią i w odpowiedni sposób ułożyła jej palce na właściwych strunach.

- Przyciśnij - zaproponowała.

Kathryn spełniła polecenie.

- A teraz uderz prawą ręką.

Dziewczynka pociągnęła palcami po strunach i dał się słyszeć harmonijny dźwięk, zupełnie różny od poprzednich kocich pisków. Marguerite dała jej kilka dalszych wskazówek. Kathryn znowu wydobyła głos z gitary. A kiedy już opanowała pierwszy akord, Marguerite nauczyła ją następnego. Wkrótce Kathryn potrafiła zagrać prostą melodię.

Ani razu nie popatrzyła na swą nauczycielkę. Marguerite zrozumiała, że największą przeszkodą w porozumieniu z Kathryn jest źle pojęte poczucie dumy dziewczynki. Powinna wykazać ogromną cierpliwość.

- Szybko się uczysz - pochwaliła, wstając. Nie chciała przeciągać lekcji i nieopatrznie zniszczyć rozpoczętego dzieła. - Twoja mama byłaby z ciebie dumna.

Kathryn nic na to nie odpowiedziała. Siedziała z pochyloną głową i raz po raz ćwiczyła to, czego się nauczyła.

- Uwważaj, żeby cię nie rozboleły palce - rzuciła na odchodnym Marguerite. Podeszła do drzwi. - Musi upłynąć trochę czasu, zanim w pełni przywykną do strun.

Kathryn nie dała najmniejszego znaku, że w ogóle ją usłyszała. Marguerite wyszła z komnaty. Kiedy znalazła się na korytarzu, momentalnie spostrzegła ją Eleanor. Psotna dziewczynka jak mały piesek wyrwała się spod opieki wyraźnie zmęczonej niani Ady.

- Lady Marguerite! - zawołała, biegnąc korytarzem. - Wszędzie cię szukałam!

Bart zmył z siebie błoto i przebrał się w czystą tunikę. Wciąż myślał o tym, co przypadkowo zobaczył. O Marguerite i o lekcji muzyki z Kathryn.

Nie mógł uwierzyć, że do tego doszło. On sam od czasu powrotu ze Szkocji nie potrafił nawiązać kontaktu z młodszą siostrą. Po kilku próbach zrezygnował. Kathryn założyła za skórę wszystkim domownikom. Bartholomew pocieszał się nadzieją, że może uda mu się wydać ją wcześniej za mąż.

Przed chwilą zajrzał do komnaty, w której trwała lekcja. Bez słowa stał przez kilka minut i patrzył w milczeniu. To, co zobaczył, wywarło na nim ogromne wrażenie.

Marguerite doprawdy była niezwykłą kobietą. Nie wyobrażał sobie, aby Felicia bądź którakolwiek ze znanych mu dziewcząt miała wystarczająco wiele cierpliwości, żeby nawiązać porozumienie z krnąbrną i opryskliwą Kathryn. Zresztą Felicia w ogóle nie przepadała za jego rodzeństwem. Nigdy przy nim nie zachowywała się tak jak Marguerite. Choćby wczoraj.

Bart westchnął i przesunął ręką po twarzy. Wciąż miał w pamięci widok rozmarzonych oczu Marguerite, kiedy pieścił jej nagie piersi.

Żadna kobieta do tej pory nie spoglądała nań w ten sposób.

Po raz kolejny przyrzekł sobie w duchu, że nie ulegnie miłosnemu zaślepieniu. Nie pozwoli, żeby zmysły wzięły górę nad rozsądkiem. Owszem, Marguerite jest piękna i namiętna i z chęcią wzięłby ją do łóża. Lecz na tym koniec. Żadnych obietnic i zaufania. Nic oprócz czystej przyjemności.

Gdy odzyska pamięć i przypomni sobie, skąd pochodzi, myślał, będą spokojnie mógł się z nią pożegnać i nie mieć żalu przy rozstaniu. To jedyne możliwe rozwiązanie.

A teraz miał pilniejsze sprawy. Musiał napisać listy do sąsiadów z zapytaniem, czy któryś z nich nie zechciałby przyjąć Henry'ego. Wprawdzie chłopak był już za duży, żeby zaczynać od zera, lecz wciąż nadawał się na giermka. Bart westchnął i pokręcił głową, ale już nieco spokojniejszy wyszedł z komnaty i niespiesznie udał się do wielkiej sali.

Został Eleanor i Marguerite zajęte dziecinną zabawą ze sznurkiem. Obie siedziały na podłodze przed kominem.

- Bartie! - zawołała Eleanor na widok brata.

Marguerite nawet nie uniosła głowy, lecz pilnie wpatrywała się w skomplikowaną pajęczynę z cienkiego sznurka, zawieszoną pomiędzy dłońmi Eleanor. Wreszcie, zręcznym ruchem palców, zabrała sznurek dziewczynce i wyciągnęła ręce przed siebie. Teraz ona miała zadanie do wykonania.

- Zobacz, czego mnie nauczyła lady Marguerite!

- Widzę - sucho stwierdził Bart. - Jak to się dzieje, że lady Marguerite pamięta takie trudne sztuczki?

Marguerite wzruszyła ramionami na znak, że ten przytyk nie zrobił na niej żadnego wrażenia, lecz jednocześnie mimo woli ze złością zacisnęła usta.

Byłoby lepiej, gdybym na przyszłość powstrzymał się od podobnych uwag, pomyślał Bart. W ten sposób nie zachęcę jej, by weszła do mojego łóża. W gruncie rzeczy co mnie obchodzi jej przeszłość albo dalsze plany?

- To przecież zupełnie nieważne, Bartie! - uniosła się gniewem Eleanor. - Na dworze pada.

Miała rację.

- Cóż, moja mała...

- Masz jakieś wieści o mistrzu Alricku i mistrzu Symonie, milordzie? - przerwała mu Marguerite.

- Z samego rana byłem u Alricka - odparł Bart i pokręcił głową. - Nic z nim nie lepiej.

- A Symon?

- Obudził się. Wszystko go boli, lecz przynajmniej odzyskał przytomność.

- Jak jego żona sobie radzi?

- Tak jak przedtem - odparł z przekąsem. - Sąsiadki jej pomagają.

Marguerite skinęła głową. Przy tym ruchu pukiel zsunął jej się na ramię. Bart wpatrywał się w nią jak urzeczony. Wciąż miał w pamięci jedwabisty dotyk jej skóry. Była ubrana w zwykłą niebieską suknię, ukrywa-

jącą cudowne krągłości, ale jej oczy przypominały błękitne wiosenne niebo. Teraz przybrały nieco zamyślony wyraz. Ciekawe, czy myślimy o tym samym? - zastanawiał się Bartholomew.

- Bart! - Do sali wszedł Henry. - Właśnie cię szukałem.
- Słucham? - Rycerz spod oka spojrzał na poważną minę młodszego brata.
- Mogę z tobą pomówić? Raczej na osobności - odparł Henry, zerkając na Eleanor i lady Marguerite.
- Oczywiście - odparł Bart i z ociąganiem oderwał się od najpiękniejszego widoku w całym Norwyck.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Obrazy z przeszłości pojawiały się i znikwały, lecz żaden z nich nie chciał pozostać z nią na tyle długo, by stać się klarownym.

Potrzebowała ciszy i samotności. Najchętniej wyszłaby z zamku. Chciałaby posiedzieć w jakimś ustronnym miejscu, z dala od ludzi i skupić się na wspomnieniach.

Podjeżdżała, że pomógłby jej widok plaży i morskich fal rozbijających się o skały. Obawiała się jednak, że jeśli wyjdzie sama, Bartholomew znowu będzie ją podejrzewał o próbę ucieczki.

Nie miała wyjścia, musiała mu się zwierzyć ze swoich zamiarów. Zajrzała do kilku komnat, ale nigdzie go nie mogła znaleźć. Pomyślała, że może wyszedł na dwór, więc poszła do stajni. Tam także go nie zastała, ale natknęła się na sir Waltera.

- Chcę się wybrać na mały spacer - powiedziała -lecz nie mogę znaleźć lorda Norwyck. Wiem, że nie lubi, gdy wychodzę poza mury sama, bez eskorty.
- Masz przecież do tego pełne prawo, pani - odrzekł sir Walter.

- Cóż, sądzę, że mogłabym sobie coś przypomnieć, gdybym wybrała się nad morze.
- Tam, gdzie znalazł cię lord Norwyck?
- Właśnie - odpowiedziała Marguerite.
 - Pójdę z tobą, milady - zaproponował. - Pozwól tylko, że zamienię słowo z masztalerzem.
 - Ależ nie trzeba, sir Walterze! Wystarczy, że wyznaczysz kogoś ze służby albo spośród zbrojnych.
 - Proszę, milady - nalegał. - To będzie dla mnie zaszczyt i przyjemność.

Marguerite za nic w świecie nie chciała go urazić, więc zgodziła się poczekać. Miała przeczucie, że na widok morza odzyska pamięć. Pomoże jej w tym słony zapach i szum fal.

Sir Walter podszedł do niej, odziany w gruby płaszcz.

- Jesteś gotowa, pani?
 - Mam nadzieję, że nie odrywam cię od czegoś pilniejszego.
 - Oczywiście, że nie.
 - Będzie mi miło w twoim towarzystwie.
 - Wiem, panienko. Widzę to po twoich oczach - rzekł. - Zdaję sobie sprawę, jak bardzo cierpisz z powodu utraty pamięci.

Marguerite zaczerwieniła się. Słowa starego rycerza sprawiły jej przyjemność, chociaż była zaskoczona, że kłopotał się jej stanem. Wzięła go pod rękę i skierowała się w stronę zardzewiałej furtki, za którą - jak sądziła - zaczynała się ścieżka nad morze.

- Nie, milady - ze śmiechem sprostował sir Walter.
 - Musimy iść naokoło, przez boczną bramę. Ta już od wieków jest zamknięta.
 - Gdyby lord Norwyck był mi równie pomocny, jak ty, sir Walterze, zapewne wyzdrowiałabym dwa razy prędzej.
 - Nasz Bartholomew bardzo się zmienił od powrotu z wojny - przyznał.
 - Trochę słyszałam o tym od Eleanor, ale ona na pewno nie zna całej prawdy.
 - Nikt z nas nie wie wszystkiego - powiedział Walter. Powoli schodzili ścieżką z wysokiej skarpy. Stary rycerz pomagał Marguerite ominąć zdradliwsze miejsciska. - Nie ufałem Felicii od początku, od dnia, w którym się zjawiała w Norwyck. Jednak ojciec Barta uparł się przy tym związku. Oblubienica wносиła do majątku całkiem pokaźne wiano, a Bart był jego drugim synem. Marguerite domyślnie pokiwała głową.
 - To miało znaczenie.
 - Właśnie. Mniej więcej pół roku po ślubie Bart i Will zostali wezwani przez króla na wyprawę do Szkocji. Moim zdaniem Bart liczył na to, że Felicia będzie brzemienna przed jego wyjazdem. Niestety, tak się nie stało.

Marguerite aż się wzdrygnęła na myśl, że inna niewiasta miałaby nosić w łonie dziecko Barta. Zaskoczona powstrzymała się od wszelkich uwag. Sir Walter mówił zaś dalej.

- Oddział Williama powrócił pierwszy, chociaż Bart niemal następował im na pięty. Tak się spieszył do swo-jej Felicii.
 - Eleanor wspomniała mi, że Felicia wywabiła Willa z zamku i wciągnęła go w pułapkę zastawioną przez Armstrongów.
 - Teraz wiemy, że to była rzeczywiście pułapka -przyznał Walter. - Wiemy też, że Felicia wezwała Williama na wzgórze, gdzie zginął zastrzelony z łuku. Prawda wyszła na jaw dopiero w dniu jej śmierci.
 - Och - westchnęła Marguerite.
 - Słyszałaś pewnie, że jej dziecko nie było Barta. Kiwnęła głową.
 - Akuszerka zarzekała się, że noworodek nie był wcześniakiem. A jednak przyszedł na świat zaledwie pół roku po powrocie Barta ze Szkocji. Urodził się martwy.
- Marguerite milczała. Czuła się przytłoczona ogromem zdrady popełnionej przez Felicię. Wyobrażała sobie, co wtedy musiał pomyśleć Bartholomew.
- Okazało się, że ojcem dziecka był syn Armstronga, Dughlas - ciągnął Walter. - W ten sposób chciał dopełnić zdrady.
- Dughlas Armstrong. Kto to taki? Ktoś, kogo znała? Kuzyn? Kimkolwiek był, zasługiwał na najgorsze miano. Tylko łotr mógłby uwieść żonę innego człowieka. Tylko tchórz mógłby namówić ją do tak haniebnego zbrodni, jaką było zabójstwo Williama.

- No, jesteśmy na miejscu, milady - powiedział sir Walter. - Ja sobie tutaj usiądę na skale, a ty idź na spacer. Popatrzę na ciebie.
- Dziękuję ci, sir Walterze. Nie odejdę daleko.
- Uważaj na przybój - dodał. - I mocno owiń się płaszczem. Sztorm jeszcze się nie skończył i znów może zacząć padać.

Marguerite skinęła głową i poszła na sam skraj wody. Fale wciąż były spienione i wysokie. Zamknęła oczy i przez chwilę stała w bezruchu, głęboko chłonąc słoną woń morza. Wiatr szarpał połami płaszcza.

Caitir Armstrong. Co ona mogła mieć wspólnego z Bartem? Co ja mogę mieć wspólnego z Armstrongami? - rozmyślała Marguerite. Przecież to imię nie przypadkiem wydaje mi się znajome. Kim jest ta tajemnicza Caitir? Może znałam Lachanna albo Dughlasa? Jak mogę nie pamiętać tak okropnych ludzi?

Odrzuciła się i poszła wzdłuż plaży, na południe, cały czas pozostając w zasięgu wzroku sir Waltera. Gdzieś już widziała takie fale. Czy tylko na tonącym statku? Bała się ich. Budziły grozę. Przywoływały pamięć zimnej toni.

Zatrzymała się i zamknęła oczy, żeby skupić się na wspomnieniach.

Zobaczyła latarnię kołysaną wichrem. Latarnia wisiała na maszcie. Lało jak z cebra, a pokład statku chybotął się pod stopami. Czarne niebo raz po raz przerywały ogniste zygzyki błyskawic. Marguerite poczuła, że

gdzieś spada. Zabolą ją głowa w miejscu niedawno zagojonej rany.

Wokół uwijał się tłum ludzi. Ciągnęli liny, zwijali resztkę żagli. Nic już jednak nie mogło uratować statku przed zagładą.

Ktoś zawołał do niej:

- *Marie!*

- *Alain!* - krzyknęła w odpowiedzi. - *Je ne peux plus m'acerocher!*

Alain. A zatem miał na imię Alain, a ona mówiła do niego po francusku. Był jej mężem? Jak to w ogóle możliwe, skoro całym sercem i duszą rwała się do Barta?

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Musiała więcej dowiedzieć się o swojej przeszłości. Może Cosette coś mi podpowie? - pomyślała. Przywołała w pamięci widok jasnej twarzyczki i blond włosów. Kim była Cosette?

Dzieckiem. Miała dwa, najwyżej trzy lata, złote loki i piegowaty nosek. Wciąż roześmiana.

Marie. Marguerite zatrzymała się w pół kroku. Tamten młodzieniec. Alain. zwracał się do niej per *Marie*. Kim była? Francuzką, która zabłądziła do tej odległej krainy.

Genevieve. Gaspar.

Te dwa imiona pojawiły się tak szybko, że zachwiała się i doprawdy niewiele brakowało, by osunęła się na ziemię. Poprawiła płaszcz na ramionach i ruszyła w dalszą wędrówkę. Nie zwracała uwagi na wiatr i wściekle bijące fale.

Marguerite usiłowała zebrać myśli. Te wspomnienia na pewno musiały coś znaczyć, chociaż jeszcze nie w tym momencie. Dzieci.

- Co robisz? - ostry głos wyrwał ją z zamyślenia.

Bartholomew chwycił ją za rękę i silnym szarpnięciem odwrócił twarzą do siebie. Zupełnie zaskoczona Marguerite nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

- Zostawiłaś starca na zimnie, żeby na ciebie czekał, bo miałaś akurat kaprys?!

- To żaden kaprys! - zawołała, odsuwając się od niego. - Miałam konkretny powód, żeby tu przyjść i...

- Spotkać się z Armstrongiem?

Błyskawicznie uniosła rękę, by wymierzyć mu poli-czek, ale Bartholomew był szybszy i złapał ją za prze-gub.

- Jak śmiesz porównywać mnie z Felicią!

- Ty...

- Tak. Wiem wszystko o jej oszukańczej zdradzie -syknęła. - Całe Norwyck wie o twojej niewiernej żonie.

Bart puścił jej rękę tak gwałtownie, jakby przypadkiem dotknął pszczelego roju. Zmarszczył brwi i chciał coś powiedzieć, ale Marguerite nie dopuściła go do głosu.

- Nie mam z nią nic wspólnego, Bart - mówiła podniesionym tonem, żeby przekrzyczeć wycie wiatru. - I nie zmuszałam sir Waltera, żeby tu ze mną przyszedł. Ja... Ja...

Odwróciła się szybko, aby przypadkiem nie zobaczył łez, które nabiegły jej do oczu. Przesunęła ręką po twa-rzy i energicznym krokiem ruszyła w dalszą drogę. Pró-bowała powrócić do wspomnień.

Ale wiedziała, że to już nic nie da. Nie potrafiła się skupić. Bartholomew odebrał jej szansę odkrycia prawdy o przeszłości.

Bart tak mocno zaciskał zęby, że aż dziw, iż ich nie połamał. Gniewnym wzrokiem spoglądał za odchodzą-cą Marguerite. Mimo przejmującego chłodu skóra paliła go żywym ogniem. Zaledwie kilka razy w życiu był tak rozgniewany. Ostatnio to się zdarzało coraz częściej - i zawsze przez kobietę.

Patrzył, aż Marguerite stała się czarną plamką na horyzoncie. Potem odwrócił się i poszedł z powrotem do zamku. Co za bezczelny babsztyl! - myślał. Nigdy nie mówi ani nie robi tego, czego się od niej oczekuje!

Znów się pomylił; pochopnie przypisał jej złe intencje. Wcale nie wyciągnęła sir Waltera. Stary rycerz i tak by poszedł za nią, nawet gdyby go o to nie prosiła.

Bart kopnął wyrzuconą na brzeg kępę wodorostów i dalej kroczył równym, sprężystym krokiem. Głośny huk gromu sprawił jednak, że nagle stanął i obejrzał się przez ramię.

Marguerite zniknęła już za półkolistym brzegiem. Wicher dał coraz mocniej, niosąc z sobą drobiny słonej wody i tumany piasku. Bart przetarł oczy. Coraz

trudniej mu było oddychać. Nadciągała gwałtowna burza. Ciekawe, czy Marguerite zdąży znaleźć schronienie?

Bart bez namysłu zawrócił i pobiegł wzdłuż plaży. W tak krótkim czasie dziewczyna nie mogła zejść zbyt daleko, więc miał nadzieję, że ją dogoni, zanim rozpada się na dobre. Skoro pomylił się dwa razy, to możliwe, że dzisiaj także źle odczytał jej intencje. Wprawdzie nadal jej nie ufał, lecz nie chciał, żeby doznała krzywdy. A przecież mogła wpaść do morza lub zginąć przygnieciona padającym drzewem. A może nawet ponieść śmierć od pioruna.

Biegł jak szalony po jej śladach. W świetle błyskawicy spostrzegł, że sztorm nadciągał w stronę lądu.

Minął zakręt i zobaczył Margeruite. Wciąż szła przed siebie. Nie szła. Biegła. Kawał drogi dzielił ich już od zamku. Przed nimi, na końcu plaży, zaczynała się leśna gęstwina.

Grzmoty dudniły coraz bliżej. Na ziemię spadły pierwsze grube krople deszczu. Bart wiedział, że za kilka minut nastąpi oberwanie chmury.

- Marguerite! - zawołał, przekrzykując huk fal i wycie wiatru.

Zwolniła kroku i obejrzała się. Zobaczyła go. Na jej twarzy malowała się cała gama sprzecznych uczuć.

- Stój! - poprosił, zapominając o wcześniejszej złości. - Nie uciekaj! Musimy poszukać schronienia.

Podbiegł do niej, złapał ją za rękę i pociągnął w kie-

runku lasu. Miał nadzieję, że bezpiecznie dotrą pod osłonę drzew jeszcze przed ulewą.

- Chodź!

Wiatr szarpał ich ubraniami, kiedy szybkim krokiem przemierzali skaliste pustkowie, dzielące plażę od lasu. Weisnęli się w wąską przecinkę, do połowy zarośniętą krzewami. Bart poprowadził Marguerite jeszcze głębiej, pod baldachim gęstych gałęzi.

- Tutaj - powiedział.

Gdzieś blisko uderzył piorun. Marguerite krzyknęła ze strachu. Bart mocniej ścisnął ją za rękę i pociągnął za sobą. W lesie było mroczno, więc z pewnym trudem wypatrywał drogi. Nie był tutaj przez całe lata, a już na pewno nie po powrocie ze szkockiej awantury u boku króla Edwarda.

Po chwili potknął się o wystającą gałąź albo kamień. Na szczęście byli już osłonięci od wiatru. W świetle błyskawic zobaczyli na wpół rozwaloną chatę, zbudowaną z bali. Bart z całej siły pchnął spróchniałe drzwi, aż wypadły z zardzewiałych zawiasów, wszedł do środka i ruchem dłoni przywołał Marguerite.

- Co to za miejsce?

- Nie mam poję... - zaczął, a potem rozejrzał się uważniej. - To chyba chata starego Jakina.

Z dachu został niewielki fragment, wsparty na dwóch przekrzywionych ścianach. Było tutaj jednak wystarczająco dużo miejsca, aby mogli przeczekać burzę. Bart podniósł wyważone drzwi i oparł je o belkę. Miał na-

dzieję, że to im zapewni dodatkową ochronę przed wiatrem.

- Kto to jest stary Jakin? - spytała Marguerite.

Trzęsła się jak osika.

Bart rozpiął płaszcz, przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach.

- Stary dziwak. Mój ojciec dał mu prawo do zastawiania siideł na małą zwierzynę i połowu ryb w morzu i pobliskiej rzece.

- Dlaczego nie mieszkał we wsi?

- Miał trochę źle w głowie - odparł Bart. Słabo pamiętał Jakina. Bliska obecność Marguerite także nie sprzyjała odgrzebywaniu wspomnień. Bart wolałby te-raz myśleć o czymś innym. - Żył bez rodziny i przypominam sobie, że przez cały czas coś mrucał pod nosem. Bywało też, że wykrzykiwał różne dziwne rzeczy. Wszyscy woleli go unikać.

- Hm. To smutne.

- Być może, ale on także nie przepadał za ludzkim towarzystwem.

Znowu strzelił piorun i wśród drzew zadudniło echo gromu.

- Co to było? - szepnęła wystraszona Marguerite.

- Piorun musiał uderzyć w jakieś pobliskie drzewo.

Westchnęła cicho. Bart miał wrażenie, że wszystko, co się wydarzyło wcześniej, prowadziło do tej właśnie chwili. Pożałował ostrych słów i pluł sobie w brodę, że

nie zastanowił się choć trochę, zanim odezwał się do Marguerite.

Przycisnął usta do jej czoła i pogładził ją po plecach. Ledwo ją widział w panującym w chacie mroku, ale kiedy uniosła głowę, dostrzegł w jej oczach coś na kształt nadziei. Bart z całej siły przygarnął ją do siebie, jednocześnie tłumiąc jęk rozkoszy. Usłyszał przyspieszony oddech Marguerite, więc pochylił głowę, przymknął oczy i rozchylił usta do pocałunku.

Krzywe ściany chaty dygotały pod naporem deszczu. Żadne z nich nie zwracało na to najmniejszej uwagi. Marguerite odpowiedziała na zachętę Barta z taką pasją, że niegroźna im była żadna burza.

Jej dotyk sprawił, że Bartholomew resztką sił nad sobą zapanował. Przerwał pocałunek i rozejrzał się po chacie w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliby się położyć.

Wnętrze wyglądało niezbyt zachęcająco. Wszędzie było brudno i mokro. Popękane klepisko zmieniło się w grząskie błoto.

- Marguerite - szepnął.

Krzyknęła z cicha, kiedy nie bacząc na nic, ujął w dłoń jej piersi.

- Mógłbym cię wziąć już teraz - wyznał schrypniętym głosem.

Odpowiedziała mu cichym pomrukiem, on jednak opanował się z najwyższym wysiłkiem i wyprostował swoją potężną postać.

- To nie miejsce na naszą miłość.

Marguerite milczała. Bart odwrócił się i popatrzył na deszcz. Ciągle padało, ale najgorsza nawałnica już minęła. Przez gałęzie prześwitywało blade zielonkawe światło. Bart uznał, że niedługo będą mogli wrócić do zamku.

- Dziś wieczorem, milady - powiedział - zjesz kolację w swojej komnacie. Potem do ciebie przyjdę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W kominku buzował ogień, a po drugiej stronie stała balia pełna gorącej wody, zawczasu przygotowana przez Rose. Służąca wyszła, aby Marguerite mogła wykąpać się w spokoju. Pomału weszła do nagrzanej balii i zanurzyła się po samą szyję. Rozkoszne ciepło ogarnęło całe jej przemarznięte ciało. Zmęczenie ustąpiło; pozostał niepokój.

Uświadomiła sobie, że zakochała się w Bartholomew Holtonie.

Zdawała sobie sprawę, że to nie jest zauroczenie wywołane pieszczotami i pocałunkami. Bart udowodnił, że jest szczerym, uczciwym i dobrym człowiekiem, wrażliwym na ludzką krzywdę i troskliwym. Być może sam nie do końca zdawał sobie sprawę ze swoich cennych przymiotów. Marguerite widziała jednak, jak bardzo dba o rodzinę i wszystkich mieszkańców Norwyck. Nie zapominał o nich, choć ciągle cierpiał po stracie brata i niecnej zdradzie żony.

Westchnęła. Nie oprę mu się, kiedy tu przyjdzie zaraz po wieczery, pomyślała. A co do tego, że się stawi, nie miała najmniejszej wątpliwości.

Alain nie mógł być jej mężem. To też wiedziała. Po prostu nie pasował do niej. Co prawda, wciąż nie pamiętała, dlaczego był na statku. Chyba że tylko we śnie wydawało się jej, że utonął.

Na stoliku przy łóżku stała taca z wieczerzą, przyniesiona przez Rose. Marguerite nie tknęła jedzenia. Nie miała apetytu. Ze ściśniętym żołądkiem czekała na wizytę Barta. Znała jego zamiary i nie zamierzała im się przeciwstawiać.

Zanurzona w gorącej wodzie oparła głowę o brzeg balii i zamknęła oczy. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że jest bezradna wobec miłości.

Poczuła lekki powiew, więc domyśliła się, że ktoś otworzył drzwi i wszedł do komnaty. Rozległy się ciche kroki. Nawet nie patrząc, wiedziała, że to Bartholomew.

Uniosła powieki dopiero wtedy, gdy stanął tuż przy niej. Ubrany był w czarny, świetnie skrojony kaftan i rajtuzy. Ciemne oczy i długie włosy przydawały mu urody.

- Jadłaś już? - spytał.

Marguerite pokręciła głową.

- Nie, milordzie. - Własny głos dziwnie zabrzmiał jej w uszach.

Podszedł do stolika i podniósł pokrywkę. Z półmiska uniósł się aromatyczny zapach. Marguerite jednak nie była głodna. W obecności Barta mogła myśleć tylko o nim.

Wziął łyżkę i miskę stawy i zbliżył się do balii.

Przykucnął obok i zaczął karmić Marguerite. Nie zaprotestowała, zaskoczona niezwykłym zachowaniem.

Przez chwilę jadła w milczeniu, patrząc mu prosto w oczy. Na jego twarzy z wolna zagościł wyraz rozmarzenia. W pewnym momencie pochylił się i zlizął kroplę zupy, która pociekła z kącika ust Marguerite. Przebiegł ją dreszcz podniecenia.

Bartholomew wciąż karmił ją w milczeniu. Powoli wzięła go za rękę, przymknęła oczy i westchnęła - tyle radości sprawił jej ten dotyk.

Usłyszała, że Bart ze świstem wciągnął powietrze.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co to dla mnie znaczy - wyznał.

Popatrzyła na niego.

- Wyobrażam sobie, milordzie - odparła. - To samo dzieje się ze mną.

Odstawił miskę i wziął lniany ręcznik.

- Wstań - powiedział.

Marguerite zawahała się. Myśl o tym, że ma stanąć przed nim zupełnie naga, peszyła ją, a jednocześnie napałała podnieceniem. Bart tymczasem czekał cierpliwie z szeroko rozpostartym ręcznikiem. W komnacie było prawie ciemno, jeśli nie liczyć blasku płonącego ognia.

Wstała.

- Dobry Boże - wyszeptał Bartholomew.

Marguerite wyszła z balii prosto w jego rozwarte ramiona. Owinął ją, a kiedy przechyliła głowę, pocałował w szyję.

Ciasno owinięta w ręcznik, nie mogła poruszyć rękoma, ale Bart najwyraźniej nie miał zamiaru jej uwolnić. Przynajmniej nie w tej chwili. Całował ją po twarzy, szyi i ramionach. Pieścił językiem koniuszek ucha. Czowała na skórze jego gorący oddech i usłyszała zduszony jęk rozkoszy.

Powoli zaczął ją wycierać.

- Jesteś tak miękka - szepnął. - Taka czarująca.

Starannie wytarł jej ramiona. Kiedy opuścił ręce niżej, mogła go wreszcie objąć. Trwali tak, póki Marguerite nie rozwiązała tasiemki jego kaftana.

Nie wiedziała, czy kiedykolwiek przedtem widziała nagi tors mężczyzny. Była jednak dogłębnie przekonana, że nie zetknęła się z nikim, kogo choćby w części mogłaby porównać do Barta. Na moment przycisnęła usta do jego piersi.

Bartholomew z cichym pomrukiem ściągnął kaftan przez głowę. To dziwne, ale pólnagi wydawał jej się jeszcze większy. Marguerite przyglądała mu się z niemym zachwytem.

Przesunęła palcem po jego ramieniu, dotykając potężnych mięśni. Była tak przejęta, że na krótką chwilę dech jej zaparło.

Pochyliła się i jeszcze raz pocałowała Barta między potężnie sklepionymi mięśniami piersi.

- Słodki Boże - wyrwało mu się. Chwytał ją w ramiona, uniósł i obsypał gorącymi pocałunkami.

Marguerite przywarła doń całym ciałem. Zapomniała

o bożym świecie - z nadzieją myślała o tym, co za chwilę nastąpi.

Bartholomew zaniósł ją do łóżka. Mokry ręcznik, zupełnie zapomniany, pozostał na podłodze.

- Jesteś stworzona do rozkoszy, moja Marguerite - szepnął.

Była naga, ale nie czuła zimna, bo Bartholomew rozgrzewał ją swoim ciałem. Przywarła do niego jeszcze mocniej, żeby lepiej poczuć jego dotyk.

Jeżeli ona była stworzona do rozkoszy, to on niewątpliwie był najskrytszym marzeniem każdej kobiety. Jednak nie odważyła się powiedzieć tego na głos.

Bart lekko pogładził ją po włosach.

- Pocałuj mnie - poprosił.

Marguerite przejęła inicjatywę. On zaś - nie przerywając pocałunku - szybko pozbył się pasa, butów i rajtuzów.

Leżeli w łóżku już oboje.

- Weź mnie do siebie - szepnął Bart, całując jej nabrzmiące piersi i czule miejsca na brzuchu, w okolicach pępka. Wreszcie pochwycił ją za obie ręce, uniósł głowę, popatrzył na nią — i wtargnął do środka.

Marguerite nie wyobrażała sobie, aby ktoś inny w takiej chwili mógł być na jego miejscu. Ani Alain, ani... ani ci, których nie umiała wymienić z imienia.

Bartholomew na moment zamarł, jakby zdziwiony, i spojrzął jej prosto w oczy. Nie znalazł jednak w nich nic oprócz niemego przyzwolenia.

Przymknął powieki i zaczął poruszać się coraz szybciej. Marguerite dopasowała się do jego rytmu. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od jego roznamiętnionej twarzy. W pewnym momencie oplotła go nogami w pasie, żeby poczuć go jeszcze głębiej.

Wreszcie zamknęła oczy. Ciałem Barta wstrząsnął gwałtowny spazm - drugi, trzeci.

Przez długi czas leżeli zupełnie nieruchomo, w milczeniu. Potem ich oddech wrócił do normy i serca zaczęły bić normalnym rytmem. Bartholomew powoli uniósł się na rękach i z góry popatrzył na Marguerite. Z miłością wyciągnęła dłoń i pogładziła go lekko po policzku. Ucałował końce jej palców. Nie dbała już o swoją przeszłość. Wiedziała, że z własnej woli nie opuści Norywek. Nie zniosłaby rozłąki z Bartem.

Tymczasem on wygodnie ułożył się u jej boku, objął ją i przytulił czule. Nic nie mówił, lecz Marguerite niemal wszystko mogła wyczytać z jego spojrzenia. Patrzył na nią rozmarzonym, trochę nieobecnym, ale na pewno pełnym zadowolenia wzrokiem.

Cicho złożyła mu głowę na piersi i lekko poruszyła nogą, głaszcząc go stopą po łydce. Drgnął w odpowiedzi i tak mocno przygarnął ją do siebie, że aż jej dech zaparło.

Westchnęła z ulgą. Była przekonana, że od tej pory Bart będzie ją darzył większym zaufaniem. Po tym co między nimi zaszło.

- Mogłaś mi powiedzieć, że wciąż jesteś dziewicą.

Serce podeszło jej do gardła. A zatem nadal podejrzewał, że coś przed nim ukrywa. W tej kwestii nic się nie zmieniło.

Bart poczuł, że Marguerite zesztyniała, urażona jego słowami. Wiedział, że, w ten sposób dał dowód braku zaufania, lecz nie zamierzał zaufać jej tylko dlatego, że poświęciła dlań dziewictwo. W noc poślubną jego własna żona zrobiła to samo, mimo że kochała Dughlasa Armstronga.

Marguerite wydawała mu się jednak zupełnie szczerą w swoim zachowaniu. Ani trochę nie przypominała Felicji.

Teraz spokojnie, lecz zdecydowanie uwolniła się z jego objęć i usiadła, owijając się prześcieradłem. Wstała z łóżka.

- Wiem - głos jej drżał - wiem, że zostałeś okrutnie zdradzony, milordzie - powiedziała i ze łzami w oczach popatrzyła gdzieś ponad jego ramieniem.

Pochyliła się, wzięła z podłogi wilgotny ręcznik i odruchowo otarła sobie uda. Na ręczniku pozostały ślady krwi, ale ona nawet tego nie zauważyła.

Bart gorzko pożałował swoich ostatnich słów.

- Klnę się na moją duszę, że nigdy nie skrzywdziła-bym cię w żaden sposób, ani - płaczliwie wykrzywiła usta i samotna łza spłynęła po jej policzku - ani nie chciałabym, by coś złego zdarzyło się w Norwyck.

Gdzieś w głębi serca pragnął jej uwierzyć - ale rozsądek upominał: Nie! To kobieta! Usiadł na skraju łóżka i powiedział:

- Marguerite, cokolwiek nas dzieli, nie powinno to mieć żadnego wpływu na... to...

Popatrzyła na niego ze ściągniętymi brwiami.

Bartholomew wstał, podszedł do niej i dwoma palcami ujął ją pod brodę.

- Dobrze ci ze mną - rzekł. - I mnie dobrze z tobą.

Pocałował ją. Pozwoliła mu na to bez oporu. Ledwie ich usta się zetknęły, a już zapomnieli o wszystkich nie-szczęściach i przeciwnościach losu.

Bart objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Pragnę cię, Marguerite - szepnął, prowadząc ją z powrotem do łóżka. - Jesteś moja.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Patrzyła na nią wielka czerwona gęba z bladymi niebieskimi oczami. Właściciel gęby był prawie łysy, jeśli nie liczyć kilku rudych i przetłuszczonych klaków, sterzących mu z tyłu głowy. Sine żyłki rysowały mu się na bulwiastym nosie.

- Bez dyskusji udasz się do Szkocji.

- *Non!*

- Tak, Mairi Armstrong! - ryknął mężczyzna. Uniósł rękę i wymierzył jej siarczasty policzek. - Zro-bisz tak, jak ci kazano. Prosto ze statku pójdziesz do kościoła i weźmiesz ślub. Ze mną!

Marguerite obudziła się z głośnym krzykiem i usiadła na łóżku. Drżała z przerażenia.

Była naga i spocona. Dyszała ciężko, a serce waliło jej jak młotem. Spojrzała przez ramię i zobaczyła, że jest sama. Bartholomew zniknął.

Rozpoznała człowieka ze snu. To był Carmag MacEwen. Jej narzeczony.

Marguerite - nie, już teraz Mairi - ukryła twarz w dłoniach. Wróciły do niej wspomnienia. Kilka mie-

sięcy temu Carmag przybył do Francji, do domu Caitir i Alaina. Zamierzał zabrać Mairi do Szkocji i tam pojąć ją za żonę. Alain na razie odwiódł go od tych zamiarów. Ale tylko na razie.

Alain! Ukochany mąż Caitir zginął w katastrofie!

Łzy nabiegły do oczu Mairi. Dostała mdłości. Alain zginął, Caitir została wdową - a ich dzieci sierotami. I wszystko przez to, że postanowił sam odwieźć ją do Szkocji.

Posmutniała. Gdyby od razu popłynęła z Carmagiem, Alain zostałby na pewno w domu. Byłby teraz z żoną i dziećmi, w słonecznej wiejskiej posiadłości.

Mairi otarła łzy i powoli zwlokła się z łóżka. Czuliła się jakaś inna, zupełnie odmieniona. I nie chodziło tutaj wyłącznie o wspomnienia. Wiele zmieniła noc, którą spędziła z Bartem. Mairi nie umiała opisać swoich uczuć, wiedziała jednak, że pan na zamku Norwyck nie całkiem je podziela.

Dla niego była tylko piękną, godną pożądania istotą. Nic więcej.

Uklękła przy kufrze, w którym trzymała pożyczone suknie. Nie miała wyboru - musiała jak najszybciej udać się do ojca, czyli do twierdzy Braemar. Musiała stanąć przed swoim ojcem Lachannem i bratem Dughlasem, którzy nie cofnęli się przed najgorszą podłością i zdradą, żeby oszukać i poniżyć swoich wrogów: Holtonów.

Potem, posłuszna woli ojca, będą zmuszona wyjść za

mąż za sojusznika Armstrongów, Carmaga MacEwana, pomyślała. Brutala, na którego widok robiło jej się niedobrze.

Mairi zakryła usta drżącą dłonią i zastanawiała się, co dalej. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć płaczem. Co zrobi Bartholomew, kiedy dowie się prawdy o jej pochodzeniu? Bez wątpienia posądzi ją o najgorsze. Choćby o to, że przez cały czas wiedziała, kim jest. Uzna, że wykorzystała katastrofę statku dla jakichś własnych niecných celów.

Ona zaś nie ma żadnych argumentów, aby przekonać go, że to nieprawda.

Może najlepiej mu nie mówić, że nagle odzyskała pamięć?

Włożyła koszulę i ciepłe wełniane rajtuzy. Kiedy sięgnęła głębiej ręką do kufra, jej palce natrafiły na jakiś twarde przedmiot. Po chwili go rozpoznała. Był to but, w którym kiedyś ukryła klejnoty. Zupełnie o nim zapomniiała! Głęboko zaczerpnęła tchu. Trzeba to jak najprędzej zwrócić prawowitemu właścicielowi, pomyślała. Może jeszcze nie zauważył zguby? Przecież na pewno oskarży mnie o kradzież, bo jestem córką Armstronga.

Nic mu nie mów o swoim pochodzeniu, odezwał się cichy, ale uporczywy wewnętrzny głos.

Schyliła się bliska rozpaczy i oparła czoło o krawędź kufra. Czy powinna milczeć? Czy mogła pozostać w Norwyck jako lady Marguerite?

Alain nie żył. Ponościła za to winę. Powinna była umrzeć razem z nim. Ponury los sprawił, że jednak ocalała.

Lachann na pewno się nie domyślał, że cało wyszła z katastrofy statku. Z Norwyck nie docierały żadne wieści do twierdzy Armstrongów. Zbrojni nie gawędzili przecież z wrogiem podczas najazdów i potyczek.

Carmag MacEwan? Wolalała raczej umrzeć, niż poślubić tego brutala. Gdyby została w Norwyck, to...

Skrzypnęły otwierane drzwi i do komnaty zajrzała Eleanor.

- Jeszcze śpisz? - zabrzmiał nadąsany głosik. - Cały dzień czekam na ciebie!

Mairi wyjęła z kufra but pełen klejnotów i wysypała kilka z nich na rękę, lecz Eleanor nie zwróciła na to naj-mniejszej uwagi.

- Bartie powiedział wczoraj, że źle się czujesz i że nie wolno ci przeszkadzać - zawołała. - Co ci się stało, lady Marguerite? Masz takie dziwne oczy.
- Nic mi nie jest - odparła Mairi i przesunęła ręką po twarzy. - Poznajesz to?
- Tak - odpowiedziała Eleanor i trąciła palcem klejnoty. - To skarb Norwyck.
- Musisz je zanieść z powrotem do komnaty brata - surowo oznajmiła Mairi. - Dzisiaj rano. Ani trochę później.
- Przecież już prawie południe! - zawołała dziewczynka. - Spałaś jak zabita! Chciałam iść pobawić się we wsi, ale niania Ada powiedziała mi, że nie mogę!

- Pójdziemy tam trochę później, Eleanor - obiecała jej Mairi. Wyjęła z kufra suknię i wstała. - A teraz biegnij do komnaty Barta i odłóż klejnoty na miejsce. Ubiorę się i będę na ciebie czekała w wielkiej sali.
 - Ale...
 - Zrób, co mówiłam - powiedziała Mairi trochę ostrzej, niż zamierzała.
- Obrażona Eleanor wydeła usta, ale na Mairi nie zrobiło to żadnego wrażenia. Wzięła dzbanek i nalała wody do miednicy. Zanim zmoczyła kawałek lnianej szmatki, by się umyć, dziewczynka zniknęła na korytarzu.
- Och! - Eleanor stanęła jak wryta na widok brata. Nie spodziewała się, że go tu zastanie. Zaczerwieniła się aż po korzonki rudych włosów - i niemal upuściła pękate zawiniątko, które trzymała w fałdach sukni.
 - Och? - pytającym tonem powtórzył Bartholomew. Złapał ją za ramię, zanim zdążyła uciec. Od dawna wszystkim było wiadomo, że żadne dziecko nie ma wstępu do tego pomieszczenia. Eleanor została przyła-pana na gorącym uczynku. Bart chciał wiedzieć, co ją tu sprowadza.
 - Co tam schowałeś? - spytał, wskazując na zawiniątko.
 - Nic. Bartie.
- Odwróciła się, gotowa do ucieczki, ale Bartholomew trzymał ją mocno. Kilka cennych pierścieni upadło na podłogę.

- A to co? - z marsową miną zapytał Bart. Przyklęknął, żeby lepiej przyjrzeć się klejnotom, i z przerażeniem stwierdził, że pochodzą ze skarbca w jego komnacie. - Eleanor!

Łzy wilkie jak groch płynęły po policzkach dziewczynki. Eleanor załamała ręce.

- Właśnie... właśnie przyszedłam tutaj, żeby wziąć klucz do twojej szkatuły.

Ten mały wścibski urwis wiedział, gdzie chowam klucze? - zdziwił się w duchu Bartholomew.

- Po co? - spytał groźnie.

Eleanor rozplakała się na dobre.

- Że-żeby schować klej-klejnoty tam, skąd... skąd je zabrałam.

- A dlaczego je stamtąd zabrałeś?

- Żeby dać je lady Marguerite. - Rozbeczała się jeszcze głośniejsze.

- Co takiego?!

Pokiwała głową. Chwilę trwało, zanim uspokoiła się na tyle, żeby mówić dalej.

- Zrobiłam to, bo chciałam, żeby na zawsze została w Norwyck. Pomyślałam sobie, że jak je dostanie...

- Oddałeś jej nasz majątek, żeby została w Norwyck?

Rozpacz Eleanor sięgnęła zenitu. Dziewczynka tylko skinęła głową. Bart starannie pobierał klejnoty z podłogi. Zebrał wszystko: broszki, bransolety, pierścienie, naszyjniki i inne precjoza, od stuleci noszone przez kolejne żony władców Norwyck. Na razie schował je

w kufrze z książkami, postanowiwszy w duchu, że z czasem znajdą się w bezpieczniejszym miejscu.

- Właśnie - płakała Eleanor - a lady Marguerite ka-zała mi je oddać i...
- Wystarczy - surowo przerwał siostrze w pół zdania. Popatrzył na nią. - Pójdiesz teraz do swojej komnaty i nie wyjdiesz stamtąd, póki ci na to nie pozwolę.
- Ale Bartie...
- Żadnych dyskusji, Eleanor. Byłaś bardzo niegrze-czna i tym razem musisz ponieść karę.
- Ale ja...
- Musisz nauczyć się odpowiedzialności, moja mło-da damo - dodał. - Już powiedziałem: Idź do pokoju. Ruszaj.
- Ale...
- I dziękuj Bogu, że nie posiedzisz tam o chlebie i wodzie.

Eleanor odwróciła się i wybiegła. W drzwiach omal nie wpadła na wchodzącego właśnie sir Waltera. Stary rycerz popatrzył na nią ze zdumieniem, ale nic nie powiedział, tylko powoli wszedł do komnaty i stanął przed swoim panem. Bart nie miał czasu, żeby się głę-biej zastanowić nad postępkami Eleanor. Ani nad tym, co uczyniła Marguerite.

Dzień ledwo się zaczął, a tyle już się wydarzyło. Bartholomew zamierzał po południu dołączyć do mu-rarzy. Za to wieczorem czekało go spotkanie z najcu-downiejszą kobietą pod słońcem.

Wciąż miał na sobie przepocony kaftan, który włożył rano, przed rozpoczęciem ćwiczeń. Odpiął pas z mie-czem i ze stukiem położył go na stole.

- Skończyłem śledztwo w sprawie wypadku, milor-dzie - oświadczył Walter. - Thom Darcet kazał robot-nikom dolać za dużo wody do zaprawy. Spoina okazała się przez to za słaba i mur się zawalił.

Bart potarł kark, podszedł do okna, nie widzącym wzrokiem spojrzął na dziedziniec i wrócił na poprzed-nie miejsce. Nie chciało mu się myśleć o wypadku. Wciąż pamiętał, że tam, na górze, leżała nago piękna Marguerite.

- Jesteś pewny?

Walter skinął głową.

- Sołtys Gayte był chory przez kilka dni przed wy-padkiem - odparł. - Jego rolę natychmiast przejął Dar-cet. Wypytywałem ludzi, którzy kładli głązy. Ich zda-niem zaprawa była za rzadka.
- Dlaczego go nie oszukali? Przecież przez cały czas nie patrzył im na ręce.
- Robili to, milordzie, ale tylko wtedy, kiedy nie by-ło go w pobliżu.

Bart musiał zwolnić rządcę. W tym momencie nie miał już wyboru, Darcet popełnił wiele błędów przez ostatnie lata, ale ten był najgorszy.

- Masz pełne prawo wyrzucić go, milordzie - po-wiedział Walter. - Jego poczynania nie przyniosły nam nic dobrego.

- Ale mój ojciec go zatrzymał.
 - Owszem, lecz w czasie choroby twojej macochy, panie, za wiele władzy przeszło w jego ręce. Ostrzega-liśmy go, żeby nie postępował zbyt buńczucznie.
- Bartholomew ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Nie lubił takich sytuacji.
- Mam mu o tym oznajmić, milordzie?
 - Nie - odparł Bart i siadł w fotelu stojącym koło biurka. Nie zamierzał zrzucić przykrych obowiązków na barki Waltera. - Poślij kogoś po niego. Sam z nim porozmawiam.
 - Tak jest, milordzie - odparł Walter i odwrócił się, żeby odejść. - A przy okazji... Miałem spytać o lady Marguerite. Jak się miewa po ostatniej burzy?
- Bart spojrzał mu prosto w oczy,
- Dobrze, dziękuję.
 - Wybacz mi zbytnią śmiałość, milordzie, lecz w tym momencie chciałbym zauważyć, że owa dama nie ma nic wspólnego z twoją tragicznie zmarłą żoną.
 - To chyba nie twoja sprawa, panie.
 - Tak jest, milordzie - przyznał sir Walter - lecz jako człowiek, który miał na względzie dobro dwóch po-koleń twojej rodziny, uważam, że wspomniana lady Marguerite nie dała ci najmniejszych podstaw, aby jej nie wierzyć. Wręcz przeciwnie, przez cały czas była szczerą...
 - A Felicia nie była? - wpadł mu w słowo Bart. -Przejrzałeś ją już na początku?

- Nie, milordzie - cicho odparł sir Walter. - Wcale nie twierdzę, że tak było. Jednak nie ufałem jej, przeczuwałem, że coś ukrywa.

Bart wstał gwałtownie i podszedł do okna. Założył ręce do tyłu.

- Aha - bąknął. - Przeczucia to cudowna sprawa.
- Tak, milordzie.

Rozległ się stuk zamykanych drzwi. Bart odwrócił się, powiódł wzrokiem po pustej komnacie i westchnął ciężko. Stało się jasne, że sir Walter nie pochwałał jego stosunku do Marguerite. Ale dlaczego miałby tym się kłopotać? Przecież wszyscy wiedzą, że wcale nie zamierzam powtórnie się ożenić, myślał Bartholomew. Następnym earlem Norwyck będzie Henry. Bart miał już dość małżeństwa na całą resztę życia. Ciekawe, dlaczego Marguerite nie zatrzymała skarbu. Nie chciała go? A może miała na widoku inną, lepszą zdobycz?

Mairi weszła do wielkiej sali w tej samej chwili, w której sir Walter wyłonił się z korytarza.

- Ach, milady - powiedział, podchodząc. Złożył jej lekki ukłon. - Mam nadzieję, że już ci lepiej po wczorajszej przygodzie.

Mairi skinęła głową. Rycerz spoglądał na nią przyjaźnie, ale w jego oczach kryło się coś więcej. Czyżby przejrzał jej kłamstwa? Poznał, że odzyskała pamięć? Wy-czuwał jej smutek?

- Tak, sir Walterze. Bardzo dziękuję. A co u ran-

nych? U mistrza Alricka i u pozostałych? - zagadnęła z nadzieją, że tym pytaniem odwróci jego uwagę.

- Bez zmian - odparł i ponownie się uklonił.

Nieprawda, pomyślała Mairi. Wszystko się zmieniło. Skinęła głową i przez chwilę patrzyła za nim, gdy odchodził.

Alain nie żyje.

Ona jest córką Lachanna Armstronga.

Gdyby ojciec ją znalazł, to pewnie by musiała jak najszybciej poślubić Carmaga MacEwena.

Zamknęła oczy i starała się zwalczyć przygnębienie, które ogarniało ją za każdym razem, kiedy myślała o Alai-
nie. Nie mogła jawnie okazywać bólu, bo wołała uniknąć zbędnych pytań. Cały czas musiała zachowywać się tak jak przedtem. Jakby w ogóle nic się nie zmieniło.

Rozejrzała się po wielkiej sali, ale nigdzie nie zobaczyła Eleanor. Pewnie znów wymyśliła jakąś nową pso-
tę. Mairi poszła dalej i zajrzała w głąb korytarza. A mo-
że zasiedziała się u brata?

Uchyliła drzwi i zawołała cicho:

- Eleanor?

W zamku było dużo kryjówek. Dziewczynka wyszła z pokoju bardzo niezadowolona, więc zapewne scho-
wała się, żeby „ukarać” swoją przyjaciółkę. Lecz na
wołanie Mairi odpowiedział tylko Bartholomew. Nie
widziała go przedtem, bo siedział tyłem do drzwi, w fo-
telu z wysokim oparciem.

Podniósł się gibkim ruchem i szybko do niej podszedł.

Był ubrany w zwykłą lnianą koszulę, poplamioną
błotem. Twarz wciąż miał jeszcze nieco mokrą od potu.
Wydał jej się teraz groźniejszy niż zazwyczaj. Zauwa-
żyła w jego oczach coś niepokojącego.

Bez słowa objął ją w talii jedną ręką, dźwignął ni-
czym piórko i pocałował na powitanie.

Był to namiętny pocałunek, pełen wewnętrznego ża-
ru, jakby nie widzieli się od miesiąca, choć ich rozstanie
trwało przecież zaledwie kilka godzin.

Mairi dopiero po dłuższej chwili mogła swobodnie
odetchnąć.

- Milordzie - szepnęła spłoszona - to nie uchodzi.

Ja...

- Pragnę cię, Marguerite. Niezmiennie. - Postawił
ją na podłodze. - Lecz oczywiście będzie tak, jak
zech-cesz. Przynajmniej na razie.

- Dziękuję.

- Ale dopiero po następnym pocałunku - dodał i
pochylił głowę.

Za ich plecami rozległ się szelest. Mairi jak oparzona
odskoczyła od Barta, zakłopotana, że ktoś był świad-
kiem tej intymnej sceny.

Intruz wszedł głębiej do komnaty i chrząknął.

- Chciałeś mnie widzieć, panie?

- Tak, Darcet - odrzekł Bart i puścił rękę Mairi.

-Musimy porozmawiać.

Mairi skromnie pochyliła głowę i wyszła. Mocno za-
czzerwieniona wróciła do wielkiej sali, ale i tym razem

nie znalazła tam Eleanor. Poszła do kuchni i do spiżarni. Żaden ze służących nie widział dziewczynki.

- Może jest z siostrą w słonecznej komnacie - powiedziała jedna z pokojówek.

Mairi miała nadzieję, że tak będzie w istocie. W wielkiej sali natknęła się na Johna i Henry'ego, którzy właśnie wracali z ćwiczeń.

- Milady! - zawołał John. Henry pozdrowił ją jedynie zdawkowym skinieniem głowy. - Wszystko w porządku? Baliśmy się trochę wczoraj.
- Nic mi nie jest - zapewniła go pospiesznie, zastanawiając się, o czym jeszcze wieczorem plotkowano w zamku. - Dziękuję, że się o mnie troszczysz, Johnie.
- Bart mówił nam, że się przeziębiałaś.
- Nie, John. Czuję się bardzo dobrze - odpowiedziała. - Właśnie szukam Eleanor.
- Na pewno wpakowała się w jakąś nową kabałę - z przekąsem zauważył Henry.
- Obawiam się, że masz rację.
- A może razem jej poszukamy? - ochoczo zaproponował John.
- Nie chcę wam sprawiać kłopotu.
- To żaden kłopot, prawda, Henry? - zapytał John.
- Może dla ciebie, braciszku - padła odpowiedź. - Ja mam pilniejsze sprawy.
- Wszystko jasne, milady - oznajmił John, z dezaprobatą spojrzawszy na brata. - Zostaliśmy tylko we dwoje.

Henry odszedł w kierunku schodów. Mairi i John popatrzyli na siebie.

- Ktoś gra? - spytał John.

Mairi nadstawiła ucha. Rzeczywiście, gdzieś z odległego kąta galerii dobiegały dźwięki prostej melodii. Ktoś grał na gitarze. Mairi rozpoznała, że to ten sam akord, który kiedyś ćwiczyła z Kathryn. Może więc Eleanor też tam zostanie?

Kathryn wyraźnie spłoszyła się na ich widok. Odłożyła gitarę i zerwała się z miejsca.

- Ja... ja...

- Wiesz może, gdzie jest Eleanor? - spytał John.

- Nie - odpowiedziała, marszcząc brwi. - Chociaż... Możliwe, że jest w dziecięcym. Nie widziałam jej od śniadania.

- Pójdę sprawdzić - zaproponował John. - Mam ją do ciebie przysłać, milady?

- Nie - odparła Mairi. - Chyba że coś zmajstrowała. Odwróciła się w stronę wyjścia.

- Zaraz zobaczę! - zawołał John i po chwili już go nie było.

Mairi nie rozumiała zakłopotania Kathryn. Dziewczynka zachowywała się tak, jakby przyłapano ją na jakiejś psocie. Jakby była przekonana, że nie wolno jej ruszać gitary.

Muzyka nie powinna być zakazana, pomyślała Mairi. Dla niej stanowiła istotną część życia. Na psalteronie

umiała już grać, kiedy była niewiele starsza od Eleanor. Potem grywała niemal na wszystkich instrumentach strunowych, ale najbardziej polubiła lutnię.

Może Kathryn myślała, że źle postępuje, bo muzyka odrywa ją od obowiązków? Swoją rolę, jako pani zamku, traktowała śmiertelnie poważnie.

- Podobało mi się to, co grałaś - powiedziała Mairi, żeby choć trochę rozładować napiętą atmosferę. - Chętnie posłucham jeszcze czegoś.

Dziewczynka nie bardzo wiedziała, czy ma natychmiast uciec, czy pozostać w komnacie.

- Nie - odparła. - Muszę iść do kuchni i sprawdzić...

- Przed chwilą byłam w kuchni - przerwała jej Mairi. Wzięła gitarę do ręki i usiadła na zydlu. - Kucharz na pewno wie, co ma robić. Może spędzimy trochę cza-su razem?

Kathryn mocno zacisnęła usta i popatrzyła na nią pogardliwie.

Mairi nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

- Który instrument wolała twoja mama? - spytała.

- Psalterion czy gitarę? - Lekko uderzyła palcami w struny.

- Gitarę.

- Ach, więc to powinien być także twój instrument!

- ucieszyła się Mairi. - Sama zobaczysz, że bardzo szybko wszystkiego się nauczysz.

Kathryn przestała się dąsać.

- Znam dużo więcej nut i akordów - powiedziała

Mairi i poklepała leżącą obok niej poduszkę. - Siadaj, to ci pokażę.

Dziewczynka nie umiała oprzeć się pokusie. Bez słowa zajęła miejsce i czekała na zapowiedzianą lekcję-

Mairi wręczyła jej gitarę i ćwiczyły przez kilkanaście minut.

- Masz wrodzony talent do muzyki - powiedziała Mairi, wdzięczna losowi za to, że mogła sama na pewien czas oderwać się od niewesołych myśli. - Twoja mama na pewno byłaby z ciebie dumna.

Kathryn milczała, ponownie zaciskając usta.

- Jak już nauczysz się grać na gitarze - ciągnęła

Mairi - to spróbujemy gry na psalterionie.

- Nie, lady Marguerite. Nie mam na to czasu.

- Na pewno znajdziesz.

Kathryn gniewnie błysnęła oczami. Złość walczyła w niej o lepsze z kuszącą perspektywą dalszej nauki. Wstała gwałtownie, zostawiając gitarę na podłodze.

- Wciąż mówisz mi o mojej mamie, a przecież wcale jej nie znałaś! - wybuchnęła. - Skąd wiesz, z czego byłaby zadowolona?!

- Wiem, że...

- Moja mama była stokroć piękniejsza od ciebie! I grała tak, jak ty nigdy nie będziesz umiała!

- To prawda.

- A poza tym mam mnóstwo rzeczy do zrobienia! Bartholomew powierzył mi pieczę nad zamkiem.

- Ur-

wała nagle. Broda jej się trzęsła, a ręce nerwowo błędziły po fałdach sukni.

- Na pewno, Kathryn - cicho powiedziała Mairi. - Twój brat bez wątpienia wie, ile dla niego robisz, i szanuje cię za to.

Kathryn za nic nie dała się przekonać. Mairi położyła jej dłoń na ramieniu. Dziewczynka wyrwała się i uciekła.

Mairi przez chwilę pustym wzrokiem wpatrywała się w drzwi. Nic nie było łatwe na tym świecie. Złożyła ręce i zmówiła krótką modlitwę za Kathryn. Za zrozpaczone dziecko, które mocno przeżywało ostatnie nieszczęścia. Otarła łzy i pomodliła się także za Alaina, który w tragiczny sposób opuścił żonę i osierocił dzieci.

I pomodliła się za siebie, aby Bóg zrozumiał i wybaczył jej kłamstwa.

Skrzypnęły drzwi. Do komnaty wszedł Bartholomew ze ściągniętą i ponurą twarzą.

Mairi szybko wstała na jego widok. Miała nadzieję, że nie zauważył, iż płakała.

- Co się stało, milordzie?

Zmiał w ustach przekleństwo.

- Chodzi o Alricka. Przed chwilą dostałem wiadomość, że umarł.

Łzy znów nabiegły jej do oczu i dłonią zasłoniła usta.

Bartholomew założył ręce do tyłu i odszedł o kilka kroków, żeby mogła się uspokoić. Ale teraz, kiedy Mairi знаła już los Alaina, coraz trudniej jej było panować nad uczuciami.

- Winę za ten wypadek ponosi mój rządcą - powiedział Bart.

- Jak to, panie? - spytała, siląc się na spokój. Nie mogła przecież zbyt otwarcie rozpaczć z powodu śmierci wieśniaka. To nie przystało damie.

Bart odwrócił się i podszedł do niej.

- Kazał rozrzedzić zaprawę. Głupiec myślał, że zaoszczędzi, kiedy doleje więcej wody.

Mairi płaczkliwie pociągnęła nosem i otarła załzawione oczy.

- Ale na pewno...

- Kompletny idiota. Sir Walter wydał mu ściśle instrukcje, ale on postanowił zrobić po swojemu.

- Tak mi przykro, milordzie - powiedziała, kładąc mu dłoń na ręce. - Wiem, że w tej chwili musi ci być bardzo ciężko.

Od początku zauważyła, że dbał o swoich ludzi, ale wypadek jeszcze mocniej ujawnił jego prawdziwą troskę o wieśniaków i mieszkańców zamku.

- Każdy by bolał nad taką stratą - odrzekł i skrzyżował ręce na piersiach. - Nie lubię, kiedy ktoś ginie w tak głupi i bezsensowny sposób.

Mairi wspięła się na palce i uciszyła go pocałunkiem.

- Musisz powiedzieć o tym Eleanor, milordzie - bąknęła, sama zaskoczona swoim postępkiem. - Bardzo lubili się z Alrickiem. Na pewno będzie jej bardzo smutno.

- To prawda - westchnął Bartholomew i ujął ją za rękę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Bart oczywiście zauważył zgnębiałą minę Marguerite. Stanowczo jest zbyt uczuciowa, pomyślał. Nie powinna aż tak przejmować się śmiercią człowieka, którego prawie nie znała.

Potem jednak wpadło mu do głowy, że być może dopiero teraz w pełni przeżywała wydarzenia minionej nocy. Może żałowała utraty dziewictwa? Czy to spowodowało u niej przyływ wzruszeń? Kto to wie, co się naprawdę dzieje w sercu i duszy kobiety?

Marguerite tymczasem pocieszała płaczącą Eleanor, której Bart wspomniałomyślnie darował resztę kary ze względu na żalobę. Teraz przyglądał im się spod oka. Szkoda, że Marguerite równie dobrze nie radzi sobie z drugą siostrą, pomyślał. Od dnia śmierci Williama Kathryn stała się harda i uparta. Bart w zasadzie nie wiedział, co z nią począć, pozwalał więc jej grać rolę kasztelanki. Miał nadzieję, że sama się tym znudzi, zanim Henry weźmie sobie żonę i sprowadzi ją do Norwyck.

Wieczorem Marguerite zasiadła z wszystkimi do kolacji. Potem zagrała na psalterionie. Mieszkańcy zamku zgromadzili się przy kominku - z wyjątkiem Kathryn,

która z robótką w ręku przycupnęła w odległym kącie. Do wielkiej sali przyszła tylko dlatego, że Bart jej nakazał.

Śpiewali wszyscy, to znaczy wszyscy prócz Kathryn i Henry'ego. Nawet część służby, zajęta sprząaniem nakryć po wieczerzy, przyłączyła się do śpiewu. Henry wstał z krzesła, przeszedł na drugą stronę i przykucnął obok Barta. Sir Walter patrzył na nich z daleka.

- Wysłałeś listy? - zapytał Henry.

- Tak - z ciężkim westchnieniem odpowiedział Bartholomew. - Za kilka tygodni powinniśmy wie-dzieć, kto cię przyjmie. Chyba że zostaniesz w Nor-wyck i będziesz moim giermkim.

Henry nastroszył się.

- Nie - odparł. - To się nie uda. W ten sposób na pewno nie wyrosnę na rycerza. Jeżeli chcę się czegoś nauczyć, to muszę być z dala od domu. Ty przebyłeś tę samą drogę. Will także.

John rzucił jakiś dowcip, po którym Eleanor wybuchnęła śmiechem. Nawet Kathryn uśmiechnęła się pod nosem, a z oczu Marguerite na moment zniknął wyraz smutku. Bart popatrzył na nią z zadumą. Zaraz jednak przywołał się do porządku. To nie pora na czcze współ-czucie, pomyślał. Po pierwsze wciąż nic o niej nie wiedział. Nie znał jej pochodzenia. A po drugie nie umiał rozgryźć zagadki rodowych klejnotów. Dlaczego ich nie przyjęła? Coś się za tym kryło. Kobiety były zdolne do najgorszej zdrady.

Mogła być tylko kochanką. Nikim więcej.

Zrobiło się już dosyć późno. Przyszła niania Ada, żeby zagonić Eleanor i Kathryn do łóżek. Bart zauważył, że starsza siostra nie była z tego zbytnio zadowolona, lecz nie protestowała. Poszła za nianią jak co wieczór. Potem zniknęli chłopcy. Bart został sam na sam z Marguerite.

Spostrzegł, że jest bardzo zdenerwowana.

Bartholomew z trudem powstrzymał się od uśmiechu, kiedy zabrała psalterion i poszła w stronę schodów. Dogonił ją, wyjął jej z ręki instrument i poprowadził dalej.

Także i tę noc zamierzał spędzić w jej komnacie, dzieląc z nią łóżko. Sumienie miał spokojne, bo przecież do niczego jej nie zmuszał. Zdążył się przekonać, że Marguerite na równi z nim była spragniona szalonej, zmysłowej miłości.

Kiedy dotarli do półpiętra, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Pieszczotliwie trącił ją nosem w kark i poczuł narastającą falę pożądania. Z trudem się powstrzymał, żeby nie chwycić dziewczyny wpół, nie przetrząść przez ramię i nie zanieść do łóżka. Tak jednak mógł postąpić tylko barbarzyńca z odległej północy. A on barbarzyńcą nie jest.

Zatrzymał się, odłożył psalterion na podłogę i odwrócił Marguerite twarzą do siebie. Zabrał jej świecznik, postawił go na stoliku obok i zawładnął jej ustami. Jęknęła z cicha i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Nastąpiła długa chwila zapomnienia. Trwali złączeni i obojętni na to, co się wokół działo. Bart opamiętał się pierwszy.

- W twojej komnacie czy może w mojej? - szepnął, chwytając ją zębami za koniuszek ucha.

Marguerite westchnęła.

- No dobrze - odparł Bart. - Niech będzie w twojej.

- Wziął ją za rękę, zabrał świecę i poszli dalej w górę schodów.

Głośny huk i brzęk tłuczonego szkła wyrwał ich z miłosnego oszołomienia. Zatrzymali się w połowie drogi.

- Co to było, milordzie? - spytała Marguerite.

- To chyba z dziecięcej komnaty. - Wciąż trzymając ją za rękę, odwrócił się i poszedł w tym kierunku, z którego przed chwilą dobiegał hałas.

Eleanor kulila się zapłakana przy swoim łóżku, przytulając się do śmiertelnie bladej niani Ady. Kathryn stała naprzeciw nich, z rękami na piersiach. Na podłodze wałały się skorupy glinianego kubka. Bart nie miał najmniejszych wątpliwości, kto go rozbił.

Wolałby tylko, żeby Kathryn nie celowała w nianię ani w Eleanor.

- Co się stało? - spytał z pozornym spokojem, chociaż w środku aż kipiał z wściekłości.

Eleanor głośno pociągnęła nosem, a niania milczała.

- Rzuciłam kubkiem - wojowniczym tonem oznajmiła Kathryn. - Walnęłam nim o ścianę, aż się potłukł.

Bart ominął leżące skorupy i podszedł do siostry. Na policzkach miała ślady łez, ale już nie płakała.

- Dlaczego? - zapytał cicho. - Dlaczego to zrobiłaś?
- Niepotrzebna mi niańka! I nie chcę sypiać w tym pokoju! - krzyknęła.
- Dobrze - z wahaniem zaczął Bartholomew. Spojrzał na Adę, jakby w nadziei, że może ona da mu sensowną wskazówkę. Stara niania patrzyła jednak na Kathryn z oburzeniem. Bart przeniósł wzrok na szczerze zatroskany twarz Marguerite. To dodało mu nieco odwagi. -A gdzie chcesz spać? - zwrócił się do Kathryn.
- W tej komnacie, w której przedtem sypiali tata z mamą!

Bart spojrział na nią poważnie.

- Sama przyznasz, że twoje zachowanie...
- Nie jesteś moim tatą! - wrzasnęła na całe gardło.
- Mój tata nie żyje!

Bart nie wiedział, co począć. Zachowanie Kathryn było irracjonalne. Domyślał się, że go nie usłucha.

- Masz rację, Kate - rozległ się nagle melodyjny głos. - W pełni zasługujesz na to wyróżnienie, bo jak rodzona matka opiekujesz się siostrą i braćmi. Twój rodzice na pewno by cię pochwalili. - Marguerite podeszła bliżej do dziewczynki. - Nikt nie zrobiłby tego lepiej od ciebie - powiedziała cicho. - Inne rodziny mogą wam zazdrościć. Okazałaś się niezwykle dzielna, Kathryn, zwłaszcza po śmierci Williama i Felicii. Potrafiłaś sprostać trudnej sytuacji.

Czułym ruchem wyciągnęła rękę i wzięła ją w ramiona. Kate wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

- Nienawidzę jej! - szlochała. - Nienawidzę!
- Wiem, kochanie - przytaknęła Marguerite, głaszcząc ją po plecach. Sama też płakała. Bart poczuł się kompletnie bezradny. - Popelniła straszliwą zdradę.
- Była mi siostrą! Przyjaciółką! - wołała Kathryn. Bart wreszcie zrozumiał, co się z nią działo.

Kate straciła matkę cztery lata temu. Kiedy wkrótce potem zjawiła się Felicia, dziewczynka przyłgnęła do niej jak osieroczone szczenię. Nic dziwnego, że była tak nieznosna przez wiele miesięcy. Z utęsknieniem czekała na powrót starszych braci i wciąż żyła nadzieją, że zostanie ciocią. A Felicia w okrutny sposób zawiodła jej zaufanie.

Bart zmarszczył brwi i z niechęcią pokręcił głową. Czy są jakieś granice zła, które popelniła jego zmarła żona?

Podszedł do Eleanor, wziął ją na rękę i zabrał z komnaty. Po drodze dał znak Adzie, żeby poszła za nim. Zamknął drzwi. Marguerite została sama z Kathryn.

Kathryn wreszcie usnęła, wyczerpana płaczem. Łzy zaschły jej na policzkach.

Leżała w swoim łóżku, w dziecięcej komnacie, wtulona w ramiona Mairi. Od tak dawna szukała bratniej duszy, kogoś, kto by zrozumiał, co ona czuje, co się z nią dzieje!

Mairi wyżej podciągnęła koldrę, bo w komnacie było dość chłodno i przymknęła oczy. Być może własna rozpacz pozwoliła jej lepiej pojąć rozterki Kathryn.

Musiała żyć ze świadomością, że Alain zginął przez nią tylko dlatego, że nie chciała zawczasu wrócić do Szkocji. Gdyby popłynęła wcześniej, z Carmagiem, to Alain wciąż byłby we Francji, u boku ukochanej żony, z całą rodziną.

Lecz nigdy nie trafiłaby do zamku Norwyck i nie poznała tutejszego earla. Jej mężem byłby Carmag MacEwen, a ona byłaby pewnie brzemienna.

Wzdrygnęła się na tę myśl.

Doszła do wniosku, że Lachann Armstrong nie może się dowiedzieć, że jego córka zamieszkała w Norwyck. Nie chciała wracać do rodzinnego domu, choćby to miało dla niej oznaczać trwałe rozstanie z Caitir. Koniec z Lachannem i Carmagiem.

Nie chciała wyjść za niego za mąż. Budził w niej tylko obrzydzenie.

Kiedy przyjechał po nią, raz przydybał ją na osobności. Potem przez cały tydzień chodziła z podbitym okiem, zranioną wargą i sińcami na udach. Niewiele brakowało, a doszłoby do najgorszego, ale na szczęście Alain z bratem zjawili się w samą porę i odciągnęli od niej krewkiego adoratora.

Alain zagroził, że o wszystkim opowie Lachannowi. Carmag jedynie się roześmiał, kpiąc z naiwności Francuza. Stary Armstrong zupełnie nie dbał o losy córki.

Dla niego liczył się tylko sojusz, a Carmag miał potężne wojska.

Mairi znowu zadrzała. Łagodnie pogładziła po głowie śpiącą Kathryn. Tuliła ją tak, jak kiedyś tuliła dzieci Caitir. Często potrzebowały pocieszenia i wtedy zawsze biegły wprost do *tante Marie*.

Siostra Barta tęskniła za przyjazną duszą, za kimś, kto by ją rozumiał. Powinno się okazać dziewczynce serdeczność i cierpliwość. Mairi uznała, że ma obowiązek zająć się Kathryn. To było teraz dla niej najważniejsze w świecie.

Postanowiła, że na zawsze pozostanie w Norwyck, znana jedynie jako lady Marguerite. Lachann Armstrong już o niej nie usłyszy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Pójdiesz ze mną dziś rano do wsi? - spytała Mairi.
Przy śniadaniu Kathryn była cicha i zamyślona. Może trochę się wstydziła wczorajszych wydarzeń, a może na nowo wpadła w pośepny nastrój.
- Ja pójdę! - wyrwała się pierwsza Eleanor.
 - Cicho, mała - zmitygował ją Henry, odstawiając na stół pusty kubek. - Ciebie nikt nie pyta.
 - Oczywiście, że możesz pójść, Eleanor - powiedziała Mairi. - Damy z zamku powinny od czasu do czasu chadzać do wsi i pytać o zdrowie wieśniaków, dając tym samym dowód troski swego pana.
- Dobrze, pójdę - odezwała się wreszcie Kathryn.
 - Świetnie - ucieszyła się Mairi. - Pomożesz mi zebrać zapasy, które dostarczymy rannym.Godzinę później we trzy zjawiły się na schodach, w asyście kilku krzepkich służących niosących ciężkie kosze. Na dole natknęły się na sir Waltera.
 - Dzień dobry, moje drogie panie - powitał je z niskim ukłonem. - A co my tu dzisiaj mamy?
 - Przede wszystkim jedzenie, sir Walterze! - odpowiedziała Eleanor, tuląc mu się do nóg. - Dla wioski!

Walter poklepał ją po główce i popatrzył na Mairi. Dostrzegła aprobatę w jego oczach i poczuła się niezmiernie dumna. Zaraz jednak zrobiło jej się wstyd, że nie wyjawiała prawdy o sobie, mimo że już ją znała.

- Godne pochwały - powiedział rycerz. Szelmowsko mrugnął okiem i poszedł w swoją stronę.

Orszak Mairi przeszedł przez dziedziniec i minął główną bramę zamku, kierując się do wsi. Mairi wraz z dziewczynkami zaglądała do domów murarzy, zostawiała zapasy i gawędziła. W chacie Alricka Stickle'a zostały nieco dłużej i pomogły uszyć całun dla zmarłego.

Wreszcie dotarły do zagrody Symona Michaelsona. Anne ciągle nie mogła się otrząsnąć z rozpaczki. Symon był w lepszym stanie niż poprzednim razem, kiedy Mairi go widziała, chociaż był przeraźliwie błądy i spocyny. Co jakiś czas cicho jęczał.

Jego dwaj starsi synowie pomagali na placu budowy prznosić kamienie ze zniszczonego muru.

Eleanor po chwili wyszła na podwórko, żeby się pobawić z córkami Symona, Kathryn została w chacie, chcąc pomóc Mairi w opiece nad młodszymi dziećmi. Mairi z uznaniem popatrzyła na krzątającą się dziewczynkę.

- Dzień dobry - rozległo się nagle od progu. To była Alice Hoget. - Jak się miewa mistrz Symon w tak pogodny dzionek?

Podeszła do łóżka i postawiła koszyk na podłodze. Położyła dłoń na czole Symona, a potem pokręciła głową.

- Masz gorączkę. Zaraz coś zrobimy, żeby ją przepędzić.
- Zróbcie wszystko, co uważacie - powiedział cicho.
- Anne, przynieś gorącej wody i kilka czystych szmatek.

Żona Symona przynajmniej na tyle odzyskała rozum, że potrafiła spełnić tak proste polecenia.

- Milady - Alice zwróciła się do Mairi - może zabierzesz dzieci na niewielki spacer po świeżym powietrzu?

Mairi pomyślała, że to dobry pomysł. Włożyła płaszcz, opatulila najmłodszą trójkę i wyszła na dwór.

- Przejdziemy się aż do muru? - zapytała. W ramionach trzymała niemowlę, a obok niej dreptało dwuletnie maleństwo. Starszy chłopiec trafił pod opiekę Kath-ryn. Dotychczas nie wspomniała słowem o swoim wczorajszym wybuchu ani też nie podziękowała Mairi za okazaną pomoc. Jednak była wyraźnie pogodniejsza.
- Lady Marguerite! - krzyknęła Eleanor. - Dokąd idziesz?
- Na spacer w stronę muru - odpowiedziała Mairi. - Chcesz iść z nami?
- Nie! Bawimy się tutaj. Mogę zostać?
- Oczywiście - odparła Mairi, widząc, że kilka matek obserwowało gromadkę na podwórku. - Gdybyś nas szukała, będziemy przy murze.

Nie uszły jednak zbyt daleko, gdy usłyszały za sobą donośny tętent i parskanie koni.

Na czele patrolu jechał Bartholomew. Jego rumak okryty był długim czaprakiem w niebiesko-białych barwach Norwyck. Bartholomew siedział na nim w pełnej zbroi, z mieczem u boku.

Był wysoki i dumny, i tak urodziwy, jak tylko może być prawdziwy rycerz, pomyślała Mairi. Gdy ją zobaczył, w ciemnych oczach zamigotały ogniste błyski. Za-trzymał konia i dał znak swoim ludziom, żeby pojechali dalej.

Zeskoczył z siodła tuż obok Mairi.

- Coś się stało, milordzie? - zapytała z rosnącym niepokojem. On patrzył jej w oczy. Co będzie, jeśli weźmie ją w ramiona i pocałuje w obecności siostry?

Jasno zdawała sobie sprawę, że swoim zachowaniem zachęcała go do takich czynów. Wpuściła go do łóża, przyjęła do serca. I zamierzała nadal kłamać.

Bartholomew potrząsnął głową. Ciągłe patrzył jej prosto w oczy.

- Nie. To tylko zwykły patrol. Dzisiaj wypadła moja kolej, by stanąć na czele oddziału.

Mairi zrobiło się trochę smutno, że nie zobaczy go aż do jutra. Miała nadzieję, że dzisiejszej nocy przyjdzie do jej komnaty. Zawstydzila się własnych myśli. Mocniej przytuliła niemowlę do piersi i odpędziła niewczesne pragnienia.

- Kiedy wracasz? - spytała Kathryn.

- Być może jutro - odparł Bart. - Jeśli będziecie czegoś potrzebować, zwracajcie się do sir Waltera. Przyślę

wam gońca z wiadomością, gdzie jestem i kiedy wracam.

- Będziecie walczyć z Armstrongami?

- Wcale bym się nie obraził, gdyby mi przyszło spotkać się z Lachannem albo Dughlasem - przyznał. - Ale nie. Wątpię, żeby doszło do jakiegoś gwałtownego starcia.

Znów popatrzył na Mairi. Zaczerwieniła się, wyczuwając ukryte znaczenie jego ostatnich słów.

- To dlaczego musisz jechać? - pytała dalej Kathryn.

- Dlatego, żeby Armstrongowie nie poczuli się zbyt pewni siebie, i by przypadkiem nie biwakowali na naszych wzgórzach. Co parę dni wysyłam taki patrol do ochrony wsi i całej okolicy.

Mairi nie wyobrażała sobie, aby jej brat lub ojciec zdecydowali się na otwartą walkę z rycerzami z Norwyck. Wprawdzie przez dziesięć lat przebywała z daleka od domu i nie знаła obecnej sytuacji, lecz dawniej Armstrongowie nie byli zbyt potężni, a ich wojownikom wyraźnie brakowało umiejętności i wyprawy.

Coś się zatem zmieniło przez minione lata. W przeciwnym wypadku Bartholomew nie budowałby muru wokół wioski i nie wysyłałby rycerzy na regularne patrole.

Pewnie chodziło o sojusz z Carmagiem MacEwenem. Wsparcie wojowniczego klanu pozwoliło Armstrongom pomyśleć o najeździe na Norwyck. W czasie ostatniej wizyty we Francji Carmag wspomniał jej

o czymś ważnym. O jakimś obozie? Mairi nie mogła sobie tego przypomnieć.

Z rozpaczą myślała o tym, że Lachann urósł w taką siłę. Był okrutnym, nieczułym ojcem i jeszcze gorszym mężem. Jej matka, zahukana szara myszka o wiecznie pobladłej twarzy, Tearlag, zdobyła się tylko na jeden akt odwagi i odesłała córkę z rodzinnego domu, jak najdalej od Szkocji. Mairi była w tym czasie mniej więcej w wieku Kathryn. Z radością powitała możliwość ucieczki i żywiła nadzieję, że już nigdy w życiu nie spotka się z ojcem. Przez pierwszy rok pobytu we Francji tęskniła tylko za matką.

Uniosła głowę i napotkała wzrok stojącego przed nią rycerza.

- Zaopiekujesz się dziewczynkami pod moją nieobecność - poprosił cicho. Jego oczy mówiły jej o wiecie więcej niż słowa. Ale dobrze, że pewne rzeczy zostały przemilczane.

- Tak, milordzie - odpowiedziała z wyraźnym uczuciem. Dobrze zdawała sobie sprawę, że będzie z bólem i utęsknieniem czekała na jego powrót. - Oczywiście.

Bartholomew nie zwlekał dłużej. Dosiadł Pegaza, trącił go ostrogami i odjechał.

Mairi i Kathryn patrzyły za nim, póki nie zniknął za zakrętem muru. Mairi miała nadzieję, że nikt nie zauważył jej zakłopotania oraz rumieńców wywołanych rozmową z Bartem.

Doszły do muru i zobaczyły synów Symona, którzy

do spółki z innymi chłopcami czyścili głązy ze starej zaprawy i układali je w równe stosy.

- Myślisz, że mur będzie odbudowany? - zapytała Kathryn.
- Na pewno - odparła Mairi. - Nie ma powodu, by go tak zostawić. A poza tym to dobry pomysł. Wieś będzie wtedy dużo lepiej broniona przed najazdami Szkotów.
- To samo mówi Bartholomew - powiedziała Kathryn. - Chociaż i tak przecież trzeba wyprowadzać krowy.

Mairi roześmiała się.

- W tej chwili zachowujesz się jak Eleanor. Ona też przede wszystkim martwiła się o zwierzęta.
- Bo to prawda! - zaperzyła się Kathryn. - Musimy chronić nasze stada, inaczej Norwyck popadnie w nędzę. Będę musiała dbać o takie sprawy, kiedy już znajdę sobie męża.
- Masz rację - powiedziała Mairi i pogładziła ją po policzku. - Twój mąż znajdzie w tobie najlepszą przyjaciółkę. Zawsze mu będziesz służyć pomocą i mądrą radą. A ten, którego Bart ci wybierze, może uważać się za szczęściarza.

Przez chwilę szły w milczeniu.

- Czy tobie też poszuka męża, jeżeli nie przypomnisz sobie, kim jesteś? - zapytała Kathryn.

Mairi potknęła się na równej drodze, lecz zaraz odzyskała równowagę. Do tej pory w ogóle nie myślała

o skutkach swojej decyzji. Wystarczało jej, że będzie z daleka od ojca. Nie wybiegała myślą tak daleko w przyszłość.

Prawdę mówiąc, wołała tego nie robić.

Bart jechał na przedzie, bezskutecznie próbując wyrzucić z pamięci obraz Marguerite z niemowlęciem na ręku. To był doprawdy uroczy widok.

Zeszłej nocy pluł sobie w brodę, że ją zostawił z Kathryn. Owszem, miał swoje powody, ale to w gruncie rzeczy niczego nie zmieniało. Niemal czuł pod rękami jej jedwabistą skórę i kuszące krągłości.

Teraz czekała go druga noc w osamotnieniu. Przyrzekł sobie jednak, że zaraz po powrocie z nawiązką odrobi wszelkie zaległości. Wtedy na pewno nic mu nie przeszkodzi.

- Milordzie? - odezwał się jeden z rycerzy. - To właśnie tutaj mieliśmy się rozdzielić?

Bartholomew potoczył wzrokiem po okolicy. Były tu liczne jary i wąwozy, w których Szkoci mogli się na nich zasadzić.

- Tak - powiedział. - Weź dwudziestu ludzi i jedźcie na zachód. Ja z drugą dwudziestką pociągnę na północ. Gilbercie, ty z pozostałymi udasz się na wybrzeże.
- Tak jest, milordzie.
- Nawet jeśli nikogo nie spotkacie, to chcę wiedzieć o wszystkim: o śladach, ogniskach, i tak dalej. Rycerze skinęli głowami i po chwili oddział podzie-

lił się na trzy grupy. Bart ruszył dalej na północ, pilnie wypatrując choćby najmniejszej oznaki obecności Armstrongów.

Dzień był długi i mijał bez złych przygód. Bart coraz częściej myślał o Marguerite. O dziecku, które trzymała w ramionach, i o pamiętnej nocy - na razie jedynej - którą spędzili razem. Jedynej, a jednak najwspanialszej w życiu.

Zdziwił się, kiedy spotkał we wsi Kathryn i Marguerite. Domyślał się, że zajął do chaty Alricka, by pocieszyć strapioną wdowę, i że odwiedziły rannych. Marguerite postępowała tak jak jego własna matka.

Nie ulegało zatem najmniejszych wątpliwości, że pochodziła ze szlacheckiego rodu. Takie zachowanie było dla niej zupełnie naturalne.

Lecz kim była? Na pewno nie miała męża. Naprawdę urodziła się we Francji? A może była siostrą jakiegoś angielskiego lorda? A może jej rodzina mieszkała właśnie w Szkocji? Póki nie odzyska pamięci, nikt nie potrafi udzielić odpowiedzi na te pytania.

Bart nie zamierzał tym się zbytnio przejmować. Postanowił korzystać z życia, póki jest to możliwe.

- Stać! - zawołał. Zeskoczył z konia, rzucił wodzę jednemu ze swoich podkomendnych i poszedł parę kroków naprzód, uważnie patrząc na ziemię. Znalazł wyraźne ślady końskich kopyt. Jeźdźców było niewielu, najwyżej z pół tuzina. Zobaczył także wypalony krąg po ognisku.

Zastanawiał się, czego tu szukali ludzie Armstronga, bo tylko oni mogli wjechać konno do Norwyck. Powiódł baczny spojrzeniem po wzgórzach. Co prawda, znalazł się dość blisko ziem Armstrongów, ale od niepamiętnych czasów przebiegała tędy umowna granica dzieląca włości. Ślady pobytu grupy zbrojnych nie były niczym innym niż wyzwaniem.

Po co tu przyjechali? Od kilku dni nie zdarzyła się napaść. Chodziło zatem o coś innego. Ale o co?

Bart wskoczył na siodło Pegaza i ruszył w dalszą drogę. Zamierzał starannie sprawdzić, czy z tej strony wieś jest zabezpieczona przed atakiem. Dotychczas nie podejmował zbrojnych akcji przeciwko sąsiadom. Za każdym razem się bronił.

Nie był tchórzem, ale miał dość wojaczki. Widział w życiu zbyt wiele śmierci, nieszczęść i zniszczenia. Nie chciał, by jego ludzie ginęli.

Wolał działać w inny sposób. Budował mur, żeby zniechęcić wroga do ataku, i wysyłał patrole. Miał nadzieję, że to wystarczy, aby zburzyć spokój Lachanna.

Szkot nigdy nie był zupełnie pewny, czy ma swobodne pole do działania.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Służba przez większość dnia sprzątała komnatę, w której miała zamieszkać Kathryn. Mairi i Eleanor pomagały przenieść większość rzeczy. Wieczorem zasiadły do kolacji w towarzystwie Johna, Henry'ego i sir Waltera. Bartholomew nie wrócił.

Kiedy nadeszła pora na spoczynek, Kathryn trochę zwlekła z pójściem do komnaty. Henry zaczął jej dokuczać, że za wcześniej uciekła spod opieki niani, a John niezręcznie skrywał domyślny uśmiezek. Mairi szybko ucieła docinki. Kathryn dźwigała na swoich wątych barkach ciężar odpowiedzialności za cały zamek. Trzeba było jej pomóc.

Mairi karcąco spojrzała na chłopców i powiedziała do Kathryn:

- Może odprowadzimy cię razem z Eleanor?

Kathryn najwyraźniej ucieszyła się z tej propozycji, ale była zbyt dumna, żeby od razu wyrazić zgodę.

- Prosimy! Kate! - zawołała Eleanor. - Chcę cię zobaczyć w twoim nowym łóżku i wypróbować twój siennik!

- Może wam coś opowiem przed zaśnięciem - dodała Mairi.

- Och, tak! - krzyknęła Eleanor. Kathryn z godnością skinęła głową na znak, że i ona się zgadza na pomysł Mairi.

Najpierw we trzy poszły do dziecięcej komnaty, żeby Eleanor mogła się przebrać w nocną koszulę. Potem Mairi owinęła ją starannie kocem, aby nie zmarzła w zimnych korytarzach, i powędrowały do pokoju Kathryn. Po drodze Mairi zastanawiała się, gdzie też może być sypialnia Barta. Na pewno gdzieś w pobliżu.

Ogień w kominku w komnacie Kathryn zaczął przygasać, więc Mairi przerzuciła pogrzbaczem polana. Dziewczynki zdążyły umościć się w łóżku. Mairi uśmiechnęła się, okryła je kołdrą i usiadła.

- Oto opowieść, którą... - zaczęła i urwała, uświadomiła sobie bowiem nagle, że nie może nikomu zdradzić, że usłyszała ją od swojej matki. Rozpoczęła więc od nowa. - Dawno temu w Morzu Północnym żyła sobie wielka szara foka. - Dziewczynki ułożyły się wygodniej. Mairi opowiedziała im tę samą baśń, którą dziesiątki razy wysłuchały dzieci Caitir. - ...i tak samotny rybak z wyspy May znalazł prawdziwą miłość, chociaż była to tylko Selky z morskiej głębiny.

Zanim skończyła mówić, Eleanor już głęboko spała. Kathryn co chwila przymykała oczy, ale jeszcze broniła się przed zaśnięciem.

- Eleanor śpi - zauważyła.

- Rzeczywiście - powiedziała Mairi. - Nie pogniwasz się, jak tu zostanie?

Kathryn pokręciła głową.
- Niemal zawsze sypiałyśmy razem.
- Jeżeli wolisz, żebym...
Dziewczynka ziewnęła.
- Nie, wszystko w porządku. Ale tylko na dzisiejszą noc.

Mairi uśmiechnęła się, pogładziła ją po policzku i wstała.

- W takim razie dobranoc.
- Dobranoc - odpowiedziała Kathryn. Odwróciła się na bok i naciągnęła kołdrę na ramię.

Mairi wyszła z komnaty. Tuż za drzwiami natknęła się na czekającego na nią sir Waltera.

- Właśnie cię szukałem, milady - rzekł.
- Tak? - spytała ze ściśniętym sercem. Była przekonana, że odkrył jej kłamstwo i ma zamiar powiedzieć Bartowi, że pod jego dachem mieszka ktoś z Armstron-gów - wróg.

Walter wziął ją pod rękę i zaprowadził do słonecznej komnaty na końcu krużganka. Weszli do środka. Stary rycerz wyjął z kominka płonącą drzazgę i zapalił nią świecę w lichtarzu stojącym na stole.

- Lord Norwyck prosił ci przekazać, pani, że dziś wieczór nie wróci do zamku - oznajmił. - Domagał się, żeby ci o tym powiedzieć.

Mairi spłonęła rumieńcem, zdając sobie sprawę z ukrytego znaczenia słów posłańca, chociaż miała świadomość, że jej tajemnica jest jeszcze bezpieczna.

- Dziękuję, sir Walterze - bąknęła. - Niepokoiła-bym się, gdybym nie wiedziała.
- Właśnie - z roztargnieniem przytaknął sir Walter. Podszedł do kominka i przez długą chwilę wpatrywał się w ogień. Wreszcie odwrócił się w stronę Mairi.
- Milady - zaczął. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. - Ta baśń, którą opowiadałaś dziewczynom przed zaśnięciem, o focie z wyspy May. To jedna ze szkockich legend, prawda?

Zaskoczona Mairi nie wiedziała, co powiedzieć.

- Spokojnie, pani - rzekł sir Walter, widząc, że Mairi jest zakłopotana. - Pamiętaj, że nic do ciebie nie mam. Wolałbym jednak, żebyś była ze mną szczerą i niczego nie ukrywała.

Mairi zmęczonym ruchem opadła na krzesło. Głęboko zaczerpnęła tchu i powiedziała bardzo powoli:

- Odzyskałam pamięć, sir Walterze. Wiem już, kim jestem i skąd przybyłam.

- I?

- Z Francji - odparła. - Przez dziesięć minionych lat mieszkałam u kuzynki we Francji. Wracałam do do-mu na swój własny ślub, kiedy nasz statek trafił na sztorm. Wszyscy zginęli. Nawet Alain - dodała łamiącym się głosem. - Mąż kuzynki.

Sir Walter ze smutkiem pokręcił głową.

- Straszna historia. Nic dziwnego, że jesteś zdenerwowana. Dlaczego nam nie powiedziałaś?

Mairi zawahała się.

- Przypomniałam to sobie dopiero wczoraj rano. Wszystko: sztorm, statek.
- Kim zatem jesteś?
Popatrzyła na niego, zastanawiając się, co zrobi, gdy pozna całą prawdę? Oskarży ją przed Bartem?
A może jednak zrozumie jej niechęć do Carmaga i rodzinnego domu i pozwoli jej zostać?
- Jestem Mairi Armstrong - powiedziała. - Córka Lachanna, siostra Dughlasy i narzeczona Carmaga MacEwena.
Sir Walter aż zaniemówił ze zdumienia. Poczzerwieniał na twarzy i popatrzył na nią nie całkiem przytomnym wzrokiem.
- Armstrong - powtórzył bezbarwnym głosem. - MacEwena! - zawołał nieco głośniejszym głosem. - Tego prosta-ka?! Masz go poślubić?
- Tak - cicho odparła Mairi. - Ojciec uważa, że to przypieczeruje pakt z MacEwenami. Oddał mnie w zamian za... za...
- Ten człek kła własne gniazdo! - wykrzyknął Walter. - Nic zatem dziwnego, że nagle Armstrongowie nabrali odwagi. Z takim sojusznikiem jak MacEwen nie zbywa im na uzbrojeniu ani na żołnierzach.
- Mairi nic nie odpowiedziała, bo nie znała się na prowadzeniu wojny. Wiedziała tylko, że musi coś zrobić, aby przekonać sir Waltera, żeby dochował tajemnicy.
- Naprawdę miałaś wyjść za MacEwena? - zapytał rycerz.

Skinęła głową i otarła łzy z kącików oczu.

- Nie dziwne zatem, że nie chciałaś nam o tym mówić. Nie mogę cię za to winić. Co teraz zrobisz?
 - Nic - odparła, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. - Chciałabym pozostać tutaj, w Norwyck, jako nikomu nieznaną lady Marguerite.
 - A co z lordem Norwyck? - spytał Walter. - Powiesz mu?
- Mairi pokręciła głową.
- Nigdy nie może się dowiedzieć. Nienawidzi wszystkich Armstrongów. Nawet teraz nie potrafi mi zaufać, a gdyby przypadkiem usłyszał, kim naprawdę jestem... Pomyślałby, że zwiódłam go specjalnie, że planowałam coś okropnego.

Walter mruknął coś gniewnie pod nosem i energicznie potarł podbródek. Zamyślony przeszedł na drugą stronę pokoju. Mairi obserwowała go w napięciu. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej los spoczął w jego rękach. Od decyzji rycerza zależała jej przyszłość. Całe dalsze życie.

- Nigdy nie poślubię Carmaga MacEwena - oznajmiła półgłosem, ale z niezwykłą siłą. - Prędzej umrę, niżli zostanę jego żoną.

Walter pokiwał głową.

- Stawiasz mnie w bardzo trudnej sytuacji - odparł.
 - Przepraszam. Nie powinnam była ci nic mówić, panie.
- Obruszył się i przez chwilę stał bez słowa, zatopiony w głębokiej zadumie. Wreszcie podszedł do kominka.

- Wiele zrobiłaś, odkąd jesteś na naszym zamku - powiedział, stając tyłem do ognia. - Wzięłaś w ryzy panienkę Eleanor, udało ci się pocieszyć Kathryn. John dzięki tobie zyskał na pewności siebie - a bywały chwile, zanim się zjawiałaś, że chłopak nie wiedział, co ze sobą począć. A Bartholomew? - spytał. - Rozpacz w jego oczach została zastąpiona czymś zupełnie nowym.

Mairi z zapartym tchem słuchała słów rycerza.

- Tak, tak - zapewnił ją Walter. - Zauważyłem w nich cień nadziei.
- Kiedy się dowie, kim naprawdę jestem, to już na pewno na mnie nie spojrzy. Jak nic odda mnie MacEwe-nowi - powiedziała smętnie, wstała z krzesła i odeszła kilka kroków na bok, nerwowo zaciskając dłonie.
- Nie byłbym tego taki pewien, panienko - cicho odparł siwowłosa rycerz.
- Ale ja jestem pewna, sir Walterze! - zawołała. - Wyrzuci mnie. I będzie miał do tego pełne prawo.
- Ale...
- Jestem taką samą oszustką i kłamczucha jak Felicia!
- Między wami jest cała przepaść - powiedział Walter. - Nie wolno ci robić takiego porównania. Zabra-niam.

Mairi z rezygnacją zwiesiła głowę.

- Nie zdołasz przekonać ojca, żeby odwołał zaręczyny?
- Nie - odparła. - Już próbowałam. - Albo MacEwen, albo śmierć. Jeśli nie z ręki ojca, to z mojej.

Sir Walter westchnął z głębi piersi.

- Dochowam twojej tajemnicy, Mairi Armstrong. Zrobię tak w podzięce za wszystko, co dla nas uczyniłaś i jeszcze uczynisz. Zresztą, gdybym cię teraz wydał, nie przyniosłoby to nic dobrego. Ale uważaj. Dla szczęścia tej rodziny jestem naprawdę zdolny do najgorszych rzeczy. Jeżeli tak się zdarzy, że...
- Sir Walterze - wpadła mu w słowo Mairi. Ledwo powstrzymywała łzy wzruszenia. - Przecież wiesz, że mam na względzie dobro Holtonów. Wierzysz mi?
- Tak - odparł zdecydowanym tonem. - Twoje oczy zdradzają, co czujesz do Barta.

Mairi z zakłopotaniem pospiesznie odwróciła wzrok.

- Wyjechałabym nawet jutro, gdybym przypuszczała, że swoją obecnością ściągnę na Norwyck coś złego.
- Wiem, dziecino - powiedział sir Walter i objął ją serdecznie. - Wiem.
- Nie chcę, żeby mój ojciec kiedyś się dowiedział.-Coś zachrobotało i Mairi przerażona zaczęła nad słuchiwać.
- Myszy - mruknął Walter. - Trzeba będzie wziąć ze dwa koty ze stajni, żeby zrobiły z nimi porządek.

Mairi zamknęła oczy, niepewna, czy to naprawdę myszy. A może któraś z dziewczynek?

Sir Walter położył jej rękę na głowie, jakby była małym dzieckiem.

- Jesteś zmęczona, panienko. Idź do łóżka. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Ranek był zimny, wietrzny i ponury. Mairi została z dziewczynkami w zamku. Pośpiewały trochę, pograły w łapki i haftowały cienki obrus do kaplicy. Mairi nie wiedziała, gdzie dokładnie podziewają się chłopcy, z wyjątkiem tego, że na pewno nie wyszli poza mury. Prawdopodobnie uwijali się na placu ćwiczeń, jak to ostatnio mieli w zwyczaju.

Kathryn była wyraźnie nie w humorze. Nie chciała uczyć się gry na gitarze. Mairi nie spodziewała się, że dziewczynka w ciągu jednej nocy odzyska całą radość życia, lecz zmartwiła się, że znów się w sobie zamknęła.

Eleanor jak zwykle nie umiała usiedzieć na miejscu. Z trudem wytrzymała do końca haftowania.

Mairi zastanawiała się, co porabia Bartholomew. Bała się, że może doszło do potyczki. A może został ranny? Już dawno powinien wrócić.

Niestety, nikt nie przyszedł do niej ze słowem pocieszenia. Czas płynął nieubłaganie wolno. Jediną odmianą był obiad podany w południe. Wreszcie Henry i John przyszli z sir Walterem na wieczerzę i rozwiali obawy Mairi.

- Znaleźli ślady ognisk na wzgórzach - powiedział Henry.
- A także na północy - dodał John. - Prawie nad samym morzem.
- Lecz nie natknęli się na Armstrongów - uzupełnił sir Walter, przechwyciwszy spojrzenie Mairi.

- Ślady ognisk? - powtórzyła Kate. - Tak blisko? - Oczy pociemniały jej ze zgrozy.
 - To... - zaczął Henry, ale John nie pozwolił mu dokończyć.
 - Nie, Kate - powiedział szybko. - To wcale nie jest tak blisko. Nic nam nie grozi. Wieś też jest bezpieczna.
 - Dlaczego się tam kręcili?
 - Tego nie wiemy - odparł Henry.
 - Tylko tyle usłyszeliśmy od jednego ze zbrojnych Barta. Przybył ubiegłej nocy.
 - Dlaczego Bartie jeszcze nie wraca? - spytała Eleanor. Zaciskała usta w charakterystyczny dla siebie spo-sób, jak zawsze, kiedy nie chciała się rozpłakać. Mairi ją rozumiała. Sama też zachodziła w głowę, gdzie jest Bartholomew i kiedy wróci. - Zeszłej nocy było strasznie zimno.
 - Było - ze złośliwym uśmiechem przytaknął Henry.
 - Z czego się cieszysz? - ofuknęła go Kate.
 - Bo mężczyźni to lubią - odparł i zajął się wieczerzą. - Cały dzień w siodle, pogoń za wrogiem, nocleg pod gołym niebem. Mam rację, sir Walterze?
- Stary rycerz powściągnął uśmiech.
- Prawie, Henry. Prawie.
 - Kiedy wyjedziesz na nauki? - spytała Kathryn.
 - Nie wiem, ale myślę, że już niedługo. Bart wysłał listy do wszystkich lordów w całym Northumberland.
 - Nie bój się, Kate - ze śmiechem wtrącił John. - Niedługo się go pozbędziemy.

Henry z udawaną złością rzucił w niego kawałkiem chleba. Reszta kolacji upłynęła w wesołym nastroju. Wszyscy śmieli się i dowcipkowali.

Kiedy przysłała pora nocnego spoczynku, pierwsi zniknęli obaj chłopcy i sir Walter. Niania Ada przysła do słonecznej komnaty, żeby zabrać do łóżka Eleanor.

- Nie! - zaprotestowała mała. - Chcę zostać z Kate!
Pójdę do niej! Proszę!

- Eleanor...

- Wszystko w porządku, nianiu - powiedziała Kathryn z głębokim westchnieniem. - Niech jeszcze dzisiaj śpi u mnie. Ale na tym koniec, Eleanor. Od jutra wracasz do siebie.

Eleanor klasnęła z radości.

- Opowiesz nam dzisiaj jeszcze jedną bajkę, lady Marguerite?

Mairi skinęła głową.

- Opowiem - odparła, a w duchu dodała: ale już nie szkocką. Na użytek dziewczynek musiała wymyślić coś innego.

- Czy aby to ci na pewno odpowiada, pani? - zaniepokoiła się Ada.

- Dam sobie radę, nianiu. Dziękuję - z uśmiechem odpowiedziała Mairi. Ada wyszła. Mairi popatrzyła na dziewczynki. - Skończmy zatem naszą robótkę i hop do łóżka!

Wkrótce potem okryła je kołdrą. Ogień w kominku

trzaskał wysokim płomieniem. Mairi usiadła na skraju łóżka.

- A słyszałyście kiedyś legendę o Pegazie? - zapytała.

- O koniu Barta? - zaciekała się Eleanor.

- Nie. O pierwszym Pegazie - wyjaśniła Mairi. - O potężnym rumaku ze skrzydłami.

Dziewczynki pokręciły głowami. Mairi zaczęła im opowiadać starą grecką legendę, znaną na świecie od stuleci. Mówiła o Pegazie i o jego jeźdźcu, bohaterskim Bellerofonie, lecz przed oczami miała barczystą postać w lśniącej kolczudze. To był Bartholomew, pomykający na swoim koniu między pagórkami Norwyck. Kiedy wróci?

Eleanor i Kate już spały. Mairi po cichu przeszła do słonecznej komnaty. Nie było tutaj nikogo - ani obu braci, ani sir Waltera. Szkoda, że wczoraj nie wpadła na pomysł, żeby opowiedzieć jeden z greckich mitów! Sir Walter nie musiałby dochowywać jej sekretu.

Wciąż była niespokojna. Wiedziała, że nie zaśnie, więc próbowała zająć się robótką, ale po chwili odłożyła igłę i zaczęła krążyć po pokoju. Czekwała na powrót Barta. Martwiła się, że Armstrongowie obozowali tak blisko Norwyck. Usiłowała sobie przypomnieć, co Carmag mówił jej o swoich planach najazdu na angielskie ziemie.

Kilka miesięcy temu, kiedy był we Francji, chwalił się, że zamierza „trochę przytrzeć nosa” angielskim wielmożom. Wspomnił też o bogactwie, jakie on i La-

chann spodziewali się zdobyć, rabując bydło. Mairi modliła się, żeby Bartholomew przypadkiem nie natknął się na żołdaków Carmaga. Chciała, żeby zdrow i cały jak najprędzej powrócił do Norwyck.

Ze zdumieniem stwierdziła, że już nie potrafi żyć bez niego. Jego rodzeństwo i krewnych traktowała jak swoją najbliższą rodzinę. A mimo to musiała kłamać, żeby nie dopuścić do nieszczęścia.

Zaczęło padać. Mairi słyszała, jak deszcz bębni w szyby. W taką pogodę Bartholomew i jego ludzie powinni poszukać schronienia. Może sami rozbili obóz gdzieś na wzgórzach? W takim razie na pewno nie wrócą aż do rana. Czeka mnie długa noc, pomyślała Mairi.

Przestała chodzić i usiadła z gitarą w ręku. Zagrała kilka rzewnych taktów, z nadzieją, że muzyka trochę ją uspokoi. Odgrodziła się od szumu deszczu i myśli o ukochanym.

Wybrała pieśń, która wymagała od niej wielkiego skupienia - skomplikowany utwór, zasłyszany niegdyś od pewnego francuskiego minstrela. Pochyliła się nad gitarą i położyła palce na strunach. Grała, a kiedy się pomyliła, wracała do początku. Tym razem zdarzało jej się to bardzo często.

Nie potrafiła zapomnieć o Barcie. Wreszcie odłożyła gitarę, wstała - i w tej samej chwili ktoś otworzył drzwi do komnaty.

Bartholomew!

Mairi westchnęła głucho, kiedy wszedł do środka

i nogą zamknął za sobą drzwi. Rozpiął pas i zrzucił ciężką opończę. Koszulę miał przemoczoną i brudną, mokre włosy i ślady błota na twarzy. Wyglądał groźnie. Mairi odruchowo cofnęła się o pół kroku.

Oczy mu płonęły. Podeszedł bliżej i ujął ją pod brodę.

- Myślałem tylko o tobie - rzekł niemal oskarżycielskim tonem. - Twoją twarz wciąż miałem przed oczami, nawet gdy szukałem wroga. Czułem ciężar twoich piersi w swoich dłoniach.

Pochylił się, by ją pocałować.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Musnął ustami jej wargi - i ledwie się powstrzymał, żeby jej całej nie zgnieść w niedźwiedzim uścisku. Chciał, żeby sama do niego przyszła. Dlatego zwolnił i tylko lekko pogładził ją po twarzy.

Czekał na znak, że nie tylko jego spala pożądanie.

Mairi wstrzymała oddech i otworzyła oczy. Zarzuciła Bartowi ręce na szyję i obsypała go pocałunkami. Przytuliła się do niego całym ciałem, nie bacząc na to, że był brudny i przemoczony.

Bart nie zastanawiał się ani chwili dłużej i przygarnął ją do swojej piersi.

Mairi lekko opuściła ręce i nie przestając go całować, rozwiązała tasiemki u jego koszuli i dotknęła nagiego ciała.

Jęknął cicho. Wiedział, że nie wytrzyma dłużej, że musi ją osiąść tu i teraz. Porwał ją w ramiona i zaniósł na miękką ławę koło kominka, na której wciąż leżała zapomniana gitara. Odłożył instrument na podłogę, zrzucił koszulę i rajtuzy i przykrył dziewczynę swoim ciałem.

Drżała, lecz nie protestowała, kiedy podwinął jej

spódnicę. Dopiero wtedy się zawahał, ale Mairi objęła go za szyję i przyciągnęła.

Żadne z nich do tej pory nie powiedziało ani słowa. Bart, wciąż wpatrując się Mairi w oczy, wszedł w nią jednym płynnym ruchem. Dopiero teraz przymknął powieki, ogarnięty falą uniesienia.

Poruszył się, a Mairi już po chwili dopasowała się do jego rytmu. Od tej pory stanowili jedno ciało, drżące w namiętnej ekstazie.

Wreszcie, po ostatnim miłosnym spazmie, zmęczony rycerz przytulił kochankę do siebie i tak trwali, dopóki ich serca na nowo nie zaczęły bić wolniejszym, jednostajnym rytmem i póki oddechy się nie wyrównały. Bart myślał o tym, że jeszcze nigdy nie czuł tak pełnego zespolenia z kobietą. Nawet ze swoją żoną.

To były niebezpieczne myśli.

Dziwił się, że nie potrafił zapanować nad sobą. Przecież mógł ją najpierw zaprowadzić do łóżnicy. Ale wystarczyło jedno jej spojrzenie, żeby zupełnie się zatracił.

Uniósł się na rękach i popatrzył jej prosto w oczy. Widział w nich jeszcze mgielkę niedawnej rozkoszy. Nie wątpił, że i ona czuje to samo.

Dziwne, pomyślał. Zupełnie przypadkowo trafiła do mojej rodziny, a tymczasem o wiele czulej zajmowała się rodzeństwem Barta, niż kiedykolwiek robiła to Felicia. Ba, rodzeństwem! Wystarczy wspomnieć troskę, z jaką traktowała chłopów i murarzy.

Wstał. Mairi natychmiast usiadła i poprawiła pognie-

cioną suknię. Siedziała z lekko pochyloną głową, jakby poczuła się zażenowana. Bart nie mógł jej na to pozwolić. Ubrał się, wziął ją za rękę, nakłonił, żeby także wstała i pocałował. Potem pociągnął w stronę korytarza.

- Chodź ze mną - powiedział półgłosem.

Bez słowa posłusznie za nim podążyła. Przeszli przez krużganek w kierunku jego sypialni.

Zanim znaleźli się na korytarzu, Mairi zaczerwieniła się jak piwonia. Dopiero teraz zauważyła, że drzwi były otwarte. Każdy, kto tędy przechodził, mógł ich zauważyć.

Nie wierzyła w to, co się stało. Niemal rzuciłam mu się na szyję, kiedy tylko stanął w progu, pomyślała. On jednak zdawał się w tym nie widzieć niczego złego, przeciwnie zareagował z niezwykłą namiętnością.

Zakłopotana Mairi bez protestu pozwoliła się wyprowadzić na krużganek. Bartholomew poprowadził ją obok pokoju Kathryn i dziecięcej komnaty. Mairi zachowywała się spokojnie, jak przystało na jego konkubinę. Przecież zamierzała na stałe pozostać w Norwyck, ukrywając się przed Lachannem Armstrongiem. Nie wiedziała jeszcze, jak to robi, ale dopasowała się do wymogów chwili.

Weszli w kolejne drzwi. Mairi spostrzegła, że są w komnacie Barta. Pod ścianą, na podwyższeniu, stało ogromne łóżko z baldachimem okryte czerwoną narzutą.

W kominku płonął ogień, a na stole stały zapalone świece. Przed kominkiem ktoś ustawił ogromną balię, pełną gorącej wody.

Bartholomew odwrócił się do Mairi i musnął jej usta.

- Pomożesz mi? - zapytał.

Mairi wiedziała, że mówi o kąpieli, ale nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa, więc tylko w milczeniu skinęła głową.

Rozebrał się do naga. Mairi wprawdzie widziała go już wcześniej bez ubrania, ale znowu dech jej zaparło na ten widok.

Był wspaniale męski. Instynktownie przycisnęła rękę do piersi. Obserwowała go, kiedy powoli wszedł do balii i zanurzył się w nagrzaną wodzie.

Balia była wystarczająco duża, żeby pomieścić go całego. Mairi delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu i stanęła za jego plecami. Namydliła czysty kawałek płótna i zaczęła mu szorować kark i tułów.

Bart z głośnym westchnieniem zadowolenia pochylił się do przodu. Mairi odgarnęła mu z karku długie czarne włosy. Powoli przesunęła dłonią po masywnych mięśniach jego ramion. Nie mogła powstrzymać się od podziwu.

Myła go bez odrobiny wstydu lub zażenowania. Wreszcie ujęła go za ręce i pomogła mu dźwignąć się z wody. Bartholomew wstał, żeby się opłukać. Wyszedł z balii zupełnie mokry, nie bacząc na kałuże wody na podłodze, i wziął Mairi w ramiona.

Pocałował ją tak namiętnie, jakby nie widział jej od wieków, jakby już zapomniał, że kilkanaście minut temu kochali się na ławie w słonecznej komnacie. Mairi chwyciła go za szyję.

- Nie - szepnął. - Tym razem trochę wolniej.

Wziął ją za rękę i podprowadził do wielkiego łóża. Odrzucił na bok koce.

- Pozwól - powiedział.

Powoli przesunął rękami wzdłuż jej ciała. Jego dłonie zamaryły tuż nad jej piersiami. Westchnął cicho i zaczął rozwiązywać tasemki stanika. A potem przycisnął usta do nagiego ramienia.

Mairi zamknęła oczy. Dreszcz rozkoszy przeszył jej całe ciało. Suknia i halka opadły na podłogę i została jedynie w cieniutkiej koszuli.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał Bartholomew.

Te właśnie słowa, bardziej niż pocałunki, obudziły w niej pożądanie. Zrzuciła cienką koszulę i stanęła przed nim naga. Bartholomew delikatnie ułożył ją na łóżku.

- Chciałbym cię widzieć przy dziennym świetle - powiedział.

- Ale...

- Między nami nie będzie żadnych tajemnic - odparł. Połechtął ją nosem po szyi. - Myślałem, że ten dzień nigdy się nie skończy - szepnął i spojrzął jej prosto w oczy. Mairi myślała dokładnie to samo, ale nie odpowiedziała, ogarnięta wzruszeniem. Tymczasem Bart znowu zaczął ją uwodzić.

A robił to tak zręcznie i z takim wyczuciem, że w pewnym momencie prawie zapomniała, iż jest tylko jego kochanką, nałożnicą, której w każdej chwili będzie mógł się pozbyć.

Było ciemno, kiedy Bart otworzył oczy. Obudził go szelest. Ogień w kominku przygasł, ale w półmroku widać było sylwetkę Marguerite. Ubierała się.

- Co robisz? - spytał.

- Muszę wrócić do swojej komnaty, milordzie - odpowiedziała, nie przestając zawiązywać tasemek stani-ka sukni.

- Dlaczego?

To ją zdziwiło i na chwilę zamarała w bezruchu.

- Nie chciałabym, żeby twoje siostry mnie tu zastały, panie.

- Moje siostry nie mają wstępu do mojej sypialni - powiedział i zaraz uświadomił sobie, że to nieprawda. Eleanor nie tylko tutaj buszowała, ale nawet zabrała ro-dowe klejnoty.

- W takim razie służba - ciągnęła Marguerite. - Rose zacznie mnie szukać, gdy zobaczy nietknięte łóż-ko. - Poprawiła włosy i wsunęła nogi w cizemki.

- To nie jej sprawa - zaproponował Bartholomew - ani nikogo innego. - Usiadł i spuścił nogi z łóżka. Za-rzucił na ramiona ciężki szlafrok.

- Muszę iść - upierała się Mairi. - To niebawem. To znaczy, nie powinnam... - Zacerwieniła się i próbo-

wała wymyślić inny pretekst, który pozwoliłby jej wrócić do własnej komnaty. Nie chciała, żeby ktoś ją zastał nagą w łożu kasztelana.

Bart przypomniał sobie, co o niej mówił sir Walter, i zrobiło mu się trochę głupio. Chyba naprawdę była szlachcianką z dobrego domu we Francji. A on najwyraźniej w świecie zrobił z niej nałożnicę.

- Chodź - powiedział, żeby dłużej o tym nie myśleć. Wziął lichtarz, ujął ją pod ramię i poprowadził zimnym korytarzem.

Szybko weszli po schodach na wieżę. Kiedy znaleźli się w komnacie, Bart pospiesznie rozpałił ogień. Mairi patrzyła nań ze zdumieniem, nic z tego nie rozumiejąc.

- Rozbieraj się - powiedział - i wskakuj do łóżka. Zaraz przyjdę cię ogrzać.
- Nie, milordzie!
- Ależ tak, milady - odpowiedział i roześmiał się z jej zakłopotania. - Skoro nie chciałaś spędzić nocy w moim łożu, to ja ją spędzę w twoim.
- Ale...
- Wyjdę na długo przed przyjściem służby - obiecał, podsycając ogień. Nie przyznał się, że z niechęcią myślał o tym, iż miałby zostać sam aż do rana. Wolał, gdy była blisko, i nie chodziło tylko o fizyczną bliskość i zmysłową miłość. Potrzebował Marguerite.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Minęło kilka tygodni. Zarówno w zamku, jak i we wsi zapanował niczym niezmacony spokój. Murarze na nowo podjęli pracę pod wodzą Edwina Gayte'a, a ranni w wypadku wrócili już do swoich zajęć, z wyjątkiem Symona, który wciąż leczył nogę, i jeszcze jednego robotnika ze złamaną ręką.

Rycerze z Norwyck patrolowali wzgórze, ale po ostatniej ulewie nie znaleźli śladów obecności Szkotów. Widzieli za to odciski stóp samotnego piechura, który wędrował z zamku w stronę twierdzy Braemar. Nikt nie rozumiał, dlaczego ktoś chciałby odwiedzać Armstrongów. Bart z roztargnieniem wysłuchał raportu i zaraz o nim zapomniał.

Stał się mniej energiczny, jakby znajomość z Marguerite pozbawiła go dawnego wigoru. Aby temu zapobiec, ćwiczył bez wytchnienia - sam i ze zbrojnymi. Każdego ranka przez kilka godzin brał udział w treningu. Co noc wysyłał na zwiady nowy patrol. Wzgórze wokół zamku były tak strzeżone, by wróg nawet nie pomyślał o ataku.

Skrzypnęły drzwi. Bart uniósł głowę znad pergaminu.
- Co za niespodzianka! - rzekł sir Walter. - Pan kasztelan nareszcie usiadł.

Bart puścił tę uwagę mimo uszu. Wskazał na list, który przed chwilą czytał.

- To z Bitterlee.
- Dotyczy Henry'ego?

Skinął głową.

- Tak. Lord Bitterlee przyjmie go na giermka.

Walter założył ręce do tyłu i powoli przeszedł na drugą stronę komnaty.

- A zatem chłopak nas opuści - powiedział z namysłem. - Co z Johnem?
- Zostaje. Będzie służył u mnie.

Walter pokręcił głową, jakby w tej kwestii nie całkiem zgadzał się ze swoim panem, ale nie chciał tego powiedzieć na głos.

- Pozostaje nam tylko ustalić datę wyjazdu Henry'ego - oznajmił Bart.
- Zechcesz go odwiedzić, panie?
Earl Norwyck przeczesał palcami włosy.
- Chyba powinienem, chociaż...
- Od tygodni panuje spokój - powiedział Walter. - Mamy już prawie zimę. Armstrong na pewno siedzi przy ciepłym piecu i ani w głowie mu wojaczka. Nie ruszy się aż do wiosny.

Bart pokręcił głową.

- Nie wierzę w to ani trochę. Zaatakuje nas od razu,

gdy tylko przestaniemy być ostrożni. Ani na chwilę nie wolno nam tracić czujności.

- Mówisz, że mamy czekać? - zapytał Walter. - A może lepiej przejść do ataku?
- Nie - padła zdecydowana odpowiedź. - Nie zamierzam tracić więcej ludzi niż to konieczne. Gdy zbudujemy mur, wieś będzie w miarę bezpieczna. Zamek też. Po co mamy mnożyć zabitych?
- Rozumiem - mruknął Walter. - Chociaż... jeśli będziemy siedzieć z założonymi rękami, to nigdy nie dopadniemy Lachanna i Dughlasy.
- To już postanowione, Walterze - powiedział Bartholomew. - Do wiosny nic się nie zmieni. Może potem będę miał inne plany. Teraz nie zacznę wojny ze Szkotami.
- A co z Henrym? - spytał siwowłosy rycerz. - Też będziesz czekał do wiosny, żeby go wysłać do Bitterlee?
- Być może - przyznał Bart. - Chociaż chłopak szalenie się niecierpliwi.
- Wszystkim nam ciężko się z nim rozstać, ale earl Bitterlee to porządny człowiek i na pewno nie skrzywdzi Henry'ego. Chyba niedawno się ożenił, prawda?
- Prawda.
- Ty też powinieneś wziąć to pod rozwagę, panie. Gwałtownie uniósł głowę.
- Nie. O tym nie ma mowy.
- Lady Marguerite świetnie nadaje się na żonę - nie ustępował Walter.

- Moja decyzja nie ma z nią nic wspólnego - burknął Bart.
- Wolisz zatem traktować ją jak dziewczkę? - kąśliwie zapytał Walter.

Earl Norwyck zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

- Mamy na zamku nową ladacznice? - drwił dalej stary rycerz.

Bart mocno zacisnął zęby. Na jego czole wystąpiły grube żyły.

- Nigdy więcej, starcze... - zaczął zduszonym głosem. - Nigdy więcej nie mów w ten sposób o lady Marguerite. - Przemawiał cicho, ale groźnie. Stanął nad sir Walterem, jakby miał zamiar jednym pociągnięciem ręki zetrzeć go z powierzchni ziemi. Jednak po chwili przeważył szacunek dla starego wasala i powiernika.

Walter nie cofnął się ani odrobinę.

- A co o tym myśleć, milordzie? - spytał. - Służba, a nawet twoi bracia zdążyli zauważyć, że sypiasz gdzie indziej.
- To nie wasza sprawa! - huknął Bart.
- Jak sobie życzysz, milordzie - odparł Walter i skierował się w stronę drzwi. - Wybacz mi, że wspomniałem o czymś, co już dawno powinienesz wiedzieć.

Wyszedł. Bartholomew przez dłuższą chwilę stał jak skamieniały. Potem odwrócił się i ze złością kopnął krzesło. Nikt nie miał najmniejszego prawa krytykować jego postępowania z Marguerite. Nikt!

Wziął do ręki list od pana na Bitterlee, popatrzył nań nie widzącym wzrokiem i rzucił z powrotem na biurko.

Nie zamierzał się znowu żenić. Nie dbał o to, co myśleli o tym Walter i reszta mieszkańców zamku. Już na początku postanowił, że bez względu na okoliczności Marguerite nigdy nie będzie jego żoną.

Mairi z rozpaczą w oczach obróciła się na pięcie i uciekła w głąb korytarza. Właśnie uniosła rękę, by zapukać, kiedy usłyszała głosy dochodzące z gabinetu Barta. Nie miała najmniejszego zamiaru podsłuchiwać rozmowy Barta z sir Walterem. Do jej uszu dobiegły tylko dwa, trzy zdania - ale to wystarczyło.

Była nową ladacznicą w Norwyck.

Serce podeszło jej do gardła. Zarzuciła szal na ramiona i wybiegła z zamku. Nawet nie patrzyła, dokąd idzie. Nie czuła chłodu, chociaż na dworze było przeraźliwie zimno. Jak otępiała przeszła przez pusty ogród, aż dotarła do starej altany, w której Bartholomew omal jej nie uwiódł już za pierwszym razem.

Przez chwilę szamotała się ze skoblem. W końcu odsunęła go, pchnęła drzwi na oścież i z płaczem wbiegła do środka.

Głupia jesteś! - pomyślała ze złością. Sir Walter miał w gruncie rzeczy rację. Przecież sama zaakceptowała taki stan i wszyscy w Norwyck o tym wiedzieli. Mimo to nie mogła się uspokoić.

Nie pamiętała już, dlaczego chciała się widzieć

z Bartem. Z rozpaczą szukała wyjścia z sytuacji - i nie widziała przed sobą żadnego.

Gdyby wróciła do twierdzy Braemar, wkrótce musiałaby poślubić Carmaga MacEwena. Gdyby wyznała, że jest córką Armstronga, Bart mógłby ją zatrzymać jako zakładniczkę i wymienić na przykład na Dughlasa. Na pewno w głębi serca chciał zemsty za krzywdy, które uczynili Norwyck.

Ale to oznaczało wojnę. Krwawą wojnę, o wiele gorszą niż dotychczasowe potyczki na granicy. Jeśli Lachann Armstrong połączy swoje siły z Carmagiem MacEwenem, to zginie wielu ludzi, uznała z rozpaczą. A ona nawet nie mogła ostrzec Barta, nie ujawniając przy tym swojej tożsamości.

Nie pozostawało jej zatem nic innego, niż dalej pokornie grać rolę ładaczniczki. Kochanki earla Holtona. Słowa sir Waltera piekły ją niczym siarczyny policzek.

Bart nawet nie zaprzeczył. To bolało jeszcze bardziej.

Kiedy już zabrakło łez, otarła oczy rękawem szala i postanowiła wrócić na zamek. Wyszła z altany i w tej samej chwili zobaczyła idącą ścieżką Eleanor. Towarzyszył jej Bartholomew.

Było za późno, żeby się cofnąć. Dziewczynka od razu ją spostrzegła.

- Lady Marguerite! - zawołała z radością i puściła się pędem w jej stronę.

Mairi pospiesznie odwróciła głowę i jeszcze raz wytarła twarz szalem, żeby nie było widać, że płakała.

- Pamiętasz, miałaś pójść i... ale co się stało? - z niepokojem spytała Eleanor.

- Nic - odpowiedziała Mairi i zmusiła się do uśmiechu. Nie potrafiła spojrzeć na Barta, który stanął tuż za plecami siostry.

- Płakałaś!

- Nie! - gwałtownie zawołała Mairi, - Po prostu coś mi wpadło do oka.

- Daj, zobaczę - powiedział Bartholomew i podszedł bliżej. Pochylił się, ujął ją pod brodę i spojrzał jej prosto w oczy.

Mairi zdecydowanym ruchem odsunęła jego rękę. Odeszła na bok.

- To nic takiego - zapewniła. - Wybierzesz się z nami do wsi? - spytała, przypomniawszy sobie, po co szukała go wcześniej.

Musiało zdarzyć się coś złego. Bart zdążył już na tyle poznać Marguerite, aby wiedzieć, że coś ją trapi. Na pewno płakała. Dlaczego? I dlaczego nie chciała się do tego przyznać? Martwiło go to dużo bardziej, niż okazywał. Nie podejrzewał jej, by kłamała albo coś przed nim ukrywała. Dobrze wiedział, że przez cały czas pobytu w Norwyck nie kontaktowała się z nikim poza służbą i kilkoma mieszkańcami wioski. Nie planowała zatem zdrady.

Coś ją jednak gryzło. Odruchowo zapragnął jej bronić. W tej chwili chętnie przyłożyłby każdemu, kto zmusił ją do płaczu.

Zastanawiał się, czy nie zabrać jej na zamek - do komnaty, w której spędzili tyle cudownych godzin - i nie zapytać, co się stało.

- Pójdiesz z nami, Bartie? - proszącym głosem spytała Eleanor i wzięła go za rękę.
- A co jest tam ciekawego? - mruknął.
- Wczoraj mama Tildy urodziła następne dziecko - odpowiedziała dziewczynka. - Chciałabym je zoba-czyć.
- Skąd ci przyszło do głowy, że byłbym ciekaw, jak wygląda nowe dziecko młynarza?
- Wcale tego nie powiedziałam - zaperzyła się Eleanor. - To lady Marguerite wspomniała, że w taki dzień jak dzisiaj mógłbyś się z nami wybrać na mały spacer do wsi.
- Och - bąknął. W gruncie rzeczy był zadowolony, że Marguerite szukała jego towarzystwa.

Eleanor puściła jego rękę i podbiegła do wielkich głazów leżących tuż przy stawie. Wskoczyła na pierwszy z nich - i zaraz dała susa na następny. Rozłożyła szeroko ręce, żeby utrzymać równowagę. Gdyby zrobiła jeden fałszywy krok, wylądowałaby w lodowatej wodzie.

- Właśnie dlatego miała cię poszukać w dziennej komnacie! - zawołała. - Naprawdę nie wiem, skąd się wzięła aż tutaj, w ogrodzie!

- Eleanor, zejdź stamtąd - upomniała ją Marguerite.

Bart szybko podszedł do skał i wyciągnął ręce do dziewczynki, zanim zdążyła wpaść do wody lub nabicić

sobie guza. Przytrzymał ją, a ona zręcznie zeskoczyła z kamienia na ziemię.

- Chodź - powiedział. - Wiesz co? Henry ma rację, że mówi o tobie „wieczne utrapienie”.

Eleanor zrobiła obrażoną minę. Można było pomyśleć, że naprawdę się pogniewała. Ale jej zły humor zwykle nie trwał długo. Po chwili na nowo świergotała jak ptaszek i nikomu z obecnych nie dała dojść do słowa. Bart nie miał okazji porozmawiać z Marguerite.

Zastanawiał się, dlaczego nie przyszła do komnaty. Co ją mogło powstrzymać?

Och, nie... Dobry Boże. Czyżby przypadkiem usłyszała jego rozmowę z Walterem?

Usiłował sobie dokładnie przypomnieć, o czym wówczas mówili. Nie pamiętał wszystkiego, lecz dwa słowa dobrze mu się wryły w pamięć. Brzmiały: „lada-cznica w Norwyck”.

Dotarli do chaty młynarza i weszli do środka. Przyjaciółka Eleanor aż pisnęła z uciechy na widok wchodzących gości. Cała rodzina krzątała się, by godnie przyjąć pana i pokazać mu nową latorośl.

Bart spod oka patrzył na szczebioczącą do dziecka Marguerite. Błyskawicznie rozładowała wyraźne napięcie, które odczuwali chłopcy w obecności earla Norwyck. Zapewniła, że niemowlę jest naprawdę śliczne, podczas gdy Bart widział jedynie czerwoną twarzyczkę wykrzywioną płaczem. Noworodek darł się wniebogłosy, bo został zabrany od matki.

Marguerite wzięła go na rękę, pohuściła chwilę, pomruczała - i w chacie zapanowała cisza.

Jej oczy miały dziwny wyraz. Bart odruchowo przesunął dłonią po czole i żałował, że nie ma pod ręką nic twardego, w co mógłby wałnąć pięścią z całej siły. Sir Walter nie powinien mówić w ten sposób w miejscu, w którym z łatwością ktoś mógł go podsłuchać.

- Milordzie, to prawdziwy zaszczyt dla naszego domu - mamrotał młynarz. - Nalej panu kubek piwa, chłopcze! - zawołał do najstarszego syna.

Bart z roztargnieniem wziął do ręki kubek, chociaż wcale nie miał ochoty na piwo. Nie chciał jednak obrazić gospodarzy.

- To piękne...

- Chłopię, milordzie - z uśmiechem podsunął młynarz. - Chłopak. Jeszcze jeden.

- A zatem przyjmijcie serdeczne gratulacje, mistrzu. - Bartholomew pociągnął solidny łyk piwa.

- Daj mi popatrzeć - szepnęła Eleanor do Marguerite i wspięła się na palce, żeby lepiej widzieć.

Marguerite usiadła na stołku przy grubo ciosanym stole i pochyliła się w stronę dziewczynki. Szal opadł jej z ramion, a włosy błysnęły w promieniach słońca, wpadających przez okno po zachodniej stronie. Delikatnym ruchem odsunęła rąbek zawoju z brody noworodka, żeby Eleanor mogła zobaczyć całą buzię.

Bart spoglądał na nią jak urzeczony. Marguerite wciąż się uśmiechała i przemawiała do dziecka.

- Ma dołek w brodzie - szepnęła Eleanor.

- To prawda - przytaknęła Marguerite. Raz czy dwa głośno westchnęła i Bart popatrzył na nią z niepokojem, przekonany, że znów się rozplacze. Nie rozumiał, dlaczego widok dziecka budził w niej tak wielkie emocje.

- Popatrz na jego malutkie rączki, Eleanor.

Bart z zainteresowaniem przyglądał się tej scenie i nagle doznał olśnienia. Marguerite szybko odwróciła głowę, lecz dostrzegł łzę płynącą po jej policzku.

- Chodźmy się trochę pobawić. - Tildy odciągnęła Eleanor od noworodka. - Willie nam nie ucieknie. Za-wsze możemy jeszcze na niego popatrzeć.

- Willie? - Bart uniósł gwałtownie głowę. - Nazwaliście go imieniem mojego brata?

- Och, tak, milordzie - odpowiedział młynarz. - Mam nadzieję, że się nie obrazisz.

- Na pewno nie - pospiesznie odparł Bartholomew. Tego było trochę za wiele. Najpierw płacząca Marguerite, a teraz nagle wspomnienie Williama. - Cieszy mnie, że w ten sposób o nim pamiętacie.

- Wasz brat był dobrym człowiekiem, milordzie - westchnął młynarz. - Oj, dobrym.

Bart skinął głową. Znów ogarnęło go poczucie ogromnej straty. William na pewno byłby lepszym panem na Norwyck. Wracając ze Szkocji, Bart nawet nie myślał o władzy i zaszczytach - a już najmniej o związanej z tym odpowiedzialności. Chciał po prostu jak najszybciej zakończyć służbę u króla Edwarda, wrócić do

żony i spokojnie zamieszkać w posiadłości, którą Felicia wniosła mu w posagu. Zamierzał na podobieństwo własnego ojca dochować się kilku krzepkich synów i pięknych córek.

Jako wdowiec zachował prawo do wszystkich dóbr Felicii, choć prawdę mówiąc, nie miał ochoty ich więcej odwiedzać. Zamknięte na głucho domy popadały w ruinę. Na polach... Cóż, może tam ktoś jeszcze pokątnie coś uprawiał. Bart w ogóle się tym nie przejmował. W jednym z majątków mogłaby z czasem osiąść Marguerite, gdyby się nią znudził.

W głębi serca był przekonany, że to się nigdy nie stanie.

Mairi przyrzekła sobie w duchu, że więcej nie pozwoli, aby Bartholomew widział, jak płacze. To zresztą będzie bardzo łatwe, pomyślała, bo w ogóle nie będzie płakać. Nie uronię już ani jednej łzy, obiecała sobie w duchu. Było jej smutno, ale przecież mogło być jeszcze gorzej. Gdyby statek rozbił się parę mil na północ, w tej chwili byłaby zapewne żoną Carmaga MacEwena.

Kiedy Bartholomew zasnął, długo leżała przy nim bez najmniejszego ruchu. Ostatnio okazywał jej ogromną czułość, która świadczyła o tym, że się zmienił. Mairi wiedziała, że z jego ust nigdy nie padnie słowo „kocham”, lecz wystarczył jej sposób, w jaki na nią patrzył. Postanowiła, że uczyni wszystko, aby był z niej zadowolony. Nie mógł być świadkiem jej przygnębienia.

Bart wyciągnął rękę w jej stronę.

- Jeszcze nie śpisz? - spytał, pieszcząc ją za uchem.
- Ummm...
- Chodź do mnie - przyciągnął ją do swojej piersi.
- Znowu mam ochotę trochę cię posmakować.

Odwróciła się twarzą do niego. Uwielbiała te nocne chwile, kiedy po pierwszej krótkiej drzemce Bart tulił ją do siebie, zanim na dobre zasnął.

Jej uczucia pogłębiały się z dnia na dzień. Z dumą patrzyła na swego kochanka. Obserwowała go na placu ćwiczeń, w gronie rodzeństwa i wśród chłopów. Troszczył się o poddanych niczym czuła matka, chociaż był stanowczy i surowy.

Kiedy się obudziła następnego ranka, Barta już nie było. Mairi wiedziała, że znów ćwiczy. Szykował się do nieuniknionej bitwy z Armstrongami, która kiedyś go czekała. Sir Walter zdołał go przekonać, aby utworzył większy oddział, przewidując, że już niedługo dojdzie do zbrojnego starcia.

Mairi przez kilka minut leżała w ciepłej pościeli. Posadzka była na pewno zimna, chociaż Bart przed wyjściem nie zapomniał rozpalic ognia w kominku. Wreszcie wstała - i natychmiast usiadła z powrotem, żeby nie upaść. Poczula nagły zawrót głowy, zupełnie jak po katastrofie statku. Zawrót głowy i mdłości.

Dotknęła ręką czoła w miejscu, w którym przed wieloma dniami ziała paskudna rana. Teraz znalazła tam jedynie niewielkie zgrubienie. Zatem nie to było powodem jej złego samopoczucia.

Kilkakrotnie przełknęła ślinę, żeby zwalczyć uporczywe mdłości. Wreszcie jednak nie wytrzymała i pochyliła się nad miednicą. Potem opadła na poduszkę. Zastanawiała się, co jej dolega.

Po chwili wszystko zrozumiała. Czterokrotnie widziała to u Caitir. Czterokrotnie - wliczając w to także dziecko, które zmarło zaraz po porodzie.

Jest w ciąży.

Przymknęła oczy. Ogarnął ją strach, lecz jednocześnie poczuła ogromną radość, że nosi w sobie dziecko Barta.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Bart stał w drzwiach słonecznej komnaty i patrzył na znajomy widok. Marguerite pochylała się nad instrumentem. Nucąc pod nosem, zagrała kilka taktów, z niezadowolaniem pokręciła głową i spróbowała od początku. Tym razem chyba poszło lepiej.

Wprawdzie nie widział jej twarzy, ale domyślał się, że na czole widnieje teraz delikatna zmarszczka świadcząca o wielkim skupieniu. Zawsze tak było, kiedy koncentrowała się na jakiejś pracy.

Wiedział, jak wyglądała w chwilach zadumy, smutku i radości. Za każdym razem mu się podobała.

Ostatnio często zachodził w głowę, co się stanie, gdy Marguerite przypomni sobie, kim jest naprawdę i gdzie mieszka. Zechce porzucić go i wyjechać z Norwyck?

Bez niej nic już nie byłoby takie samo.

Skrzywił się, zde gustowany własną słabością. W jego życiu nie było miejsca na głębsze uczucia. Przecież już dawno postanowił, że Marguerite będzie wyłącznie kochanką. Czułość i miłość - zwłaszcza w wersji opisywanej przez bardów i minstreli - istniała tylko w pieśniach. I niech tak zostanie.

Zdarzały się chwile, kiedy bardzo trudno było mu wytrwać w tym postanowieniu. Zwłaszcza nocą, gdy czuł koło siebie ciepłe i miękkie ciało Marguerite. W półśnie nie mógł kontrolować emocji.

- Milordzie! - zawołała, unosząc głowę. Zauważyła go dopiero teraz. - Ale się przestraszyłam!
- Nie chciałem - odparł nieco chłodniejszym tonem, niż zamierzał.
- Jest jeszcze bardzo wcześnie - zauważyła Marguerite i odłożyła psalterion na podłogę. - Nie spodziewałam się, że już wrócisz.
- Henry i John wciąż są na placu ćwiczeń - odparł i podszedł do niej. - A obie siostry poszły z sir Walte-rem do stajni, żeby obejrzeć żrebaka.
- To prawda, że na zamku zrobiło się nagle cicho.
- Co zamierzasz robić dziś po południu?
 - Jeszcze nie wiem - odpowiedziała, patrząc na niego pytającym wzrokiem.
 - Wybierzemy się na przejażdżkę - oznajmił i wyciągnął rękę. - Na plażę. Dzień jest wyjątkowo piękny. Pewnie już ostatni przed tegoroczną zimą.

Marguerite wstała.

- To będzie dla mnie...

Nagle zbladła jak ściana i byłaby upadła, gdyby Bart w porę nie doskoczył do niej i jej nie podtrzymał. Tro-skliwie posadził ją na zydlu i zaczął rozcierać dłonie. Nie odzyskała przytomności. Poklepał ją po policzkach, potarł ręce.

Wciąż nie mógł jej docucić. Był bliski paniki i już miał krzyknąć na służbę, żeby natychmiast sprowadzo-no ze wsi Alice, kiedy Marguerite wreszcie uniosła po-wieki.

- Co się stało?
 - Zemdlałaś - powiedział. Zmarszczył brwi i prze-sunął palcami po włosach. Potem dotknął jej czoła, po-liczków i dłoni.
 - To niemożliwe, milordzie - odparła, siadając pro-sto. - Nigdy nie mdleję.
 - Skąd wiesz? - zapytał podejrzliwie. Skoro nicze-go nie pamiętała, to nie mogła wiedzieć, czy nie mdlała w przeszłości.
 - Taką mam naturę - broniła się słabo. - Czuła-bym to.
 - Nie ruszaj się przez chwilę - powiedział. Wciąż był przestraszony tym wypadkiem. Marguerite mogła zaprzeczać do woli, ale on widział na własne oczy, jak padała. Na pewno sobie tego nie wymyślił.
 - Po prostu za szybko wstałam, milordzie - odparła.
 - I przegapiłam posiłek w południe. Jestem głodna.
 - Jeśli to tylko tyle...
 - Tak - odparła stanowczo. - Zapewniam cię, Bar-tholomew, że nic mi nie jest. Nakarm mnie i możemy ruszać.

Wzięła go za rękę i wstała, tym razem powoli, i wy-szli z komnaty. Wyglądała na zupełnie zdrową, chociaż Bart nie potrafił odpędzić od siebie myśli, że ukrywa

przed nim jakąś przypadłość. Wciąż była bardzo blada, chociaż poruszała się tak jak dawniej, z właściwą sobie energią.

Próbował się uspokoić. Może to rzeczywiście nie było nic poważnego? Może naprawdę była głodna, a może niedomagala wskutek niewyspania? Ostatnio mało spiali.

Na wszelki wypadek postanowił nie spuszczać jej z oka do czasu, aż nabierze pełnego przekonania, że całkiem dobrze się czuje.

Poszli do kuchni. Bart kazał kucharzowi przygotować solidny posiłek dla Marguerite. Służący przyniósł tacę do dziennej komnaty Barta i postawił ją na stoliku w pobliżu kominka. Rycerz uparł się, żeby dziewczyna zjadła wszystko, do ostatniego kęsa.

- Nie jestem ułonna, milordzie - powiedziała z widocznym zniecierpliwieniem. - Potrafię o siebie za dbać.

Zastanawiało go jej zachowanie. Zazwyczaj rzadko wpadała w rozdrażnienie, dzisiaj zaś najpierw zemdlą, a potem była wyraźnie nie w humorze. Na szczęście odzyskała rumieńce i wyglądała piękniej niż przedtem. Zdawała się emanować wewnętrznym światłem.

- Tylko nie gniewaj się, że zapytam - wesoło powiedział Bart - lecz czy naprawdę masz dość siły na przejażdżkę?
- Tak - odparła szybko. - Czuję się wręcz znakomicie.

Mairi od wieków nie wychodziła poza mury zamku, a Bart wybrał najwłaściwszy moment na konną wycieczkę. Co prawda, dzień był chłodny, ale bez wiatru, słońce zaś świeciło jasno nad spokojnym morzem.

Jechali razem na Pegazie. Mairi siedziała na przednim łuku siodła. Czuli się już zupełnie dobrze, lecz mimo to nie potrafiła zapomnieć o porannej przygodzie. Bała się, że ciąża zbytnio ją osłabi. Na razie chciała ukryć przed Bartem swój stan - przynajmniej do czasu, aż sam zauważy zmianę.

Ciężarna kochanka traci na wartości.

Przecież słyszała na własne uszy, jak powiedział, że nie zamierza się więcej żenić. Tym bardziej, dodała w duchu, z bezimienną dziewczyną z rozbitego statku. Nie, nie. Gdyby kiedyś podjął decyzję o powtórnym małżeństwie, zrobiłby to tylko dla większej chwały Norwyck. Nie po to, by dać nazwisko jakiemuś bękartowi.

Mairi oparła się plecami o szeroką pierś Barta i odpędziła od siebie złe myśli. Było jej dobrze. Upajał ją równy krok wielkiego bojowego rumaka. Czuli się wolna i szczęśliwa.

Wkrótce pod kopytami konia zachrząścił piasek plaży.

- Pojedziemy do chaty starego Jakina? - szepnął jej Bart wprost do ucha.

Podniecająca myśl, ale...

- Nie, milordzie - odpowiedziała rażnym tonem, tak odwracając głowę, żeby ją lepiej słyszał. - Mam ochotę na coś nowego.

Bartholomew bez słowa trącił konia piętami i szarpnął wodze. Pogalopowali płaskim odcinkiem plaży, tuż nad wodą, mając morze po prawej stronie. Po lewej rosły wysokie trawy, a za nimi, na wysokiej skarpie wznosił się zamek Norwyck. Mairi dostrzegła nawet błysk słońca w oknie swojej komnaty. Dziesiątki razy w nim stawała, by popatrzeć na nieubłagane morze, które zabrało jej Alaina.

Bart ciałniej oplótł ją ramionami i przynaglił Pegaza do szybszego biegu. Mairi roześmiała się radośnie. Piach i woda zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy wreszcie zwolnili koło wysokich skał, zastanawiała się, czy wciąż są jeszcze w Norwyck.

Uniosła głowę, żeby o to spytać, ale Bart uciszył ją długim pocałunkiem. Nagle zatrzymał konia, szybko zeskoczył na ziemię i zdjął ją z siodła jednym płynnym ruchem. A potem znów ją pocałował.

Mairi przesunęła dłońmi po jego piersi i nieoczekiwanie, zanosząc się od śmiechu, wymknęła się z jego objęć i uciekła.

Bartholomew zupełnie się tego nie spodziewał. Zdążyła odbiec już spory kawałek, zanim puścił się za nią w pogoń. Dopędził ją w kilku potężnych susach, chwycił wpół i przewrócił na miękkim piasek. Osłonił ją własnym ciałem, żeby przypadkiem się nie potłukła.

Ze śmiechem upadła na niego. Leżeli tak przez chwilę, zdyszani i szczęśliwi.

- Marguerite.

Jej śmiech umilkł jak ucięty nożem. Spojrzała mu prosto w oczy. Wyciągnęła rękę i łagodnym ruchem odgarnęła mu włosy z czoła.

Pocałowała go. W tej jednej chwili nic nie mąciło jej radości. Byli razem, a ona pod sercem nosiła owoc ich uczucia.

- Szkoda - szepnęła sztucznie nadąsanym tonem - że jest zbyt zimno, abyśmy mogli się rozebrać.

Bart zamrugał oczami, a potem się uśmiechnął.

- Tak myślisz, milady? - spytał.

Wstał, podał jej rękę i poprowadził za sobą. W milczeniu przeszli przez trawiastą łąkę na osłonięty z trzech stron gładzi fragment wolnej przestrzeni. Bartholomew rozłożył płaszcz. Usiadł i wsparł się plecami o kamień.

- Chodź do mnie. Siadaj.

Mairi chciała usadowić się obok niego, ale on posadził ją sobie na kolanach. Pocałował ją i wsunął dłonie pod jej spódnicę.

W lot pojęła, co chciał zrobić. Pomogła mu rozsznurować kaftan i zsunąć rajtuzy. Bart uniósł ją lekko, a kiedy usiadła z powrotem, byli już połączeni. Jęknęła cicho z rozkoszy i poruszyła biodrami. Bart zamknął oczy i oparł głowę o skały.

- Marguerite - szepnął.

- Tak, milordzie - odpowiedziała z pasją, nie wypadając z rytmu.

Chciała się z nim kochać - choćby tylko jeszcze ten

jeden raz - w razie gdyby na przykład jutro ją odprawił, dowiedziawszy się o ciąży.

Bartholomew powoli szedł przez dziedziniec w stronę placu ćwiczeń. Pierwszy raz odkąd pamiętał, nie chciało mu się wstawać.

Było już prawie widno, a w komnacie została Marguerite. Spała jak zabita. Miała swoje powody.

Bart głęboko wciągnął powietrze w płuca. Nawet teraz czuł jej słodki zapach. W uszach dźwięczały mu ciche jęki rozkoszy.

Kochali się na plaży, a potem w komnacie, do późnej nocy - i wciąż nie miał jej dosyć.

Zapewne nigdy mi się nie znudzi, pomyślał.

W jaki sposób mógł ją na zawsze zatrzymać przy sobie?

Bał się do tego przyznać, lecz do tej pory żadnej kobiety nie darzył takim uczuciem. Marguerite była szczerą i niewinna. Przecież nie mogła knuć nic złego, skoro nie znała swojej przeszłości. Nie wyjeżdżała poza Norwyck i w odróżnieniu od Felicji nie snuła podstępnych planów.

Prawdopodobnie gdyby nawet znała swą tożsamość, to zachowywałaby się w ten sam sposób. Taki już miała charakter. Wszystkie jej słowa oraz czyny świadczyły o dobroci, uczciwości i poczuciu przyzwoitości. Z po-wagą i urokiem traktowała Johna, rozumiała rozterki Kathryn i umiała poskromić Eleanor. Nawet Henry od-nosił się do niej z szacunkiem.

Sir Walter chce, żeby została moją żoną, myślał Bartholomew. Stary rycerz wspominał o tym przy każdej okazji. Myślał zapewne, że zawstydzi swojego pana, nazywając ją „ładacznicą”.

Chyba mu się udało.

- Milordzie - rozległ się głos dowódcy oddziału, sir Duncana.

Bart otrząsnął się z zamyślenia i skinął głową na znak, że słucha.

- Przybył goniec ze wsi z wieścią o kradzieży bydła.

- To pewne?

- Sir Walter natychmiast udał się do sołtysa. Rozpytuja chłopów.

- Zbierz swoich ludzi i powiadom o wszystkim sir Stephana. Ruszamy, kiedy tylko będziecie gotowi do drogi - powiedział Bart. Od tygodni nie mąciło spokoju okolicy. Armstrongowie siedzieli cicho, zapewne licząc na to, że Bartholomew przestanie być czujny.

Weszli do stajni. Pegaz czekał już osiodłany. Bart wskoczył na konia i powiedział:

- Przygotujcie się tak jak do bitwy. Duży oddział ma zostać do obrony zamku. Spotkamy się przy zachodniej bramie.

Spojrzał na wieżę i zobaczył jakiś ruch w oknie. To była Marguerite. Z tej odległości nie widział jej dokładnie, lecz wydawało mu się, że jedną dłoń przyciskała do szyby.

Ogarnęło go wzruszenie i uniósł rękę, jakby chciał

jej dotknąć. Wziął głębszy oddech, skłonił się z kurtuzją i skierował Pegaza na zewnętrzny dziedziniec, w kierunku zachodniej bramy.

Łączy nas silna więź, przebiegło mu przez głowę. Tak jakbyśmy mieli jedno serce, ciało i duszę. Postanowił sobie, że zaraz po powrocie zapyta Marguerite, co sądzi o małżeństwie.

Wokół sołtysa i sir Waltera zgromadził się spory tłumek. Wszyscy mówili naraz. Byli źli, że znowu stracili bydło. Umilkli na widok earla Norwyck.

Bartholomew nawet nie zsiadł z konia.

- Co ustaliłeś, sir Walterze? - spytał donośnym głosem.

- Wiadomo mi, że zginęło kilka krów i trochę więcej owiec, milordzie - odparł rycerz. - Zabrano je z południowej łąki.

Bart mimo woli zacisnął zęby.

- A dokładnie?

- Osiem krów, milordzie - odpowiedział Gayte.

- Dwanaście owiec.

- Na razie - dodał sir Walter. - Kilku chłopów poszło obrachować swoje straty i jeszcze nie wróciło,

- Część rycerzy zostanie tutaj, żeby bronić Norwyck pod naszą nieobecność - oznajmił Bart. - Sir Walter przejmuje dowodzenie.

Armstrongowie znali najczulszy punkt Norwyck. Krowy dawały mleko i ser, ale większą wartość przedstawiało cenne owcze runo. Mur wokół wsi nie chronił

stad na łące, więc Bart musiał stanąć do walki. Miał przy sobie więcej rycerstwa niż Lachami Armstrong kiedykolwiek mógł sobie wymarzyć. Na drugi raz dobrze się zastanowi, zanim wejdzie na nasze ziemie, pomyślał Bartholomew.

Do wsi przyjechał oddział konnych. Bart zaciął Pegaza i poprowadził swoich ludzi na drugą stronę nieukończonego muru.

Pojechali w głąb doliny, w kierunku Braemar.

Zanim dotarli do jej drugiego krańca, słońce stało już wysoko na niebie. Znaleźli zabite zwierzęta. Dziesięć krów, czternaście owiec. Wszystkie naszpikowane strzałami.

Bart przypatrywał się temu z niechęcią. Armstrongowie nie zabrali runa ani mięsa. To nie był zwykły wypad rabunkowy, lecz prowokacja. W ten sposób chcieli mu okazać pogardę.

Bartholomew nie wiedział, czym zasłużył sobie na nienawiść ze strony Lachanna. Nie zamierzał jednak puścić tego płazem. Miał nadzieję, że sama demonstracja siły wystarczy, by z daleka utrzymać nieprzyjaciół. Tak się jednak nie stało. Zły jak osa pociągnął w dalszą drogę, prosto na Braemar. Tym razem postanowił nie unikać bitwy. Do tej pory żaden pan na Norwyck nie oblegał Szkotów w ich rodowej siedzibie. Mógł zatem wziąć ich z zaskoczenia. Spodziewał się też, że po nocnym wypadzie będą zbyt zmęczeni, żeby z pełną energią przystąpić do walki.

Oddział jechał przez równą godzinę, zanim Bartholomew zatrzymał się na krótki popas, żeby napoić konie. Godzinę później dotarli do zadrzewionego wzgórza, na którym wznosiła się twierdza Braemar. Stanęli pod osłoną lasu.

- Milordzie? - odezwał się sir Stephan.

Wokół wieży krążyły patrole, zbrojne w łuki i miecze. Na stokach wzgórza stało kilka zagród. Każdy atak pociągnąłby za sobą ofiary wśród kobiet i dzieci.

Pas grząskiej ziemi praktycznie uniemożliwiał konną szarżę. Jeśli wzięło się to wszystko pod uwagę, stawało się jasne, że szturm na Braemar nie ma szans powodzenia.

- Spodziewają się nas - powiedział Bart. - Wyślij kilku ludzi na zwiady na drugą stronę. Ale niech będą bardzo ostrożni. Nie wiadomo, czy Armstrongowie nie czyhają tu gdzieś w zasadzce.
- Tak jest, milordzie - cicho odparł Stephan.
- Duncanie! - Bart wezwał drugiego z dowódców.
 - Reszta naszych pozostanie tutaj. Bądźcie gotowi do natychmiastowej walki.
- Tak jest, milordzie.

Bartholomew z zadumą odprowadził Pegaza w las i przywiązał go do drzewa. Namyślał się nad planem ataku.

Wiedział już, że dzisiaj nie wygrałby bitwy. Większość rycerzy pozostała w Norwyck. Z pięćdziesięcioma ludźmi, których miał pod ręką, nie zdołałby opano-

wać Braemar. Armstrong okazał się silniejszy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Nie. Najpierw trzeba było poznać słabe punkty w obronie wroga. Bartholomew już miał wstępny plan tego, co należy zrobić. Musiał wrócić do Norwyck i wzmocnić obronę wsi i zamku.

A przy okazji mógł przed bitwą spędzić jeszcze jedną noc w ramionach Marguerite.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Mairi westchnęła z głębi piersi. Kłamstwo strasznym brzemieniem leżało jej na sercu. Bartholomew był dla niej taki dobry, że nie miała sumienia dłużej go oszukiwać.

Może powinnam mu powiedzieć, że jestem córką Lachanna Armstronga? - zadała sobie w duchu pytanie. A potem niech się dzieje, co chce.

Popatrzyła przez okno na dziedziniec. Bart siedział dumnie wyprostowany na Pegazie. Doskonale zdawała sobie sprawę, ile znaczy dla niego Norwyck. Dobrze wiedziała, ile nieszczęść spotkało go w przeszłości. Nic dziwnego, że nienawidził szkockich sąsiadów.

Co by uczynił, słysząc jej nazwisko? Wciąż byłby dla niej czuły, wiedząc, że Lachann jest jej ojcem? Jak go przekonać, że nie planowała zdrady?

Wprawdzie nie miała najmniejszej wątpliwości, że Bartholomew darzy ją uczuciem, nie wiedziała jednak, czy to wystarczy, żeby zapomniał o zakorzenionej niechęci do jej rodu.

I nie była pewna, czy starczy jej odwagi, aby to sprawdzić.

Ktoś zapukał, więc szybko odeszła od okna.

- Proszę - powiedziała.

Do komnaty wbiegła Eleanor. W jej oczach błyszczało gorączkowe podniecenie.

- Bartie szykuje się do bitwy!

- Co takiego? - szepnęła Mairi. Znów zakręciło jej się w głowie, więc pospiesznie usiadła na krześle, żeby nie zemdleć.

- Armstrongowie zrabowali nam krowy i owce! Bartie zbiera rycerzy i ruszają na Braemar!

- Skąd to wszystko wiesz, Eleanor?

- Od Henry'ego! - zawołała dziewczynka. - Dziś rano tak jak zwykle poszedł na plac ćwiczeń, ale wszyscy byli już w zbrojach i ostrzyli miecze!

- Gdzie jest Henry? - dopytywała się dalej Mairi. Może on będzie wiedział więcej.

- Bartie nie pozwolił mu jechać do Braemar, więc założył zbroję i dołączył do obrońców zamku.

Mairi przełknęła ślinę i powoli uniosła głowę, którą dotychczas trzymała niemal przy kolanach.

- Dobrze się czujesz? - spytała Eleanor. Zatrzymała się na moment, żeby na nią popatrzeć. - Jesteś okropnie blada, Marguerite.

- Ja tylko... To nic. Zawsze się trochę boję, gdy słyszę o bitwie - skłamała Mairi.

- Aha, rozumiem. - Eleanor podjęła swoją wędrówkę po komnacie. Na chwilę zatrzymała się przed łóżkiem i z zaciekawieniem popatrzyła na rozgrzebaną pościel.

Mairi zamarła w niespokojnym oczekiwaniu na to, co się teraz stanie, lecz Eleanor najwyraźniej nie miała żadnych skojarzeń.

- Nie lubię, kiedy Bartie wyjeżdża na dłużej.
- Dwaj bracia zostają na miejscu - zauważyła Mairi, bardziej żeby uspokoić samą siebie niż dziewczynkę. -Poza tym jest jeszcze sir Walter.

Eleanor pokiwała głową.

- Zjesz śniadanie ze mną i z Kate?

Mairi wcale nie była głodna, lecz zgodziła się dołączyć do sióstr czekających na nią w wielkiej sali. Powiedziała, że przyjdzie, jak tylko się umyje i ubierze.

Przez cały dzień wszyscy chodzili podenerwowani, czekając na wiadomość od Barta. Nikt nic nie wiedział poza tym, że dwa duże oddziały zbrojnych wyruszyły na Braemar.

Mairi codziennie z wysokości wieży obserwowała, jak rycerze z Norwyck przygotowują się do bitwy. Słyszała tak wiele opowieści o okropnościach wojny, że wprost bała się myśleć o przyszłości. Godziny wlokły się w nieskończoność. Przy wieczerzy domownicy byli już bardzo niespokojni. Prym wiodły oczywiście Kathryn i Eleanor, sprzecząc się zawzięcie o byle drobiazgi.

- Nie chcę dorsza! - krzyknęła Eleanor i odsunęła od siebie misę.
- Nie musisz jeść - powiedziała Mairi, z trudem za-

chowując spokój. Rozumiała uczucia dziecka, bo sama też nie miała apetytu. - Chodź. Na chwilę przeprosimy Johna i Kate i pójdziemy się pomodlić do kaplicy.

Kiedy opuściły wielką salę, Mairi pogratulowała sobie w duchu, że w porę zapobiegła jeszcze jednej awanturze. Mimo to wciąż była niespokojna. Jeśli jej ojciec rzeczywiście połączył się z Carmagiem, to bez trudu pokonają rycerzy Barta.

A przecież mogła ich ostrzec.

Weszły do kaplicy i zapaliły świece, po czym uklękły przed ołtarzem. Mairi nisko pochyliła głowę, nie patrząc na Eleanor. Modliła się o przebaczenie za wszystkie swoje kłamstwa i błagała Boga o bezpieczny powrót Barta do Norwyck.

Gdy uniosła głowę, zobaczyła, że dołączyła do nich Kathryn.

- Myślisz, że kiedyś będzie mi trochę łatwiej czekać na własnego męża niż teraz na Barta? - zapytała nagle dziewczynka.

- Nie, Kathryn - odparła Mairi. - Wątpię. - Podniosła się i postąpiła krok w jej stronę.

Dziewczynka cofnęła się pospiesznie.

- O co chodzi? - spytała Mairi.

Kathryn nie odpowiedziała, tylko patrzyła na nią podejrzliwie. Ostatnio często zachowywała się w ten sposób, ale Mairi zdążyła się przyzwyczaić do jej humorów, więc nie zwracała na to większej uwagi.

- Może muzyka pozwoli nam zapomnieć o tym, co

się dzieje w Braemar - powiedziała i zaprowadziła obie siostry do dziennej komnaty Barta. Kathryn bez przekonania zaczęła brzdąkać na gitarze, a Eleanor pochlipywała cicho.

Mairi z trudem wytrzymała do końca wieczoru. Wreszcie zabrała dziewczynki na górę, żeby położyć je do łóżek.

Wtedy doszło do następnej kłótni, bo Kathryn nie chciała się zgodzić, żeby Eleanor spędziła kolejną noc w jej sypialni. Mairi nie mogła nad nimi zapanować. Krzyki doprowadzały ją niemal do obłędu. Po raz pierwszy pożałowała, że nie ma przy niej niani Ady.

- Błagam, Kathryn - powiedziała w końcu - pozwól jej zostać. Opowiem wam jeszcze jedną baśń na dobranoc.
- Nie chcę żadnych głupich opowieści! - krzyknęła Kathryn. - Jestem już na tyle duża, żeby spać zupełnie sama!
- To prawda, ale...
- I na tyle duża, że mogłabyś mi też powiedzieć, że jesteś córką Armstronga! - wrzasnęła na całe gardło.

- Bartie!

Eleanor niczym strzała przemknęła przez komnatę i chwyciła brata pod kolana. Bart nawet na nią nie spojrział, ciągle oniemiały po tym, co przed chwilą usłyszał z ust Kathryn. Córka Armstronga?

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na zgębnioną twarz Marguerite, aby wiedzieć, że to prawda.

- Wygrałeś, Bartie? - pytała Eleanor. - Przyniosłeś głowę Armstronga zatkniętą na włóczni?

Pomału wyzwolił się z jej objęć i wszedł do komnaty. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Marguerite.

- Do łóżka, dziewczynki - polecił stanowczym tonem. - Nie było dzisiaj bitwy. Nikt z nas nie wygrał i nie przegrał.
- Ale, Bartie...

- Zróbcie, co powiedziałem. Natychmiast - mówił ze spokojem, którego wcale nie odczuwał.

Siostry widocznie zrozumiały, co się dzieje, bo bez słowa wsunęły się pod koldrę. Bart wziął za rękę Marguerite i zaprowadził ją do słonecznej komnaty.

- Słucham.

Mairi odwróciła się do niego tyłem. Bartholomew stał jak skamieniały. Przypomniawszy sobie dzień, w którym dowiedział się o zdradzie Felicii. Ponownie wycedził ze złowieszczym spokojem:

- Powiedziałem: słucham.
- M-milordzie - zająknęła się Mairi. - Nie od razu odzyskałam pamięć.
- Coś tu się nie zgadzało.
- Ale teraz już wszystko sobie przypomniałaś?
- Nie odwracając się, skinęła głową.
- A to, co powiedziała Kathryn? Że jesteś córką Lachanna Armstronga?
- Wreszcie spojrzęła na niego.
- To prawda. Jestem Mairi Armstrong - przyznała.

Beznamiętnie patrzył na łzy w jej oczach i płacząco wykrzywione usta. Zbyt długo grała na jego uczuciach. Robiła to z taką łatwością, z jaką wydobywała dźwięki z instrumentów. W gruncie rzeczy niewiele brakowało, a zapomniałby o swoich wcześniejszych przykrych doświadczeniach i jak głupi poprosił ją o rękę.

Chciał jej zaufać - i znów był zaledwie o krok od pomyłki.

- Od dzieciństwa mieszkałam u kuzynów we Francji - ciągnęła Mairi. - Niedawno ojciec kazał mi wracać. Mąż kuzynki był na pokładzie statku, kiedy... - z trudem przełknęła ślinę i próbowała zapanować nad drżeniem głosu - ... kiedy doszło do katastrofy. Zginął.

Łza potoczyła się po jej policzku. Bart zapragnął wziąć Mairi w ramiona, ale zamiast tego przeszedł na drugą stronę komnaty i wbił wzrok w okno. Zrobiła z niego ostatniego głupca.

- Nic z tego nie pamiętałam. Nawet Alaina. Ale potem...
- A kiedy przypominałaś sobie, kim jesteś?
- W tym samym czasie, milordzie - szepnęła.

Ogarnął go straszliwy gniew. Okłamywała go! Powinien wiedzieć od początku, że kobietom nie wolno ufać. Dał się podejść jak dziecko. Odwrócił się gwałtownie i bez jednego słowa wypadł z komnaty. Nie zatrzymując się, przeszedł przez dziedziniec i wszedł do stajni.

Przepędził stamtąd stajennych i podszedł do zagrody Pegaza. Koń grzebnął nogą w ziemię i parsknął na powitanie.

- Spokojnie - powiedział do niego Bart, chociaż rymak początkowo wcale nie zdradzał oznak niepokoju. Dopiero teraz wyczuł zdenerwowanie pana i stanął dęba. - Spokojnie - powtórzył Bart. Wziął wiecheć słomy i zaczął go wycierać.

Usiłował nie myśleć o tym, co Mairi Armstrong porabiała w Norwyck. Ile zdążyła przekazać ojcu? Chyba niewiele. Najwyżej podała liczbę rycerzy i zbrojnych. Bart nigdy nie mówił jej o swoich wojennych planach, więc nie mogła go zdradzić.

Zauważyła za to, że nie miał łodzi ani statków, więc Armstrongowie nie musieli obawiać się ataku od strony morza. Co jeszcze? Cóż... Mogła w przybliżeniu podać stan zapasów przechowywanych w zamku na wypadek dłuższego oblężenia.

A może chciała mnie po prostu uwieść, tak jak jej brat zrobił to z Felicią? - myślał Bartholomew. Zniszczyłaby mnie, kończąc dzieło, które kiedyś zaczęli Lachami z Dughlasem.

Rzucił słomę na ziemię i niewidzącym wzrokiem wpatrzył się w ciemny kąt stajni. Jak to się stało, że wbrew sobie zapragnął jej uwierzyć?

- A... tutaj jesteś, chłopcze - powiedział sir Walter. Bartholomew stanął do niego tyłem i przesunął dłoń po grzbiecie wierzchowca.

- Sądzisz pewnie, że cię zdradziła tak jak Felicia?
- spytał stary rycerz.

A co mam myśleć? - odparł mu w duchu Bart.

- Powinieneś wiedzieć, milordzie, że to zupełnie niemożliwe - cicho powiedział Walter.
- Nie? - drwiąco parsknął Bart. - Skąd ta pewność?
- Ona cię kocha, Bartholomew.

Bart wydał z siebie jakiś dziwny dźwięk, na poły śmiech, na poły bolesny okrzyk.

- Wybacz mi, ale ci nie wierzę, starcze. Nic o tym nie wiesz.
- Wiem - sprostował Walter. - Lady Mairi już dawno wyznała mi całą prawdę. Znam też jej racje, dla których nie mogła ci nic powiedzieć.

Bart westchnął ze zniecierpliwieniem. Kolejne kłamstwa.

- Jest zaręczona z Carmagiem MacEwenem - ciągnął Walter. - Jeśli wróci do Braemar, ojciec zmusi ją do małżeństwa z człowiekiem, którego...
- Dość! - warknął Bart. - Zdradziłeś mnie do spółki z tą dziewczką od Armstrongów! Nawet nie przyszło ci do głowy, by o tym ze mną porozmawiać!

Odwrócił się i wybiegł ze stajni. Poszedł na drugą stronę dziedzińca - tam, gdzie mieściły się kwatery dla rycerzy, którzy czasami zjeżdżali w gościnę do zamku. Postanowił, że będzie tam sypiał, dopóki nie pozbędzie się z Norwyek tej Szkotki.

Wziął koc ze sterty leżącej za drzwiami i wybrał so-

bie posłanie. Położył się z pełnym przekonaniem, że zaraz zaśnie. To był długi męczący dzień.

Sen jednak nie nadchodził. Bart nie potrafił zapomnieć o Marguerite, a raczej o Mairi Armstrong. Zaczął snuć plany najazdu na Braemar, żeby na chwilę przestać o niej myśleć. Ludzie byli gotowi. Zabite krowy i owce odwieziono do wsi, żeby je oprawić i poświęcić. Chociaż taki z nich będzie pożytek, dumał. Mięso, skóry i sporo wełny do przędzenia.

Rano musimy załadować wozy i ruszyć na Szkotów. Trzeba się spieszyć, bo nie wiadomo, co Mairi przekazała ojcu. Ilu rycerzy pozostawić w zamku? Których zabrać?

Było ich wystarczająco wielu, nawet gdyby Armstrongowie połączyli się z Carmagiem MacEwenem.

Bart nagle przypomniał sobie niedawną rozmowę z sir Walterem. Stary rycerz radził mu pchnąć posłańca do earla Bitterlee i innych panów z Northumberland z prośbą o posiłki. A zatem Walter wiedział o sojuszu Lachanna z Carmagiem.

Ciekawe, ilu ludzi sprowadził MacEwen? - zastanawiał się Bart. W Braemar stacjonował o wiele liczniejszy oddział, niż się spodziewał. Klan MacEwenów był potężnym klanem, a Carmag władał sporą połacią ziemi na wschód od włości Armstronga, aż do morza. Gdyby Bart zgodnie z planem stanął pod twierdzą już jutro, to Lachann nie zdążyłby wysłać gońców do Carmaga.

MacEwen. Bart usiłował sobie przypomnieć twarz

pana na Falkirk. Wielki Szkot, z łapami jak kowadła, zwykle odziany w skóry i straszliwy w walce. Okrutniejszy od innych Szkotów, z którymi Bart miał wcześniej do czynienia.

Pamiętał jego ogromny czerwony nos i maleńkie oczka, niemal zupełnie pozbawione barwy. Ohydna twarz. Gęba potwora ze starych nordyckich legend.

I to jego miała poślubić Mairi Armstrong?

Bart pokręcił głową. Nic dziwnego, że chciała się gdzieś ukryć przed takim narzeczonym. Nie mógł jej za to winić. Ale dlaczego kłamała?

To było niewybaczalne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Mairi z trudem wstała z łóżka po nieprzespanej nocy. Najpierw rzucała się niespokojnie, potem długo chodziła po komnacie, żeby położyć się nad ranem i trochę zdrzemnąć.

Nie miała pretensji do Barta. Na jego miejscu zapewne postąpiłaby zupełnie tak samo. Okłamywała go z premedytacją, dla swoich własnych celów. Pewnie zrobiłaby o wiele lepiej, gdyby mu powiedziała prawdę i z pokorą przyjęła wyrok losu.

Przez cały dzień nie zjawił się w głównej wieży. Mairi obserwowała z dala, jak ładowano wozy i wyprawiano tabory na dziedziniec.

Eleanor zachowywała się tak jak dawniej, w przeciwieństwie do Kathryn, która wyraźnie trzymała się na uboczu. Nie wiadomo, w jaki sposób odkryła tajemnicę Mairi. Chyba że podsłuchiwała jej rozmowę z Walterem. To było całkiem możliwe.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, jak się naprawdę nazywasz, lady Mairi? - spytała Eleanor.

Mairi złożyła dłonie.

- Źle postąpiłam, Eleanor - odparła. - Powinnam była wszystko wyznać, gdy tylko odzyskałam pamięć. Bałam się jednak, że Bart mnie odprawi do ojca.

- Nie lubisz go? To znaczy swojego ojca?

Mairi zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Bóg pewnie mnie ukarze za to, co teraz powiem, ale przez całe dziesięć lat ojciec nie chciał mnie nawet widzieć. Dla niego liczy się tylko wojna i sojusz z Car-magiem.

- Taka jest rola ojców - zauważyła Kathryn. - Każdy z nich chce dobrze wydać córkę za mąż, by wzmocnić potęgę rodu.

Mairi nie mogła zaprzeczyć. Kathryn miała rację. Ojcowie rzeczywiście tak postępowali, a córki były im za to wdzięczne. Większość córek. Mairi też byłaby zadowolona, gdyby jej narzeczonym był ktokolwiek inny, a nie Carmag MacEwen.

Teraz jednak, kiedy poznała Barta Holtopa i nosiła w sobie jego dziecko, jej małżeństwo z Carmagiem było niemożliwe. Co prawda, nie wiedziała jeszcze, jak powinna postąpić. Co miała zrobić, gdyby Bartholomew chciał ją odesłać do Braemar? Postanowiła, że odmówi. Może gdzieś znajdzie się klasztor, który zechce ją przyjąć przynajmniej do czasu narodzin dziecka?

Później spróbuję wrócić do Francji, do Caitir, pomyślała. Ojciec na pewno o tym się nie dowie.

Kathryn i Eleanor były jeszcze zbyt małe, żeby dokładnie wiedzieć, co się z nią działo. Nie rozumiały jej

niechęci do małżeństwa, bo same były wychowywane w przeświadczeniu, że pewnego dnia ktoś znajdzie im mężów. Bez zastrzeżeń to akceptowały.

Henry pojawił się dopiero po wieczerzy. Nic nie powiedział na temat planów Barta. Wspomnił jedynie, że obie siostry - oraz Mairi - mają pozostać w zamku aż do powrotu zbrojnych oddziałów.

W zasadzie zachowywał się tak jak zwykle, chociaż Mairi odniosła wrażenie, że przypatrywał jej się z większą ciekawością. Za to John w ogóle przestał z nią rozmawiać. Chyba też czuł się oszukany.

Wieczorem Kathryn nie wpuściła Eleanor do swojego łóżka. Tym razem była nieustępliwa. Zapłakana Eleanor poszła do dziecięcej komnaty. Mairi śpiewała jej kołysanki, dopóki nie usnęła.

Potem poszła do siebie. Tej nocy zmęczenie wzięło nad nią górę, ale zasypiała ze ściśniętym sercem.

- Mairi! Mairi! Nie ma jej!

Mairi obudziła się gwałtownie. Ogień w kominku wygasł, ale świeca stojąca na stole wydobywała z mroku przestraszoną twarz Kathryn.

- Ellie zniknęła!

Mairi usiadła na łóżku. Przez chwilę walczyła z mdłościami, lecz w miarę szybko doszła do siebie.

- Zniknęła? Co to znaczy? - spytała.

- Obudziłam się i zrobiło mi się jakoś dziwnie. Nie chciałam być sama - odparła Kate. Mairi naciągnęła

koszulę przez głowę i zaczęła zawiązywać tasiemki.

-Poszłam do pokoju Ellie, ale jej nie było!

- A szukałaś...

- Nie! Zniknęła! - Kathryn chwyciła ją za rękę.

-Chodź i zobacz!

Wzięły świecę i szybko zbiegły ze schodów. Mairi pchnęła na wpół przymknięte drzwi dziecięcej komnaty. Łóżko Eleanor było puste, tak jak mówiła Kathryn.

Ktoś wbił sztylet w sam środek siennika. Kilka klejnotów połyskiwało na bogato zdobionym trzonku.

Kathryn wydała zduszony okrzyk i zasłoniła rękami usta.

- Porwali ją! - wykrztusiła z najwyższym przerażeniem. - Armstrongowie ją wprowadzili!

Wystraszona Mairi chwyciła ją w ramiona i przytuliła mocno do siebie. Zastanawiała się, co robić. Gdzie jest Bartholomew? Wiedziała, że jej unika, ale w tej sytuacji musiała z nim porozmawiać.

- Chodź - powiedziała do Kathryn i zabrała ją z komnaty. - Trzeba znaleźć twojego brata.

Obudziły służbę i kazały wszystkim jak najszybciej odszukać Barta. Czekwały ze zniecierpliwieniem. Mairi próbowała pocieszyć zapłakaną Kathryn, ale prawdę mówiąc, sama czuła się nie lepiej. Zarzucała sobie, że nie upilnowała Eleanor. Bartholomew powierzył jej opiekę nad najmłodszą siostrą, a ona go zawiodła. Znowu.

Wkrótce usłyszały, że ktoś idzie krużgankiem. Rozległy się podniesione głosy i Bart wszedł do komnaty.

Pachniał zimowym wiatrem, dymem z ogniska i koźmi. Mairi miała wielką ochotę podbiec do niego i złożyć głowę na jego szerokiej piersi. On jednak nawet na nią nie spojrzał. Podeszedł do łóżka i jednym ruchem wyrwał sztylet z siennika.

Tuż za nim zjawił się sir Walter.

- Armstrongowie wprowadzili Eleanor - powiedział do niego Bart i pokazał mu zdobiony sztylet.

Walter pokręcił głową i popatrzył na Mairi.

- Co tu się stało, córko?

- Ja ci powiem! - huknął Bartholomew. - Któryś z tych szkockich drani zakradł się do zamku i porwał moją siostrę! - Zatknął sztylet za pas. - Sprowadź ją do domu!

Nie da się opisać wściekłości Barta, kiedy zobaczył sztylet wbity w łóżko. Poprzysiągł sobie, że odzyska siostrę i straszliwie ukarze Armstrongów. Jeszcze dziś w nocy.

- Przeszukajcie zamek - polecił zdenerwowany. Przeczesał palcami włosy, zastanawiając się nad kierunkiem pogoni. - Przepatrzcie całe Norwyck, zajrzyjcie we wszystkie kąty, do każdej chaty we wsi.

Nie wierzył, żeby Eleanor była gdzieś w pobliżu. Porrywacz na pewno gnał już w stronę Braemar. Bart za-

mierzał zrobić to samo. Stanie pod murami twierdzy i zażąda zwrotu siostry. Jeśli Armstrong odmówi...

Nie, pomyślał. Tylko spokojnie. Wszak tu chodzi o życie Eleanor, a na razie Lachann ma przewagę. Ale tylko na razie.

Postanowił nie zmieniać planów i wciągnąć Armstronga w zasadzkę. Tylko w ten sposób mógł zerwać jego sojusz z Carmagiem i zmniejszyć liczbę wrogów, nim dojdzie do bitwy. To także dawało mu lepszą pozycję w razie negocjacji.

A poza tym, on teraz też miał zakładniczkę.

Ani trochę nie wątpił, że Lachann chciałby odzyskać córkę. Tylko w ten sposób mógł spełnić dawną obietnicę daną Carmagowi. Co zrobi, gdy się dowie, że jego chytry plan porwania się nie powiodł?

Mimo to Bart nie czuł satysfakcji. Bardziej martwiło go to, co dzieje się z Eleanor.

- Niech to piekło pochłonie - mruknął przez zaciśnięte zęby. Ellie była drobna i delikatna. Na pewno bardzo się bała. Nigdy dotąd nie zaznała od nikogo nawet najmniejszej krzywdy. Gdyby Armstrongowie zrobili jej coś złego...
- Milordzie - odezwał się sir Walter. - Wydasz nowe rozkazy?
- Nie - odparł Bart. Po raz pierwszy spojrzął na Mairi i skrzywił się na widok jej zapłakanej twarzy. Miała podkrążone oczy i wydawała mu się mniejsza i bardziej kru-

cha niż zazwyczaj. Drżącymi dłońmi tuliła wystraszoną Kathryn.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego. W jej oczach widniał nieopisany smutek. Wyraźnie była przerażona tym, co się stało z Eleanor.

Bart doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli ma odzyskać siostrę, to musi oddać Mairi. W tej chwili jednak wcale nie był pewny, czy chce to zrobić.

W ciągu minionego dnia, nadzorując załadunek wozów, myślał wyłącznie o tym, jak wykorzysta Mairi w rozprawie z Armstrongiem.

Najrozsądniej było ją zostawić w zamku. W trosce o bezpieczeństwo córki Lachann na pewno porzuciłby plan napaści na Norwyck. Ale teraz, po uprowadzeniu Eleanor, nieuchronnie musiało dojść do wymiany zakładniczek.

Bart zacisnął pięści tak mocno, aż mu chrupnęło w palcach i odwrócił się do niej tyłem.

Czyste szaleństwo. Jedynym wyjściem była zasadzka. Rycerze z Norwyck musieli czekać w ukryciu, w lasach otaczających Braemar. Bart miał na szczęście dość ludzi i zapasów, żeby wytrzymać tam nawet tydzień. Był przekonany, że w tym czasie Lachann i Carmag opuszczą twierdzę, aby wyprawić się na Norwyck.

Gdyby wpadli w zasadzkę, to Eleanor cała i zdrowa wróciłaby z niewoli. Wojska Armstrongów poszłyby w rozsypkę.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tak układa swoje plany, aby odzyskać siostrę, ale nie stracić Mairi.

Nie mógł spokojnie myśleć, widząc ją bladą i roztrzęsioną, tulącą do siebie Kathryn. Coś go drapało w gardle, dusił się w tej komnacie. Obrócił się na pięcie, wyszedł na krużganek i szybkim krokiem zbiegł po schodach na dół, do wielkiej sali.

A jeśli sir Walter mówił prawdę? - przemknęło mu przez głowę. Jeżeli Armstrong rzeczywiście chciał wydać córkę za lairda MacEwena? Nic dziwnego, że wołała nie wracać do Braemar. Nie mogła też rozpowiadać w Norwyck, że jest córką ich najgorszego wroga. W gruncie rzeczy znalazła się między młotem a kowadłem.

Bart wyszedł na dziedziniec i głęboko zaczerpnął tchu. Musiał wymienić Mairi na Eleanor. Jak to się stało, że zaufany przyjaciel i doradca przez kilka tygodni skrywał przed nim tak ważką tajemnicę? A teraz jednym pociągnięciem miałby wysłać na śmierć kilkuset rycerzy?

Czy naprawdę nie było żadnej kary na Lachanna Armstronga?

Poszukiwania trwały. Bart przeszedł przez dziedziniec do kwater rycerzy. Wszyscy byli gotowi. W tej części zamku panował poważny, wręcz uroczysty nastrój. Niektórzy modlili się przed bitwą, inni popijali wino albo prowadzili ściszone rozmowy. Najczęściej rozprawiano o jakichś dawnych bojach.

Bart wiedział, że nie zaśnie. Wciąż łudził się nadzie-

ją, że ktoś odnajdzie Eleanor w jakimś zakamarku zamku, ale rozsądek mówił mu, że to niemożliwe.

Kiedy przyłączył się do poszukiwań, był przekonany, że jego siostra jest w drodze do twierdzy Braemar.

Mairi położyła Kathryn do łóżka i niespokojnie zaczęła krążyć po komnacie. Zastanawiała się, co zrobić, by uratować Eleanor.

Domyślała się, że Bartholomew wyśle gońca do Braemar z wiadomością, że w Norwyck przebywa córka Lachanna Armstronga. Musiał to uczynić, choćby dla bezpieczeństwa siostry.

Potem na pewno dojdzie do szybkich negocjacji. Wymienią mnie na Eleanor, pomyślała Mairi. Bart nie będzie miał żadnych skrupułów. Inaczej przecież być nie może.

A jeśli Eleanor uciekłyby od Lachanna?

Gdybym tak mogła udowodnić, że stoję po stronie Norwyck i kocham Barta, rozmyślała.

Zatrzymała się przed kominkiem i zawróciła w stronę łóżka. Weź się w garść, dziewczyno! Pokaż mu, ile dla ciebie znaczy. Przecież już nawet nie chodzi o Carmaga.

Nie, jej uczucia do Barta Holtona były tak silne, że nie wyszłyby za innego, choćby nawet był najprzystojniejszym chłopcem w całej Anglii.

Nie obchodziło jej, że to ojciec wybrał Carmaga MacEwena, że Carmag miał kilka statków...

Właśnie! Tam, we Francji, Carmag chwalił się, że ma flotę gotową do napaści na angielskie brzegi, że w każdej chwili jest gotów do ataku.

Zaraz, zaraz... A może w ten sposób uprowadził Eleanor? W nocy podpłynął do plaży, porwał dziecko i ukrył ją w jakiejś jaskini w przybrzeżnych skałach?

Gdyby chciał łodem udać się do Braemar, musiałby przejść przez wioskę. Na pewno nigdy nie odważyłby się na takie ryzyko. Nie, pewnie trzyma ją teraz gdzieś u siebie.

Mairi usiłowała sobie przypomnieć, co Carmag mówił jej o swoich włościach. Przechwalał się przez cały czas pobytu we Francji. Musiał przypadkowo zdradzić coś ważnego.

Popatrzyła na Kathryn. Dziewczynka nareszcie zasnęła. Dziś w nocy będzie na pewno bezpieczna, bo na schodach rozstawiono strażę. Żaden intruz nie wedrze się do zamku.

Mairi załamywała ręce ze zdenerwowania. Była wściekła na swoją bezradność. Nie wierzyła, by Lachann zechciał skrzywdzić dziecko, jednak знаła przecież własnego ojca. Był zimnym i wyrachowanym draniem, myślącym wyłącznie o sobie.

Nie miała czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać. Jeszcze raz zerknęła na Kathryn i wyszła z komnaty. Na schodach, tak jak przewidywała, natknęła się na strażnika, który nie chciał jej dalej puścić.

- Mam rozkaz zatrzymać cię na wieży, milady - usłyszała.

- Wiem, Raulfie - odparła swobodnie - lecz przypominałam sobie właśnie o czymś bardzo ważnym, o czym muszę natychmiast powiedzieć lordowi Nor-wyck. Poproszę kogoś ze służby, żeby poszedł po niego.

Na twarzy wartownika odbił się wyraz niezdecydowania.

- Tylko jedno z nas może iść na dół - szybko dodała Mairi. - Ty lepiej zostań tutaj, aby pilnować lady Kathryn.

Raulf w końcu skinął głową i odstąpił na bok. Mairi odetchnęła z ulgą. Widziała, że jeszcze się waha, więc czym prędzej zeszła mu z oczu, zanim zdążył się rozmyślić i jednak ją zatrzymać.

Nie mogła zdradzić Bartowi swoich planów. To było zbyt ryzykowne. On na pewno chciałby wyruszyć z dużą grupą i tym samym z góry wykluczyłby moment zaskoczenia. A poza tym tylko w ten sposób mogła udowodnić, że nie chce mieć nic wspólnego z ojcem i Carmagiem.

Szybko przeszła przez pustą salę i skręciła w stronę drzwi koło kaplicy, wychodzących na tył dziedzińca. Przy drzwiach wisiało kilka płaszczy. Mairi zarzuciła jeden na ramiona i wysliznęła się na zewnątrz.

Pospiesznie dotarła do bocznej bramy. Księżyc w pełni świecił wystarczająco jasno, by bez trudu znalazła drogę, choć obawiała się, że w poświacie ktoś mo-

że ją zobaczyć. Wokół kręciło się sporo ludzi, wciąż szukających Eleanor.

Mairi naciągnęła kaptur na głowę. Ostrożnie pchnęła zardzewiałą furtkę i wstrzymała oddech, gdy zgrzytnęły stare zawiasy. Na szczęście nikt na nią nie zwrócił uwagi. Przesunęła się przez wąski otwór i zniknęła za murami Norwyck.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Blask księżyca kładł się na ścieżce, lecz wiejący od morza lodowaty wicher szarpał płaszczem Mairi i spychał ją do tyłu. Wreszcie dotarła do piaszczystej plaży. Szła na północ, w stronę ukrytych przystani, w których Carmag trzymał łodzie. Gdyby znalazła się tam przed świtem, jej plan miał pewne szanse powodzenia.

Po godzinie minęła miejsce, do którego niegdyś dotarła z Bartem. Dalej zaczynały się skały. Nie było innego wyjścia - musiała się wspinać.

W połowie skalistego zbocza zatrzymała się i usiadła, żeby trochę odpocząć. Przywarła plecami do ogromnego głazu i trwała tak przez chwilę, aby uspokoić oddech. Zastanawiała się, czy tą samą drogą uprowadzono Eleanor.

Bardzo możliwe, że się pomyliła. Może Lachann jednak przekradł się z dzieckiem przez wioskę i podążył w przeciwną stronę? Z reguły działał z zaskoczenia - w najdziwniejszy sposób i o najmniej spodziewanych porach.

Mairi była już tak zmęczona, że nie miała siły wędrować dalej. Popatrzyła na niebo. Księżyc stał jeszcze

wysoko na bezchmurnym niebie. Do świtu pozostało co najmniej kilka godzin.

Zatem musiała iść.

Podniosła się i podjęła mozolną wspinaczkę. Wreszcie dotarła na szczyt klifu.

Nogi jej się trzęsły ze zmęczenia, ręce miała posiniaczone i podrapane na ostrych krawędziach skał. Nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Pamiętała tylko o jednym - że Carmag MacEwen mógł gdzieś tu w jaskini trzymać Eleanor. Musiała do niej dotrzeć przed świtem. Tylko wtedy mogła spróbować ją uwolnić.

Przez chwilę szła krawędzią klifu, patrząc na wodę i szukając choćby najmniejszych śladów statku lub łodzi. Fale mieniły się srebrem i bielą w księżycowej poświacie.

Nic jednak nie było widać.

Mairi nie wiedziała, jak daleko zajdzie, zanim ustanie ze zmęczenia. Obawiała się, że jaskinie MacEwena będą nad samym morzem, niewidoczne z góry. Gdyby tak przegapiła właściwą kryjówkę...

Coś przy ciągnęło jej wzrok. Coś, co w oddali skrzyło się na pomarańczowo. Ognisko?

Wstąpiły w nią nowe siły. Teraz szła o wiele szybciej, przekonana, że znalazła się już blisko celu. Któż inny, jak nie porywacze, biwakowałby o tej porze na skalistym brzegu?

Po cichu podpełzła do ognia i zobaczyła naprędce sklecony szałas. Modliła się, żeby w nim była Eleanor.

Co prawda, licha budowla nie chroniła przed zimnem, ale przynajmniej dawała osłonę od wiatru.

Mairi głębiej ukryła twarz pod kapturem i podkraśla się do obozu pod osłoną rzadko rosnących krzewów.

Na skraju obozowiska dostrzegła kilka koni. A zatem porywacze zamierzali pojechać na zachód, do Braemar. Włości Carmaga ciągnęły się dalej na północ i łatwiej było do nich dotrzeć łodzią. Wokół ogniska spało czterech ludzi, jeden zaś siedział na straży. W tym momencie patrzył w dół, na morze i część wąskiej plaży.

Mairi szeptem przemówiła do koni. Szum fal bijących o skały zagłuszał jej głos na tyle, że strażnik nic nie usłyszał. Poglaskała zwierzęta po grzbietach, tak jak Bartholomew robił to z Pegazem.

Potem powoli podeszła do szałas. Nie mogła jednak zbliżyć się niepostrzeżenie. Musiała najpierw pozbyć się strażnika.

Najlepiej było go ogłuszyć. Po omacku znalazła ciężki kamień i nie wahając się ani przez chwilę, na palcach zbliżyła się do Szkota. Dało się słyszeć tępe uderzenie. Mairi niezgrabnie podtrzymała padające ciało i ułożyła na ziemi. Potem cofnęła się w ciemność i przez kilka sekund obserwowała śpiących.

Żaden się nie poruszył. W obozie panowała cisza. Mairi zakradła się do szałas. Wewnątrz było jeszcze ciemniej, więc ostrożnie uniosła róg koca. W tym samym momencie Eleanor usiadła gwałtownie.

Mairi ledwie zdążyła położyć jej dłoń na ustach, żeby nie krzyknęła.

- Eleanor! - szepnęła jej wprost do ucha. -
Uspokój się, to ja, Marguerite! - powiedziała, wymieniając imię, do którego dziewczynka zdołała się najbardziej przyzwyczać.

Eleanor przestała się szamotać, więc Mairi cofnęła rękę.

- Uciekajmy stąd, Ellie - wyszeptała. - Pospiesz się.
Bez słowa wymknęły się z obozowiska i szły bez wytchnienia, aż oddaliły się na sporą odległość.

- Jak mnie znalazłaś? - szeptem zapytała dziewczynka.
- Przeszukaliśmy całe Norwyck i wtedy przypomniałam sobie, że kiedyś coś słyszałam o statkach i ja-skiniach - odpowiedziała Mairi. - Pomyślałam, że to może sprawka Carmaga MacEwena, a nie Lachanna -dokończyła z wahaniem.
- Usiłowałam z nimi walczyć, ale nie dałam rady -powiedziała Eleanor. Mairi kucnęła przed nią i przytuliła ją do piersi. - Tak się bałam. - Dziewczynka pociągnęła nosem. - Ugryzłam jednego z nich, a potem... potem już nie pamiętam, co się stało. Ocknęłam się dopiero na plaży.
- Wiem, kochanie - cicho przytaknęła Mairi i wstała. - Wkrótce będziesz znowu bezpieczna. Musimy tyl-ko dotrzeć do plaży. Wtedy na pewno nas nie schwytają.
- Zimno mi - poskarżyła się Eleanor. - Od czasu jak mnie zabrali z Norwyck, przemarzłam do szpiku kości.

- Jeśli się pospieszymy, to wkrótce będziemy w domu - zapewniła ją Mairi. - Najpierw musimy zejść ze stromej skały.
- Wiem - rezolutnie odpowiedziała Ellie. - Już raz po niej się wspinałam. Byłam śpiąca i strasznie mnie bolała głowa, ale oni powiedzieli, że nie będą mnie no-sić na rękach.
- Jak już zejdziemy, pójdzie nam dużo łatwiej. -Mairi zachęcała dziewczynkę do dalszego marszu. -Zanim się obejrzysz, będziesz z powrotem w swoim łó-żeczku w Norwyck. A potem opowiesz braciom i Kath-ryn o wszystkich swoich przygodach.

Gdzieś za nimi rozległy się krzyki.

- Uciekaj, Ellie! - zawołała Mairi. - Biegnij do Norwyck! Schowaj się, jeśli będziesz musiała, ale nie pozwól im się złapać! - Przynagliła ją do szybszego biegu.

Eleanor natychmiast zniknęła w mroku. Mairi skrzyknęła w głąb łądu. Szkoci pobiegli za nią. Kluczyła, żeby dać Eleanor jak najwięcej czasu na ucieczkę. W końcu jednak zmęczona potknęła się i upadła.

Jeden z goniących złapał ją za kostkę.

- Co?! - zachłysnął się, kiedy ją zobaczył z bliska. Był przekonany, że ściga Eleanor. - Coś ty za jedna?
- Mairi Armstrong - odpowiedziała pogardliwym tonem. -I będę wdzięczna, jeśli mnie natychmiast puścisz.
- A gdzie mała? - zapytał herszt bandy, stając tuż przy nich.

Mairi wyrwała nogę z łapy tamtego i wzruszyła ramionami.

- To nawet lepiej - zarechotał herszt i brutalnie podniósł ją z ziemi. - Wysłano nas, byśmy cię sprowadzili do lairda MacEwena. Nie mogliśmy cię znaleźć w Nor-wyck, więc w zamian schwytaliśmy małą.
- Kłamiesz! - zawołała Mairi. - Nikt z was nawet nie wiedział, że żyję.
- Twój ojciec i laird MacEwen dostali wiadomość o tobie już ponad tydzień temu. - Pociągnął ją w stronę obozu. - Idziemy.

Mairi w milczeniu szła obok swoich prześladowców. Zachodziła w głowę, kto mógł zanieść wieść o niej do Armstrongów. Kiedy dotarli do biwaku, Szkot wpełznął ją do szałas.

- Prześpij się trochę, milady - rzekł. - Jutro czeka nas długa podróż.

Krótko przed świtem Bart i jego rycerze dosiedli koni i skierowali się w stronę bramy. Wstawał dzień, w którym earl Norwyck, Bartholomew Holton, chciał zażądać od Lachanna Armstronga zwrotu uprowadzonej siostry.

Nie zamierzał kupczyć życiem Mairi.

Mairi Armstrong należała wyłącznie do niego i do Norwyck. Postanowił się z nią ożenić, nie bacząc na protesty Lachanna. Kochał ją bardziej, niż przyznawał to nawet przed sobą. Nie wyobrażał sobie dalszego życia bez Mairi.

Zdażył już się pogodzić z tym, że musiała przed nim ukrywać swą tożsamość. Wiedział jednak, że od tej pory nie będzie między nimi żadnych tajemnic.

Oddział minął główne wrota i skręcił ostro na zachód, w kierunku nieukończonego muru. Nie ujechał jeszcze daleko, kiedy na tyłach dało się słyszeć jakieś zamieszanie. Bartholomew odwrócił się i zobaczył nadjeżdżającego pędem sir Waltera.

- Milordzie!-już z daleka krzyczał siwowłosy rycerz.

Bart zmarszczył brwi i z marsową miną oczekiwał na kolejne złe wieści.

- Eleanor! - wydyszał sir Walter, zatrzymując konia. - Wróciła!

Głośny pomruk przebiegł przez szeregi zbrojnych i chłopów, którzy wyszli na drogę popatrzeć na przejeżdżający oddział.

- Gdzie? Jak? - niedowierzająco zapytał Bart. Wydawało mu się to zbyt piękne, żeby mogło być prawdą. Mairi też była bezpieczna.

- Chodźmy - ponaglał go sir Walter. - Musisz wysłuchać, co Eleanor ma ci do powiedzenia.

- Nie - odparł Bart. - Teraz bardziej niż kiedykolwiek mam ochotę rozprawić się z Armstrongiem. Musi ponieść karę za zamach na moją siostrę. Ludzie są w pełni gotowi.

- Milordzie! - przerwał mu Walter. - Lady Mairi została zabrana przez ludzi Carmaga MacEwena. Mu-sisz ze mną wrócić do zamku i wysłuchać Eleanor.

Bart spojrział na niego zaskoczony. Nie mógł pojąć, w jaki sposób Mairi mogła wpaść w ręce wroga, skoro była bezpieczna w zamku, w komnacie Kathryn.

Wydał stosowne rozkazy sir Stephanowi i sir Duncanowi, a potem podążył za Walterem. Oddział miał dalej jechać do Braemar i stanąć obozem w lesie.

- Gdzie znaleziono Ellie? - spytał Waltera, kiedy zatrzymali się na dziedzińcu.
- Na plaży, koło bocznej furtki - padła odpowiedź.
- Krzyczała, żeby jej otworzyć.
- Skąd się tam wzięła?
- Wygląda na to, że ludzie MacEwena uprowadzili ją z komnaty. Zakradli się od strony morza. Nikt ich nie zauważył w rozgardiaszu, jaki towarzyszył przygotowaniu do wymarszu.
- Dobry Boże! - mruknął Bart przez zaciśnięte zęby.
- Ktoś im powiedział o lady Mairi. To ją mieli porwać.
- I zabrać z powrotem do Braemar? - dopytywał się Bart.

Walter pokręcił głową.

- Tego nie wiem, milordzie - odparł. - Może Eleanor powie ci coś więcej.
- Nic jej się nie stało?
- Nic, chociaż jest mocno wyczerpana i ma podrapane kolana i ręce - odpowiedział Walter.

Zostawili konie w pobliżu głównych schodów i wbiegli do wieży. Bart pierwszy wpadł na górę, do

dziecięcej komnaty. Eleanor leżała w łóżku. Obok niej siedziały Kathryn, niania Ada i Rose, pokojówka Mairi.

- Bartie! - słabym głosem zawołała Eleanor. Usiadła na łóżku i z płaczem wyciągnęła ręce do brata.
 - Cicho. - Wziął ją w ramiona i pogładził po głowie. Dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę, jak bardzo ją kocha. Gdyby ją stracił... Tak jak stracił Mairi...
 - Strasznie się bałam, Bartie - chlipnęła Eleanor.
 - Jesteś w domu - odpowiedział. - Zupełnie bezpieczna.
 - Tak, ale Szkoci zabrali lady Mairi. - Rozpląkała się jeszcze głośniej. - Kazała mi jak najszybciej uciekać. A oni ją złapali!
 - Ojciec zmusi ją do małżeństwa z lairdem MacEwenem? - zapytała Kathryn. Wyglądała gorzej niż ubiegłej nocy. Oczy miała czerwone od płaczu.
- Bart spojrział na nią.
- Skąd to wiesz? - spytał.
 - Słyszałam, jak mówiła sir Walterowi, że wyjechała z Francji na wezwanie ojca. Miała wyjść za mąż za Car-maga MacEwena.
 - On jest okropny, prawda Bartie? - spytała Eleanor.
 - Kathryn tak mówi.
- Bart położył ją z powrotem do łóżka i usiadł obok.
- Powiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło wczoraj po moim wyjściu - zwrócił się do Kathryn.
- Dziewczynka zaczęła opowiadać:
- Poszłyśmy na wieżę, tak jak nam kazałeś. Położy-

łam się do łóżka. Mairi powiedziała, że i tak nie usnie. Przyglądałam jej się przez chwilę. Chodziła niespokojnie od łóżka do kominka.

Bart z łatwością mógł sobie to wyobrazić.

- Potem chyba usnęłam - ciągnęła Kathryn - bo kiedy otworzyłam oczy, Mairi już nie było.
- Na schodach stał na straży Raulf - wtrącił sir Walter. - Lady Mairi powiedziała mu, że ma dla ciebie pilną wiadomość. Kazała mu pilnować lady Kathryn, a sama zeszła na dół.
- I wymknęła się na zewnątrz - dokończył za niego Bart. - Gdzie cię znalazła, Ellie?
- W takim miejscu, w którym nigdy przedtem nie byłam - odpowiedziała Eleanor. - Po szkockiej stronie, nad morzem.
- Zabrali cię na szczyt skały? - pytał dalej.
- Tak - odparła. - Jeden z nich niósł mnie bardzo długo przez plażę. Potem kazali mi się wspiąć na głązy. Tam było strasznie. Trzymałam się tak mocno, aż mnie rozboleły ręce.
- To pewnie klif na naszej północnej granicy - uzupełnił sir Walter.
- Na szczycie z-znowu zaczęliśmy iść - zaszlochała Eleanor. - Okropnie się wtedy bałam.

Bart poklepał ją po dłoni i uzbroił się w cierpliwość. Dobrze wiedział, że bardzo to przeżyła, ale chciał usłyszeć coś więcej o Mairi. Jak znalazła dziewczynkę? Dokąd ją potem zabrali?

- Potem - mówiła Eleanor - doszliśmy do takiego miejsca, w którym stały ich konie. Jeden ze Szkotów powiedział, że tam zanocujemy.
- Niczego się nie boją - wtrącił Walter.
- Zawiesili na drzewie jakieś koce i kazali mi wejść do środka. Usnęłam.

Głośny wybuch płaczu spowodował kolejną przerwę w opowieści. Kathryn też już teraz płakała.

- Obudziłam się i zobaczyłam Mairi. Zabrała mnie z szafasu i pobiegłyśmy jak szalone z powrotem do Norwyck. Ale oni nas dogonili. Mairi kazała mi uciekać albo gdzieś się schować.
- Dzielna dziewczyna - mruknął pod nosem Walter, ale Bart i tak to usłyszał. Niania Ada siedziała, przyciskając rękę do serca, a Rose gapiała się na Eleanor, sze-roko otwierając oczy, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko stało się naprawdę,
- Odbiegłam spory kawałek, ale jak usłyszałam, że są bardzo blisko, to schowałam się za pieńkiem. Przeszli koło mnie, ale słyszałam, że złapali Mairi.

Niania Ada wydała zdławiony okrzyk, a Kathryn głośno zaszlochała.

- Jeden powiedział, że to jej szukali, a nie mnie - opowiadała Eleanor. - Zabrali mnie tylko dlatego, że nie mogli jej znaleźć w zamku.
- A teraz będzie musiała poślubić MacEwena! - nagle krzyknęła Kathryn. - Tego łajdaka! Na pewno um-rze, zanim stanie z nim przed ołtarzem!

Po tych słowach w komnacie zaległa głucha cisza. Bart poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Powiedz mi, co miałas na myśli, Kate - przemówił niskim i złowieszczym tonem.
- Lady Mairi mówiła, że ojciec by ją zabił, gdyby nie chciała zostać żoną MacEwena - wyjąkała Kathryn i spojrzała na sir Waltera, jakby u niego szukała potwierdzenia. - A potem dodała, że raczej popełni samo-bójstwo, niż wyjdzie za niego.
- Tak to bywa, kiedy ktoś podsłuchuje pod drzwiami - westchnął stary rycerz, zerkając na Kathryn. - Mam nadzieję, że to będzie dla ciebie dobrą lekcją.

Bart nawet go nie słyszał. Oczami wyobraźni widział biedną Mairi, skazaną na łaskę i niełaskę ojca. Eleanor znów zaczęła płakać, więc Bart wstał, skinął na sir Waltera i razem wyszli na korytarz.

- Mairi naprawdę tak powiedziała? - spytał. - Że ojciec ją zabije, jeśli nie będzie mu posłuszna?

Walter pokiwał głową.

- Ona kocha wyłącznie ciebie, milordzie. A to małżeństwo - pochylił głowę i przez chwilę szukał odpowiedniego słowa - będzie zawarte pod przymusem.
- Powstrzymam go - powiedział stanowczo Bart. Sir Walter spojrzał na niego spod oka.
- Sprowadzę ją, zanim ich klecha zacznie kazanie.
- Mądry chłopak - uśmiechnął się sir Walter. - Wiedziałem, że kiedyś zmądrzejesz, milordzie. Lady Mairi nie chciała cię okłamać. Milczała, bo nie miała wyboru.

Skrzypnęły drzwi i ktoś wyszedł z komnaty na korytarz. To była Rose. Zamiast jednak przemknąć obok i iść do wielkiej sali, skromnie spuściła oczy i podeszła do rozmawiających rycerzy. Chrząknęła.

- Milordzie - powiedziała cicho i nieśmiało.
- Tak? - łagodnie spytał Bartholomew. Rzadko miał okazję do rozmów z pokojówkami i wiedział, ile nerwów na pewno ją to kosztowało.
- To, co lady Kathryn powiedziała o lady Marguerite, to znaczy lady Mairi... - Rose popatrzyła na nich z rozpaczą w oczach. Najwyraźniej miała coś ważnego do przekazania, ale nie wiedziała, jak to zrobić. - Mi-lordzie, mogę porozmawiać z tobą na osobności?
- Wybacz nam, sir Walterze - rzekł Bart, zaciekawiony jej zachowaniem, lecz jednocześnie trochę zły, że traci cenny czas. Chciał jak najszybciej dołączyć do swoich ludzi zaczajonych pod Braemar.

Przeszedł z pokojówką do słonecznej komnaty.

- Słucham, co chciałaś mi powiedzieć o lady Mairi?
- Ona nie targnie się na własne życie. Nie teraz - szepnęła Rose.
- Mów dalej.
- No... Nie jestem zupełnie pewna, bo skrzętnie to ukrywała, ale o ile się nie mylę, to lady Mairi będzie miała dziecko.

Bart jedną ręką oparł się ciężko o gzyms kominka.

Mairi w ciąży? Z nim?

Z łatwością mógł w to uwierzyć. Dziwiło go, że

sam nie zauważył wcześniej żadnych oznak. Teraz, gdy o tym pomyślał...

Mairi była więźniem MacEwena. Mairi i ich dziecko.

- Dziękuję, Rose, że mi o tym powiedziałaś - rzekł i odwrócił się, żeby ruszyć ukochanej na pomoc.
- Sprowadzisz ją z powrotem, prawda, milordzie?
-zapytała dziewczyna.
- Tak - odparł już w drzwiach. - Możesz być tego pewna.

Poprzysiągł sobie, że wyrwie Mairi z łap tego brutala Carmaga MacEwena. Nawet gdyby miał go zabić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Mairi nie była źle traktowana przez swoich porywaczy, ale to w niczym nie zmieniało jej nastroju. Jechała bardzo przygnębiona i na wpół żywa ze zmęczenia. Jednak strach nie pozwalał jej się poddać.

Miała poślubić Carmaga. Nie mogła ze sobą skończyć, bo tym samym uśmierciłaby niewinne dziecko, które nosiła w łonie. Dziecko, które już pokochała tak bardzo jak Barta.

Modliła się, żeby Eleanor bezpiecznie dotarła do Norwyck. Idąc wzdłuż morskiego brzegu, na pewno nie zabłądziła, ale po drodze czyhały na nią liczne niebezpieczeństwa. Mogła napotkać jakieś zwierzę albo spaść ze skarpy.

Nie. Mairi uparcie wmawiała sobie, że dziewczynce nic się nie stało. Na pewno jest już w ramionach brata, pomyślała. Teraz bardziej powinnam martwić się o siebie.

Jechali ciągle w głąb lądu, na północny zachód, w stronę włości Armstrongów. Mairi nie wiedziała, co ją czeka w Braemar, podejrzewała tylko, że spotka tam Carmaga. Ślub wyznaczono zapewne już niedługo. Po-

czuła ucisk w sercu na myśl o tym, że będzie „panią” klanu MacEwen. Musiała jednak spojrzeć prawdzie w oczy, choć wiele ją to kosztowało.

Wciąż jednak miała cichą nadzieję, że w jakiś sposób zdoła się wywinąć od małżeństwa. Zastanawiała się, co tu wymyślić, żeby Carmag jej nie chciał.

Ciąża to za mało. Carmag nie należał do ludzi, którzy przejmują się takimi drobiazgami. Prawdę mówiąc, pewnie by znajdował przewrotną przyjemność, wychowując dziecko swego najgorszego wroga w nienawiści do prawdziwego ojca.

- Już prawie jesteśmy na miejscu, milady - powiedział jeden z porywaczy. Starał się być uprzejmy, ale Mairi nie dała się zwieść pozorom. Nie przekupiłaby żadnego, żeby ją wypuścili. Prędzej związaną dowieźliby ją aż do Braemar, niż pozwolili, by uciekła.

Ciekawe, co pomyślał Bartholomew na wieść, że mnie nie ma? - zadała sobie w duchu pytanie. Czy Eleanor w miarę dokładnie wszystko mu opowiedziała? A może doszedł do przekonania, że opuściłam Norwyck z własnej woli? Może uznał, że go porzuciłam, biorąc przykład z Felicii?

- Spójrz - ponownie odezwał się jeden z porywaczy, kiedy dotarli na szczyt kolejnego wzgórza. Wyciągnął przed siebie rękę. - Twierdza Braemar.

Wokół wieży brakowało kamiennego muru i cała budowla wyglądała o wiele skromniej niż Norwyck. Ale nawet z tej odległości było widać, że dobrze przystoso-

wano ją do obrony. Niczym jastrzębie gniazdo tkwiła na szczycie skały.

Nic się tu nie zmieniło od wyjazdu Mairi. Wszystko było tak samo proste i surowe.

Drugi porywacz rzucił jej ciepłą derkę. Widocznie zauważył, że dygocze z zimna. Mairi owinęła się nią i próbowała nie myśleć o przyszłości.

Przez dziesięć lat pobytu we Francji nie miała żadnych wieści z domu. Pierwszym krajanem, którego tam spotkała, był Carmag. Przybył po to, żeby ją zabrać do Szkocji. W Norwyck dowiedziała się, że jej brat i ojciec wciąż żyją, ale nie usłyszała ani słowa o matce. Nie wiedziała nawet, czy kobieta, która jej dała życie, wciąż chodzi po tym świecie.

Ukradkiem otarła łzy. Biedna Tearlag, pomyślała o matce. Skazana na małżeństwo z brutalnym Lachannem. Wkrótce podzielę jej los - tyle że wydadzą mnie za Carmaga.

Wokół twierdzy, na zboczu wzgórza, stały nędzne chaty. Pośrodku wsi wznosiła się dzwonnica kościoła. Dach budynku wyraźnie wymagał remontu. Mairi zastanawiała się, czy klan Armstrongów naprawdę tak podupadł, że musi kraść bydło z łąk sąsiada, aby wyżywić własnych ludzi. W takim razie dlaczego nie zabierali mięsa, tylko pozostawiali je na ziemi, żebygniło?

Domyśliła się odpowiedzi. Chodziło o źle pojętą dumę. Lachann nigdy nie przyznałby przed Bartem, że pogrzyżył się w nędzy.

Przejechali przez mokradła otaczające twierdzę, Ludzie wychodzili z domów, żeby popatrzeć na kawkadę. Mairi przyglądała się im, lecz nie rozpoznała żadnej twarzy. Byli dla niej zupełnie obcy. Wieża, w której spędziła pierwszych dziesięć lat życia, nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. To nie był powrót do domu.

Spojrzała na zimne kamienne mury. W kilku miejscach były solidnie potraskane i wymagały szybkiej naprawy. Najwyraźniej Lachann dbał o swoje domostwo z taką samą troską co o rodzinę.

Zaczęło padać. Mairi zsiadła z konia i samotnie podeszła do drewnianych schodów wiodących do wejścia na wieżę. Nagle rozległ się ryk, huknęły otwierane drzwi i w progu stanął Carmag MacEwen, a za nim Lachann Armstrong.

Carmag był półnagi. Nie pofatygował się nawet, żeby zarzucić na siebie koszulę. Mairi skrzywiła się na widok jego ogromnego cielska.

- Żono! - wrzasnął.

Mairi nic nie odpowiedziała. Splotła ręce na piersiach i żałowała, że nie ma noża, który mogłaby mu wpakować prosto w serce.

Nie miała najmniejszej wątpliwości, że weźmie ją siłą. Próbował już tego we Francji - tylko tutaj nikt nie stanąłby w jej obronie.

- Mairi Armstrong! - ryknął znowu Carmag i z łomotem zbiegł po schodach.

Mairi spojrzała na Lachanna, ale on nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby powitać córkę.

Zbrojni Armstrongów stali w oddaleniu, a zza chat wyzierały ciekawskie twarze chłopów. MacEwen podbiegł do Mairi, chwycił ją, uniósł i wycisnął na jej ustach siarczasty pocałunek.

Aż się zakrztusiła i zaczęła kasłać. Wielkie łapy Carmaga ścisnęły ją z potworną siłą. Odruchowo machnęła nogą i trafiła go w gołeń. Puścił ją zaskoczony, ale zaraz ryknął niepohamowanym śmiechem, który ją zmroził.

- Zaraz rozluźnimy te twoje usteczka, słodka Mairi!
- zawołał. - Staniesz się prawdziwą Szkotką!
- Dosyć tego! - rozległ się stanowczy głos, który sprawił, że Carmag odskoczył o pół kroku. - Nie wi-dzisz, że ją wystraszyłeś?

Człowiekiem, który odezwał się w te słowa, był zakonnik w spłowiałym habicie. Tylko on jeden miał odwagę przeciwstawić się Carmagowi. Chłopi i zbrojni nie podeszli ani trochę bliżej, a Lachann tkwił jak kolek w drzwiach wierzy i z zaciekawieniem przyglądał się córce.

- Dzisiaj weźmiemy ślub! - oznajmił MacEwen donośnym głosem. - Przygotuj wszystko, co ci potrzeba, ojcie Murray.
- Nie, MacEwenie - sprzeciwił się zakonnik. - Są pewne zasady.
- Gdzieś mam zasady! - pieklił się Carmag. - Te

dziewkę dostałem prawnie z rąk Armstrongów i jest moja, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie! Ojciec Murray stanął z nim twarzą w twarz.

- To są prawa Kościoła, a nie moje, lairdzie MacEwen
- powiedział cicho. Był równy wzrostem Carmagowi, ale węższy w barach i miał długie włosy, czarne jak skrzydło kruka, chociaż nieco już przyprószone siwizną na skroniach. Mairi przypatrywała mu się z niemą wdzięcznością.
- Nie - zabrzmiał kolejny głos. Tym razem Mairi zadrżała jak w febrze. - Jestem jej ojcem. Stanie przed ołtarzem wtedy, gdy jej każę. Ani chwili później.

Ale ojciec Murray nie dał się zastraszyć. Mairi chętnie ucałowała by go w obie ręce.

- Jeśli obce ci kościelne prawa, to przynajmniej daj dziewczynie nieco czasu, żeby ochłonęła po wszystkim, co przeszła.
- Dość! - wykrzyknął Lachann. - Zaprowadź ją na noc do matki, a rano ma być gotowa do ślubu. I prze-stań wreszcie skomleć jak baba, ojciec Murray.

Mairi była zadowolona, że uniknęła czulszego „powitania” z ojcem. Wielebny Murray wziął ją pod rękę i odeszli. Mairi szła na miękkich nogach. Nic nie mówiła, ale miała cichą nadzieję, że zakonnik zdoła ją ob-ronić.

W końcu to on odwłókł ślub i umożliwił jej spotkanie z matką.

W wieży było ciemno i wilgotno. Tuż za progiem Mairi omal się nie przewróciła, potknąwszy się o dwa

psy leżące na schodach. Kiedy jej oczy przywykły do półmroku, zobaczyła grubo ciosany stół, ustawiony pośrodku sali. Waląły się na nim resztki jedzenia.

Kilku służących spojrzało na nią podejrzliwie, gdy ojciec Murray prowadził ją na drugą stronę wielkiej sali.

- Jechałaś przez całą noc? - zapytał cicho.
- Nie, ojciec - odpowiedziała odruchowo. Jej głos był zbliżony do szeptu. - Trochę spałam w szalasię. Wyruszyliśmy dopiero rano.
- Hm - mruknął ojciec Murray. Doszli do rozchwyanych schodów i zaczęli wspinać się na piętro.
- Twoja matka zajmuje izbę z tyłu wieży, gdzie ma o wiele więcej światła i spokojnie może zajmować się szyciem.
- Jak ona się czuje?
- Źle, moja córko - odpowiedział zakonnik i wszedł na następne piętro. - Chociaż na pewno ucieszy się na twój widok.
- Co jej dolega?
- Poza zgrzyotę z powodu męża i syna? - zapytał Murray. - Cóż, bolą ją stawy. Z trudem się porusza i ciągle kaszle.

W milczeniu weszli na trzecie piętro wieży i zatrzymali się przed zniszczonymi dębowymi drzwiami.

- Przez pewien czas mogę cię chronić, córko - odezwał się ojciec Murray, zanim otworzył drzwi. - Ale jak wyjdiesz za męża...

- Dziękuję za wszystko, co do tej pory dla mnie zro-

biłeś, ojciec - odpowiedziała Mairi. Zastanawiała się gorączkowo nad możliwością ucieczki. Przecież musiał być jakiś sposób! Gdyby wymknęła się po zmroku, poszła na wschód, w stronę morza, a potem plażą do Norwyck...

- Od lat spieram się z Armstrongiem, lecz do tej pory żaden z nas nie osiągnął wyraźnej przewagi - wyjaśnił Murray. - Raz on jest górą, a raz święty Kościół,

Mairi z roztargnieniem pokiwała głową. Weszła do pokoju Tearlag. Słońce wpadało tutaj przez dwa wąskie i wysokie okna. Wszędzie było pełno kurzu z wyjątkiem niewielkiej przestrzeni koło kominka.

Tearlag siedziała na krześle tuż przy ogniu. Na głowie miała biały czepek. W pewnym momencie uniosła wzrok znad robótki i z uśmiechem popatrzyła na córkę. W jej oczach zalśniły łzy. Zanim odłożyła igłę, rozpląkała się na dobre. Mairi chwyciła ją w ramiona i przytuliła mocno do siebie. Jedno oko Tearlag było zasnutę bielmem, a przez cienką skórę prześwitywały niebieskie żyłki.

- Mairi - powiedziała drżącym głosem. W uszach dziewczyny zabrzmiało to tak, jakby ją słyszała zaledwie wczoraj.
- Mamo! - wyszeptła. Uklękła obok krzesła i ucałowała jej spracowane ręce. Przez dłuższy czas ze wzruszenia nie potrafiła wykrztusić ani słowa.
- Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę, córko -

powiedziała Tearlag. - Mąż twojej kuzynki powiedział nam, że utonęłaś.

- Mąż... Alain? Alain był tutaj?!
- Tak - odparła Tearlag. - Sztorm wyrzucił go na brzeg w pobliżu włości MacEwena. Znaleźli go jego ludzie i przywieźli do Braemar. Został zaledwie kilka dni, a potem wrócił do Francji. Byliśmy przekonani, że nie żyjesz.
- Nie, mamo - niemal bez tchu odpowiedziała Mairi. - Fale wyrzuciły mnie na brzeg, tyle że o wiele dalej, na południe.
- Wiem. Mówiono o tym twojemu ojcu. Był tutaj jeden z ludzi Norwycka, niejaki Darcet. Dużo opowiadał.

Mairi nie знаła nikogo o tym nazwisku i nie mogła uwierzyć, żeby ktoś z Norwyck z własnej woli przybył do Armstrongów. Może Lachann wysłał jakiegoś szpiega? Na pewno był do tego zdolny.

- Ogromnie tęskniłam za tobą przez te wszystkie lata, Mairi - powiedziała matka. - Dorastając dziewczę powinno mieć kogoś bliskiego przy sobie.
- Ja też tęskniłam - odparła Mairi. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płacze. Dobrze jej było we Francji z Caitir, ale nikt nie mógł zastąpić matki.
- Musiałaś wyjechać dla własnego dobra - westchnęła Tearlag. Mairi wyczuła jej wewnętrzna siłę, która utrzymywała ją przy życiu przez minione lata. - Twój ojciec to... - Machnęła ręką. - Zrobiłby z ciebie

takiego samego potwora jak z Dughlasy. Nie mogłam przed tym cię uchronić, więc musiałam cię stąd odesłać.

- Wiem, mamó. - Mairi otarła łzy. Lekko ścisnęła wychudłe dłonie matki. - Byłam szczęśliwa z Caitir. Nie tęskniłam za nikim z Armstrongów, z wyjątkiem ciebie.
- Cieszę się, że tak mówisz, ale w gruncie rzeczy niewiele mi zawdzięczasz.
- To nieprawda, mamó.

Tearlag czule pogładziła ją po włosach. Przez kilka minut siedziały w milczeniu, wpatrując się w siebie. Mairi zastanawiała się, czy powiedzieć matce o dziecku, ale po namyśle uznała, że jeszcze za wcześnie. I tak na razie miały dość przeżyć.

- Nie wiem, czy zniosę to, że będziesz żoną Carmaga.
- Nie wyjdę za niego, mamó.
W oczach Tearlag błysnęło przerażenie.
- Jak to? Mairi, jeśli sprzeciwisz się woli lairda...
 - Posłuchaj, mamó. - Mairi spojrzała na drzwi, żeby się upewnić, że są zamknięte i że nikt ich nie podsłuchuje. - Uciekniemy dzisiejszej nocy. Znam drogę do Norwyck. Bartholomew Holton to wspaniały człowiek. Przyjmie nas obie i...
 - Nie, moje dziecko - przerwała jej Tearlag i pokręciła głową. - Moje biodra, kolana. Nie podołam. Le-dwie mogą zejść ze schodów. Byłabym dla ciebie jedy-nie cięzarem.

- Ukradnę konia albo muła.
- To niemożliwe.
- Weźmiemy wóz.

Drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem i do komnaty wszedł Lachann. Nic nie powiedział, tylko spod oka popatrzył na żonę i córkę. Kciuki zatknął za pas i stanął przy kominku. Parsknął pod nosem. Mairi wzięła przykład z matki i czekała, aż pierwszy się odezwie.

- A zatem przez ostatni miesiąc łajdaczyłaś się z tym Holtonem.

Słowa ojca zapiekły ją niczym uderzenie, ale nic nie odpowiedziała.

- Carmagowi to wcale nie przeszkadza - ciągnął Lachann. - Wręcz przeciwnie. Nie lubi niesprawdzonych dziewic.

Mairi uparcie milczała. Lachann roześmiał się gburowato. Nie chciała dać mu żadnych powodów do niezadowolenia. Postanowiła, że tej nocy zabierze matkę daleko od Braemar.

Przecież wieczorem mogła przejść się do wioski i sprawdzić, gdzie trzymano konie. Mogła też przygotować koce i zapasy. A jeśli nie, to przez kilkanaście godzin obejdą się bez tego. W końcu do Norwyck nie było wcale tak daleko.

Gdyby tylko Bartholomew potrafił jej wybaczyć. Może uwierzył Eleanor? Może już wiedział, że nie uciekła z Norwyck, lecz pospieszyła jego siostrze na ratunek?

Musiał zrozumieć, że nie chciała mieć nic wspólnego z Armstrongami! Zwłaszcza z Lachannem i jego okrutnym synem.

- Uroczystość będzie bardzo krótka - oznajmił Lachann, idąc do drzwi. - Carmag cię poślubi, zabierze do łoża i zawiezie do zamku MacEwenów, zanim jego nasienie wyschnie na twoich udach!

Po tych okrutnych słowach odwrócił się i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami. Rozległ się szum zasuwanego skobla.

- Och, Mairi - jęknęła Tearlag. - Zamknął nas!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rycerze z Norwyck czekali zaczajeni w lesie u stóp wzgórza. Czuli się trochę niepewnie na ziemiach Armstrongów. Gdyby teraz przypuścili szturm na wieżę, powitałby ich grad strzał wypuszczonych z luków. Jednak ciągle czekanie narażało ich na to, że Armstrong wczasu spostrzeże, co się dzieje.

Bartholomew zdawał sobie sprawę, że postępuje wbrew regułom. Mogli go nawet oskarżyć o tchórzostwo. Rycerze woleli otwartą walkę - nie zwykli chować się po lasach.

Ale za wiele było do stracenia.

Życie Mairi, ich miłość, dziecko. Nie poświęciłby tego wszystkiego dla honoru. Musiał zwyciężyć bez względu na to, co o nim myślano.

- Milordzie - odezwał się sir Duncan - we wsi powstało zamieszanie.

Bart wyrzwał zza drzewa, ale nie zobaczył nic szczególnego. Może tylko ognisk było trochę więcej niż wczoraj.

- Możesz to sprawdzić?

- Nikt z nas nie zaszedł dotychczas tak daleko, mi-

lordzie - padła odpowiedź. - Wysłałem kilku ludzi, żeby zorientowali się, co się dzieje,

- Na razie nic więcej nie możemy zrobić - powiedział Bart i przesunął się na skraj lasu. - Nie chcę, aby nas zobaczyli.

Jeszcze raz spojrzął na wzgórze. Rzeczywiście, łucznicy ciągle patrolowali okolicę, ale reszta chyba coś budowała. Maszynę bojową?

Obłok dymu przesłonił widok, Z kuźni? Ze zbrojowni?

Bartholomew westchnął ciężko. Nagle nowa myśl przysłała mu do głowy.

- Czy to możliwe, żeby bez naszej wiedzy lady Mairi dotarła do Braemar? - spytał Duncana.

- Owszem, milordzie - odpowiedział rycerz. - Rano była gęsta mgła, a potem padało. Mogliśmy jej nie zauważyć.

Bart zaklął pod nosem. Jeśli Mairi tutaj już była...

- A co z MacEwenem? - zapytał. - Wciąż w twierdzy?

- Tak, milordzie - odparł Duncan. - O ile wiemy, nigdzie nie wyjeżdżał.

Bart odwrócił się i odszedł kilka kroków. Jeżeli Armstrong po cichu sprowadził Mairi do Braemar, to mógł poczynić już przygotowania do jej rychłego ślubu z Carmagiem. Nic go przed tym nie powstrzyma. Nic, z wyjątkiem Barta Holtona i oddziału rycerzy z Norwyck.

Spojrzał przez ramię na ponurą twierdzę. Ognie, kobiety krzątające się w zagrodach, światło w kościele. Szykują ślub, pomyślał Bartholomew. Już od dawna powinienem to zauważyć.

- Przyślij do mnie swoich ludzi, kiedy tylko wrócą ze zwiadu - rozkazał.

- Tak jest, milordzie.

Mairi siedziała cicho przy matce. Tearlag nerwowo podskakiwała na krześle przy każdym głośniejszym dźwięku. Z niepokojem patrzyła na drzwi. Mairi usiłowała zabawić ją rozmową o Caitir i Alainie.

- Myślałam, że utonął - powiedziała.

- A on to samo myślał o tobie - ze łzami w oczach odparła Tearlag. - To był potworny sztorm.

- O co chodzi, mamó? - spytała Mairi, nie rozumiejąc jej zachowania.

Tearlag zakryła usta dłonią i potrzęsnęła głową.

- To nieprawdopodobne, ale niemal byłam zadowolona. - Łzy pociekły jej po policzkach. - Umarłabym w spokoju, wiedząc, że nigdy nie wyjdiesz za Carmaga.

Mairi delikatnie ujęła ją za rękę. Była pewna, że czułaby dokładnie to samo, gdyby jej córkę zmuszano do ślubu wbrew woli.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze.

Zazgrzytał skobel i w drzwiach stanął urodziwy mło-

dzieniec. Mairi domyśliła się od razu, że to jej brat, Dughlas. Wstała.

Dughlas mlasnął językiem i obszedł ją dookoła.

- Piękna wyrosłaś, dziewczko - powiedział, mierząc ją wzrokiem. - Nigdy bym tego nie przypuszczał, kiedy wyjeżdżałaś z Braemar.

Mairi zbyła to milczeniem. Nie chciała rozmawiać z tym robakiem, uwodzicielem cudzych żon i mordercą.

Dughlas założył ręce do tyłu i powiódł wzrokiem po pokoju.

- A gdzie twój angielski fagas? - spytał. - Nie przyszedł ci na ratunek?

- Niby dlaczego miałby to robić? - ostrożnie spytała Mairi. - Nie chciał szkockiej kochanki. Teraz, gdy wszyscy już wiedzą, kim jestem. - Wzruszyła ramionami, jakby uczucia Barta w ogóle jej nie obchodziły.

- Podeszłaś go całkiem sprytnie - mruknął. - Zanik pamięci, dobre sobie! - roześmiał się złośliwie.

Mairi milczała. Był przystojny, lecz jednocześnie zły do szpiku kości. Przyszedł na wieżę tylko po to, żeby podrażnić się z piękną siostrą.

Ale Mairi nie była w nastroju do utarczek.

- Daj jej spokój, Dughlasie - powiedziała Tearlag głosem, w którym słychać było łzy.

Dughlas roześmiał się na całe gardło. Nie miał krzty szacunku dla steranej matki.

- Żona Holtona mówiła mi, że jej mąż wrócił z wo-

jaczki dziwnie ospały i niechętny do dalszej walki -rzekł. Wyciągnął ręce do ognia, żeby się trochę ogrzać. Błysk nienawiści pojawił się w jego pięknych oczach. - Ponoć złożył solenną przysięgę, że już nigdy nie podniesie broni przeciw Szkotom.

Mairi nie miała pojęcia, czy to prawda. Bartholomew rzeczywiście unikał starcia z Armstrongami, ale sądziła, że chciał zyskać na czasie i czekał na odpowiedni moment. Przecież widziała go codziennie z innymi rycearzami na placu ćwiczeń. Po co by to robili?

- Chyba masz rację - przytaknęła. - Dużo ćwicz, ale nic z tego nie wynika.

Dughlas skinął głową.

- Lachann już kilka razy wystawiał go na próbę.

Ciekawe. Mairi postanowiła utwierdzić brata w przekonaniu, że Bartholomew nie ma zamiaru zaatakować Braemar.

- Lord Norwyck wciąż oplakuje śmierć brata i zdradę żony.

Dughlas uśmiechnął się złośliwie.

- W to nie wątpię. To moje najlepsze dzieło. Felicia nie stroniła od takich przyjemności już przed paroma laty, kiedy poznałem ją we Francji. Nietrudno było mi ją uwieść, kiedy jej mąż poszedł na wojnę.

Mairi z pogardą słuchała jego przechwałek.

- Lady Mairi?

Tearlag aż podskoczyła na dźwięk nowego głosu. Na szczęście to był tylko ojciec Murray.

- Jeżeli chciałabyś się teraz wypowiedzieć, przed ogłoszeniem zapowiedzi...
 - Chętnie, ojcze.
 - Wynoś się, Murray! - warknął Dughlas. - Jeszcze z nią nie skończyłem!
 - Przepraszam, Dughlasie - powiedział Murray, ale ton jego głosu przeczył pokornym słowom.
- Tearlag nie odezwała się ani słowem, ale jej mocno zaciśnięte usta świadczyły o tym, że ciężko przeżywa zachowanie syna. Co jednak mogła zrobić?
- Mairi zastanawiała się, czy zakonnik byłby skłonny jej pomóc. Wprawdzie powiedział, że po ślubie będzie już bezradny... Ale przed ślubem?
- Poślesz po mnie, kiedy już będziesz gotowa, pani?
 - Tak, ojcze - cicho szepnęła Mairi. Liczyła na to, że porozmawia z nim na osobności. Może wtedy da się przekonać?
- Ojciec Murray wyszedł z komnaty, a Tearlag i Mairi tak jak przedtem zostały z Dughlasem.
- Ilu ludzi ma Norwyck pod swoją komendą?
 - Nie wiem - odparła Mairi zgodnie z prawdą.
 - Ćwiczycy łuczników? Albo szermierkę?
- Pokręciła głową.
- Łuczników nigdy nie widziałam - powiedziała, modląc się w duchu, żeby kłamstwo było jej wybaczone.
- Dughlas przechadzał się przed kominkiem.
- Opowiedz mi o murze, który tam buduje.

To akurat nikomu nie mogło przynieść żadnej szkody.

- Już prawie jest na ukończeniu - odparła. - Jakiś czas temu zdarzył się wypadek. Część ściany runęła, ale do tej pory chyba ją zreperowano.
- Norwyck uważa, że to nas powstrzyma?
- W środku mają dwie studnie, Dughlasie - dodała - i wiele zapasów. Mogą wytrzymać długie oblężenie.

Dughlas ze zmarszczonymi brwiami rozważał jej słowa.

- Skoro za wszelką cenę chce uniknąć bitwy...

Znowu trzasnęły drzwi i do komnaty wszedł Lachann Armstrong. Chyba pił, bo wyglądał teraz dużo groźniej. Podszedł do córki skradającym krokiem, niczym drapieżnik do ofiary. Tearlag ze świstem wciągnęła powietrze. Niemal w tej samej chwili Lachann wierzchem dłoni uderzył Mairi w twarz. Siła ciosu rzuciła ją na podłogę. Poczuli na ustach krew z rozciętej wargi.

- Nie patrz na mnie z takim wyrzutem w oczach - syknął Lachann. - To najmniejsze, na co zasłużyłaś. Zapomniałaś o swoim klanie, ładaczniczo?

Mairi w milczeniu podniosła się na kolana, a potem wstała z podłogi. Powróciły do niej wspomnienia o wyczynach ojca z czasów, kiedy była jeszcze bardzo mała. Znowu pożałowała matki, która musiała znosić takie traktowanie przez całe lata.

Odsunęła się o kilka kroków, żeby uniknąć następnego ciosu. Jak przez mgłę słyszała cichy szloch Tearlag i słowa Lachanna:

- Po ślubie zaraz się wyniesiesz do zamku MacEwena. Nie potrzeba nam cię tutaj, w Braemar. - Podeszedł do drzwi. -I zabierzesz matkę ze sobą. To już postanowione.

Po jego wyjściu Dughlas zaczął jej zadawać kolejne pytania, ale Mairi już nie miała mu nic do powiedzenia. Wymyślała naprędce jakieś odpowiedzi, byle go tylko zadowolić. W końcu stanęła do niego tyłem i wyjrzała przez okno. Na dole klan Armstrongów przygotowywał się do wesela.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tego ranka nad wzgórzem zaległa lekka mgła - nie tak gęsta, na jaką liczył Bart, ale dostateczna, żeby się w niej ukryć.

Przed świtem wysłał część oddziału na drugą stronę wzgórza. Braemar znalazło się w okrążeniu. Na czele każdej grupy stali lucznicy, a za nimi konnica. Na tak dużej przestrzeni nie mogli wszyscy atakować jednocześnie, więc Bart postanowił, że jego grupa pójdzie do szturmu jako pierwsza. Odgłos walki miał być sygnałem dla pozostałych.

Nie był to może najlepszy plan, ale jedyny, który dawał przynajmniej częściową gwarancję zwycięstwa. Armstrongom należała się solidna lekcja. A poza tym Bart nie zamierzał pozwolić Carmagowi na małżeństwo z Mairi.

Była jego. Nikt inny nie miał do niej prawa.

Pod osłoną drzew podeszedł na skraj lasu i popijając piwo, czekał na dogodny moment do ataku. Chciał jak najprędzej dobrać się do skóry Armstrongom i MacEwenowi. Patrzył na Braemar, chociaż mgła przesłaniała mu część

widoku. Nadstawiał ucha na wszystkie podejrzane dźwięki, które mogły świadczyć o tym, że zbliżają się oddziały wroga.

Wreszcie na wschodzie błysnęły pierwsze promienie słońca. Nadchodziła właściwa pora, ale Bart wciąż zwlekał. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Od tego zależało życie Mairi. Chciał, żeby jego ludzie zajęli dogodne miejsca, ale kiedy usłyszał piskliwą muzykę graną na dudach, natychmiast dosiadł Pegaza i dał rozkaz do szarży.

Mairi nigdy nie przepadała za dudami. W ponurym nastroju podążała w stronę wiejskiego kościoła, w którym miała wziąć ślub z Carmagiem MacEwenem. Tearlag nie mogła za nią nadążyć, więc została z tyłu. Mairi zeszła po spróchniałych schodach w towarzystwie służącej. We dwie minęły wielką salę i wyszły na zewnątrz.

Nie udało jej się porozmawiać z zakonikiem. Ojciec Murray nie został wieczorem wpuszczony do jej komnaty. Ani on, ani nikt inny. Noc spędziła wyłącznie z matką.

Drżała. Może było to spowodowane porannym chłodem, a może zdenerwowaniem. Próbowwała nie myśleć o Carmagu, czekającym na nią przed drzwiami kościoła. Nie potrafiła jednak opanować odruchu obrzydzenia, gdy przypomniła sobie jego oślizłe pocałunki. Wczorajsza napaść była niczym w porównaniu z tym, co miało spotkać ją po ślubie.

Przed wieżą stał Dughlas. Ujął jej ramię, jakby miał prowadzić więźnia, a nie siostrę. Wokół stali członkowie klanu, niektórzy już nieco podpici, pałaszujący jadło ze stołów rozstawionych obok kościoła. Wszyscy nosili miecze, ale nie wyglądali na zbytnio gotowych do bitwy.

Mairi ufała, że Dughlas jej uwierzył, kiedy mówiła mu, że Bartholomew Holton nie pała chęcią do wojaczki. Liczyła na to, że Armstrongowie rozluźnieni weselem zapomną o czujności.

Dughlas raptownie pociągnął ją za rękę i zmusił do szybszego kroku. Chłopi patrzyli na nią podejrzliwie, a dzieci stały jak zaczarowane. Żadne z nich nie uśmiechało się ani nie biegało jak ich rówieśnicy w innych wioskach.

W oddali zobaczyła kościół.

Ojciec Murray stał na szczycie schodów, ale nie patrzył na nią, tylko gniewnym wzrokiem spozierał gdzieś na ziemię. Był czerwony jak burak ze złości.

- Pijany jak bela chcesz wejść do domu Pana? - krzyknął. - W takim stanie złożysz święte śluby, które na zawsze połączą cię z niewiastą?!

Dughlas wybuchnął śmiechem. Carmag MacEwen wytoczył się zza schodów, żeby pozdrowić narzeczoną. Miał na sobie brudną szarą opończę z rozdartym rękawem i opuszczone spodnie.

Mairi pospiesznie odwróciła wzrok od tego widoku. Ojciec Murray jak burza zbiegł ze schodów, chwycił

Carmaga za rękę i odciągnął go na bok, pomstując na niego po drodze.

Nastąpiło chwilowe opóźnienie w rozpoczęciu ceremonii.

Mairi nie chciała prosić Dughlasy o wstawiennictwo u ojca. Wiedziała, że spotkałaby się tylko z drwiną. Poza tym Lachann i tak zapewne nie zechciałby nikogo słuchać. Już dawno podjął decyzję o sojuszu Armstrongów z MacEwenem. Nic nie mogło go odwieść od tego zamiaru.

Tymczasem Lachann jak na zawołanie zjawił się przed kościołem. Mairi wzdygnęła się na jego widok, a on skwitował to uśmiechem zadowolenia. Chrząknął głośno i splunął na ziemię.

- Gdzie MacEwen? - zapytał.

- Z księdzem - odpowiedział Dughlas. - Musiał się trochę przebrać.

Lachann znów splunął. Popatrzył na Mairi.

- I co? Twój angielski kochaś nie dołączy do weselników? Nie będzie cię ratował?

Jak Bartolomew miałby ją teraz ocalić? Przecież na pewno czekał gdzieś w zasadzce na drodze prowadzącej do Norwyck. Dobra taktyka, ale nie w tej sytuacji.

- Nie, ojczu - odpowiedziała cierpko, aby jeszcze bardziej utwierdzić go w przekonaniu, że Earl Norwyck nie pali się do bitwy. - Buduje mur, żeby cię powstrzymać od dalszych napaści.

Lachann roześmiał się cichym i okrutnym śmiechem,

mrozącym krew w żyłach. Mairi zadygotała jak w febrze, ale zadowolenie malujące się na twarzy ojca powiedziało jej, że wybieg nie poszedł na marne.

Bart dobrze wybrał moment do ataku. Słońce stało już ponad horyzontem, a jego ludzie na pewno znaleźli się na swoich pozycjach. Piskliwe dudy na razie zagłuszały szcęk zbroi.

Dał znak do natarcia.

Ruszyli ławą. Dotarli niemal do połowy wzgórza, nie napotykając na żaden opór. Bart wciąż nie ufał swojemu szczęściu i przynaglał ludzi do jeszcze szybszej jazdy. Czekał na dogodną chwilę, żeby inni też mogli zaatakować.

Nagle spadł na nich grad strzał. Bart tylko zamknął przyłbicę i gnał dalej. Wokół niego wybuchło zamieszanie. Wiedział już, że obrońcy Braemar zostali zaskoczeni. Plan zadziałał.

Pędził w stronę wieży, przekonany, że właśnie tam znajdzie Mairi. Nagle jednak wyjechał nań jakiś jeździec z mieczem w dłoni. Nie miał zbroi, więc zważył się po kilku cięciach. Bart parł do przodu, nie zważając na gęstniejący tłum przeciwników.

- Z tyłu, milordzie!

Bart zrobił gwałtowny unik. Włócznia wymierzona w jego plecy przeszła obok i utkwiała w piersiach pędzącego z przeciwnej strony żołnierza Armstrongów. Bart nawet się nie obejrzał. Poprzez cienką zasłonę

mgły widział górne piętra wieży. Podejrzewał, że Lachami tam musi trzymać córkę.

Wreszcie zeskoczył z konia i pieszo pognął wąską ścieżką. Obok niego ze wszystkich stron trwała zacięta bitwa. Nagle straszliwy krzyk kobiety sprawił, że się zatrzymał. To była Mairi.

Nie rozpoznał jej głosu, ale wiedział, że to nie może być nikt inny. Odwrócił się i dopiero teraz spostrzegł, że ma za plecami kościół. A zatem ceremonia już się rozpoczęła.

Chwycił rękojęść miecza w obie dłonie i wyrąbał sobie drogę do świątyni. Na schodach zobaczył Dughlasa Armstronga, zajętego walką z jednym z rycerzy z Norwyck.

- Za późno, angielski psie! - krzyknął Dughlas, broniąc się przed kolejnym ciosem. - Już po małżeńskiej przysiędze!

Bart porzucił na chwilę myśl o zemście, skoczył na schody i popędził na górę, zostawiając Dughlasa jego własnemu losowi. Teraz liczyła się dla niego tylko Mairi. Musiał ją stąd jak najszybciej zabrać i bezpiecznie zawieźć do Norwyck.

- Nie! - usłyszał męski głos, dobiegający z wnętrza kościoła. - Nie udzielię im ślubu podczas bitwy!

Bart dopadł do drzwi i wtedy ujrzął Mairi.

Była blada i wystraszona. Miała rozbite usta i siniak na twarzy, a mimo to nie chciała ulec, chociaż Lachann ciągnął ją za włosy, a Carmag obejmował w pasie.

Bart poczuł, że duma rozpiera mu pierś na ten widok. Wiedział już, że albo ją ocali, albo zginie.

- Lairdzie Armstrongu! - zawołał zakonnik.

-Ściągnąłeś hańbę na dom Pana Naj...

- Przestań, Murray - groźnie wycedził Lachann i wymierzył w mnicha miecz. - Ciesz się, że żyjesz, aleś mi potrzebny do odprawienia ślubu! No już! Gadaj, co potrzeba!

Zakonnik umilkł i potrzęsnał głową.

MacEwen chyba nie miał broni, ale Bart wołał nie ryzykować. To, że nie nosił miecza, jeszcze o niczym nie świadczyło. Wojownik umie walczyć tym, co znalazło się na podorędziu.

Bartholomew chwycił ciężką ławę i z rozmachem rzucił ją na podłogę. Rozpadła się z głośnym trzaskiem. Zaskoczeni Lachann i Carmag obejrżeli się i na moment puścili Mairi. To wystarczyło, żeby im uciekła i schowała się w bocznej nawie.

Bart dobył miecza i popatrzył na zaskoczonego Lachanna Armstronga. Stary Szkot nie wierzył własnym oczom.

- Norwyck!

- Tak - odpowiedział Bart. - Przyszedłem po Mairi.

- I po zemstę, jak się domyślam. - Lachann zadał głębokie pchnięcie, ale Bart z łatwością odbił ostrze je-go miecza.

- Nie- odparł. - Chcę tylko twojej córki. - Za sobą

usłyszał huk i kątem oka dostrzegł, że to Mairi rozbiła krzesło na głowie Carmaga, żeby przypadkiem nie wtrącił się do walki. - Cofnij się, Mairi! - zawołał ostrzegawczo, w trosce o jej bezpieczeństwo.

Carmag jednak tylko się otrząsnął po otrzymanym ciosie i wyrwał zza pasa sztylet.

- Schowaj się, Mairi! - ponownie krzyknął Bart.

W tej samej chwili Armstrong zaatakował. Z drugiej strony Carmag rzucił sztyletem. Trafił celnie. Błyszcząca ostrze wbiło się w nieosłoniętą zbroją część ciała Holtona, tuż pod lewą pachą.

Bart odpowiedział na to bojowym rykiem i ciał przez pierś Lachanna Armstronga. Potem wyciągnął miecz z trupa i spode łba spojrzął na Carmaga.

- Wynoś się stąd, MacEwen - warknął przez zaciśnięte zęby. - Już po wszystkim. Zbierz swoich ludzi i jedźcie do siebie. Ciesz się, że uratowałeś swoje nędz-ne życie.

- Ha! - krzyknął Carmag. Zgiął kolana, gotując się do skoku. - To ty krwawisz, Norwyck!

- Ale ty patrzysz w oczy śmierci, MacEwen.

Carmag zmrużył powieki i rozejrzał się nerwowo, jakby oceniał swoje szanse. Bart stał z uniesionym mieczem i czekał na odpowiedź Szkota.

Nadeszła błyskawicznie. MacEwen skoczył naprzód z wydobytym z ukrycia nożem. Mairi krzyknęła roz-dzierającym głosem. Bart zrobił unik i pchnął Carmaga mieczem prosto w serce. Ogromny Szkot runął na pod-

łogę. Mairi wybiegła z cienia i padła w rozwarłe ramiona ukochanego.

- Nic ci nie jest, najmilsza? - zapytał Bartholomew.

- Zranił cię! - zawołała ze strachem.

- Owszem - spokojnie odpowiedział Bart. Nie czuł bólu, tylko nieznaczące mrowienie. Odrzucił miecz i zdrową ręką odgarnął jej włosy z czoła.

- To trzeba zaraz opatrzyć - szepnęła drżącym głosem. A potem nagle się rozpląkała i przytuliła twarz do jego szerokiej piersi.

- Nie trzeba - odparł. - Zostań tak przez chwilę.

Zakonnik chrząknął.

- Walka skończona - powiedział. - A wraz z nią dobiegły końca rządy tutejszego lairda. Może Dughlas Armstrong...

- Dughlas też jest skończony - przerwał mu Bart. Objął Mairi i odprowadził ją z dala od miejsca, w którym leżał jej ojciec. - W przeciwnym razie już by wpadł z mieczem do kościoła, by pomóc Lachanno-wi.

Ojciec Murray zmarszczył krzaczaste brwi, ale po chwili skinął głową.

- Idę zatem ponieść wieść o śmierci Lachanna Armstronga. Może w ten sposób da się uratować przynaj-mniej kilka duszyczek.

- Dobrze - powiedział Bart. Nie spuszczał oka z Mairi. Nie miał pojęcia, jak mógł jej nie ufać. Jak mógł w ogóle podejrzewać piękną Mairi Armstrong,

która tylekroć dawała dowody oddania i wierności. Był najzwyczajniej głupi, że tego nie dostrzegał. Mairi odezwała się dopiero po wyjściu mnicha.

- Co z Eleanor? Wróciła zupełnie bezpieczna?
- Tak. Tylko dzięki tobie - odparł łagodnie.

Z niechęcią spojrział na ciemny siniak, szpecący jej gładką twarzyczkę. Poprzysiągł sobie, że jego żona nigdy nie zazna krzywdy.

- Bez ciebie czas dłużył mi się w nieskończoność - szepnął i pogłaskał ją po policzku. - Nie opuszczaj mnie więcej.
- Ale, milordzie... - zająknęła się. - Ja... To znaczy, mój ojciec, Lach...
- Ciii. Wiem o wszystkim, kochanie. - Ponownie zamknął ją w ramionach. - Lecz twoim mężem będzie zapewne znany ci skądinąd Bartholomew Holton.

Usłyszał jej zduszony okrzyk radości. Po chwili Mairi obsypała go pocałunkami. Odpowiedział jej w ten sam sposób.

- Dla ciebie wszystko, Mairi - powiedział. - Kocham cię. Kocham całym sercem i duszą. Bez ciebie moje życie nie byłoby pełne i szczęśliwe.

Mairi nie spodziewała się, że z ust Barta kiedykolwiek padną podobne słowa. Zaniemówiła ze wzruszenia. A kiedy już odzyskała głos, powiedziała:

- Och, Bartholomew! To dla mnie przeogromny zaszczyt, że będę twoją żoną! Nigdy nie myślałam... Nie przypuszczałam, że się po mnie zjawisz.

- Na przyszłość pozbądź się takich wątpliwości.
- Tak cię kocham.

W kościele zjawił się ponownie ojciec Murray w towarzystwie jakiegoś młodzieńca, mniej więcej w wieku Dughlasy. Chłopak nie nosił broni i poruszał się nieco bojaźliwie, ale z godnością. Jego twarz wydawała się Mairi skądś znajoma.

- Mairi Armstrong? - zapytał cicho.
- Tak. Kuzyn Aonghas?

- Minęło wiele lat, Mairi - westchnął Aonghas. Popatrzył w oczy Barta. - Milordzie, ostatnimi czasy wydarzyło się tu dużo złego. Lachann... Cóż, można powiedzieć z grubsza, że nie był najlepszym panem. Ale nasz klan chce zawrzeć pokój z Norwyck.

- To rozsądne - odparł Bartholomew. Mairi wiedziała, że wolałyby na dobre zakończyć walkę z jej rodziną. Aonghas dawał mu taką gwarancję. - Kto będzie nowym lairdem na miejsce Lachanna?

- Przed tobą, panie, stoi właśnie nowy laird Armstrongów.

- To chyba dobry wybór - uśmiechnął się Bart. - Na pewno dojdziemy do porozumienia. - Objął Mairi w tali. - Ruszaj z Bogiem, lairdzie Aonghasie. Powiadom swoich, że od dzisiaj zacznie się nowy okres. Zaraz za tobą tam przyjdziemy.

Aonghas wyszedł. Bart serdecznie uściskał Mairi i pocałował ją.

- Nowy okres zacznie się też dla Norwyck - powie-

Skinął głowę.

- Wiem, kochanie - odparł i popatrzył na nią z rozmarzeniem. - Jesteś moim całym życiem, Mairi. Od tej pory będę ci zawsze ufał.

Pocałował ją leciutko w rozbite usta, wziął za rękę i wyprowadził na schody kościoła, żeby pomóc Aonghasowi w jego pokojowym dziele.